

Napad na SAFE • Operacja Czarnek • Jak się dziś kradnie • Proces Sebastiana M.
Strachy w Hollywood • Uciekające zakonnice • Ocalenie kapitana Cierpicy

POLITYKA.PL

POLITYKA

LIDER
SPRZEDAŻY

TYGODNIK, nr 11 (3555), 11.03–17.03.2026

Cena 16 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

Koniec raju w Dubaju

Wojna w Iranie uderzyła rykoszetem
w światowy rynek paliw i turystykę



USA 5 USD, WIELKA BRYTANIA 4 GBP, KRAJE ŚRODKOWE EURO 4,95 EURO



KOLOROWE OBIETNICE NAJNTISÓW

KUP TERAZ



W sprzedaży



Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na sklep.polityka.pl

Wydanie cyfrowe – subskrypcja polityka.pl/cyfrowa

Wydanie audio – sklep.polityka.pl i polityka.pl/cyfrowa

Podkast POLITYKA o historii – polityka.pl/podkasty

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

12

Irańska pułapka

Tematy tygodnia

- 12 Łukasz Wójcik **IRAN**
Jak zakończyć tę wojnę
16 Adam Grzeszak
Koniec raj w Dubaju

Polityka

- 20 Rafał Kalukin **Napad na SAFE**
23 Wojciech Szacki **Operacja Czarnek**
26 ROZMOWA POLITYKI
Aleksander Smolar, ekspert
ds. międzynarodowych, o powrocie
prawa siły

Społeczeństwo

- 30 Zbigniew Borek, Martyna Bunda,
Katarzyna Kaczorowska
Jak nas okradają
34 O wsparciu dla kobiet,
które decydują się opuścić zakon,
mówi **Izabela Mościcka**,
założycielka Centrum Pomocy
Siostron Zakonnym
37 Zbigniew Borek
Bulwersująca sprawa
Sebastiana M. i wypadku na A1
40 Marcin Piątek
Stracił wzrok, utrzymał
poważne stanowisko w firmie

Rynek

- 44 Agnieszka Sowa
Modni ambasadorzy marek
47 Dr **Bogusław Grabowski**,
ekonomista, o tym, w jakim stanie
jest naprawdę polska gospodarka

Świat

- 50 Agnieszka Zagner **IZRAEL**
Życie w cieniu wojny
53 Mateusz Mazzini **KUBA**
Ucieczka młodych
56 Jędrzej Winiecki **ARKTYKA**
Wyścig lodolamaczy

Nauka/projektpulsar.pl

- 58 Marcin Rotkiewicz
15 lat po awarii elektrowni
jądrowej w Fukushima
61 Agnieszka Krzemińska
Miesięcznik „Wiedza i Życie”
– **niezwykłe losy stulatk**

Historia

- 64 Tomasz Targański **USA kontra Iran**
– **jak doszło do obecnej wojny**
67 Juliusz Ćwieluch **Anioły i demony**
kapitana Karola Cierpicy

Kultura

- 74 Jakub Demiańczuk
Hollywood ery Trumpa
78 Rozmowa z członkami duetu
Sw@da x Niczos,
laureatami Paszportu
POLITYKI w kategorii
muzyka popularna
82 Piotr Sarzyński
Alina Szapocznikow
– **rzeźbiarka kobiecości**
85 Rozmowa z **Agatą Turkot**, filmową
Gością z „Domu dobrego”, a teraz
Heleną z serialu „Piekło kobiet”
88 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**



Ludzie i style

- 94–97 • **Sensory dla zdrowych?**
• **Neonowe jabłuszka**
• **Sprawa temerska**
• **Cenne cenoty**
• **Atuty fenkułu**

Stałe rubryki

- 4 Przypisy • 6 Ludzie i wydarzenia
• 70 Afisz • 89 Witkowski • 90 Lis
• 91 Passent • 92 Mizerski • 92, 98 Galeria
POLITYKI • 93 Do i od redakcji
• 98 To jeszcze nie koniec



Przeszłość nas goni

Bartek Chaciński

Donald Trump może i próbuje gasić światowe konflikty, tyle że benzyną. W teorii atak na Iran to nie miała być wojna, tylko szybka operacja wojskowa albo nawet działanie deeskalacyjne. Tak jak amerykańskie działania w Wietnamie nie miały być wojną, tylko „kampanią kontrofensywną”. Tę zabawę w tworzenie nowych pojęć psują jednak ustalenia „New York Timesa”, że to Amerykanie byli odpowiedzialni za punktowe uderzenie na irańską szkołę dla dziewcząt, w której przebywało akurat 160 uczennic. Biały Dom nie potwierdził odpowiedzialności za to uderzenie, bada sprawę. Tymczasem świat – jak już w historii bywało – obserwuje pokaz siły USA z respektem, ale mu coraz wyraźniej nie kibicuje.

Pachnie to wszystko powrotem do czasów co najmniej przed 1989 r., kiedy nawet u nas zespół Lady Pank śpiewał o stanie „totalnej wojny” i że „coś dzieje się wciąż na Bliskim Wschodzie”. Odkładanie dyplomacji na rzecz pohukiwań, grózb i „operacji wojskowych” (co budzi skojarzenia ze stylem Putina, podobnie jak Trump grającego na sentymentach) nie prowadzi do deeskalacji. W społeczeństwie izraelskim jest 82-procentowe poparcie dla wojny z Iranem – jak donosi nasza wysłanniczka Agnieszka Zagner (s. 50). Niezadowoleni miłośnicy monarchicznej enklawy luksusu w Dubaju, w tym uciekinierzy podatkowi z Zachodu, żądają wsparcia swoich ojczyzn w ewakuacji (s. 16). Nie mamy danych sondażowych z Iranu, ale można się domyślać, że nie formują się tam hufce z kwiatami na powitanie armii Trumpa. Na razie społeczeństwo może się raczej zintegrować wokół nowo wybranego najwyższego przywódcy (s. 12).

Hasło „Make America Great Again” było przede wszystkim zawołaniem, żeby znów było tak, jak było. Światem rządzi retromania, zamęcamy się nieustannymi powrotami do przeszłości, a Simon Reynolds – krytyk muzyczny, który to pojęcie ukuł w kontekście kultury – ostrzegał kilka lat temu w POLITYCE, że najbardziej obawia się fali retropolityki. Ta przyszła ostatecznie wraz z Trumpem, ciągnąc za sobą tabuny naśladowców w różnych krajach, w tym w Polsce.

Prawo i Sprawiedliwość właśnie wybrało na kandydata na premiera reprezentanta głębokiej retropolityki Przemysława Czarńka. Działacza, który nie tylko stał „murem za Trumpem”, ale też ideologicznie reprezentował w Sejmie frakcję kościelną i ma sentyment do czasów,

gdy w życiu narodów Biblia – i to niekoniecznie Nowy Testament – była ważniejsza niż konstytucja. Jak notował na polityka.pl Michał Danielewski: „Nowe otwarcie PiS uosabia polityk flirtujący swego czasu ze skrajnie prawicowym ONR, marsze równości nazywający promocją zbrodni i wynaturzeń, wreszcie człowiek, który całkiem chętnie spekuluje, co by musiało się wydarzyć, żeby Polska wyszła z Unii Europejskiej”.

Czarnek to – jak klasyfikują złośliwi, przywołując bliskowschodnie skojarzenia – reprezentant katotalibanu. Zahartowany hipokryzją rodem z epoki przedświeceniowej. Twardy, gdy przychodzi komentować życie innych. Za to giętki, gdy przychodzi zadbać o własny interes. „Żadnych OZE-sroze dofinansowanych z dopłatami” – opisywał swoją przyszłą politykę, zapowiadając powrót do węgla. Choć sam, co mu z miejsca wytknięto, dach swojego domu pokrył panelami fotowoltaicznymi. Podobnie jak Trump ma jednak wdzięk tego najgłośniejszego wujka w rodzinie, który potrafi zignorować krytyków, argumenty i odpowiedzieć najbardziej beczelną ripostą, podpartą prawem boskim albo tzw. zdrowym rozumem. Czyny

to z niego rywala raczej dla Grzegorza Brauna niż liderów Konfederacji.

Na pewno jednak Czarnek, który uważa, że wolna republikańska Ameryka przyniesie wolność Polsce, pasuje do prezydenta Karola Nawrockiego, wrażliwego na punkcie interesów USA i wierzącego, że to mu zagwarantuje poparcie. „Cała Polska miała być odtąd taka jak on sam, czyli radykalnie prawicowa, ideologicznie antyeuropejska i zakochana po uszy w Ameryce Trumpa. A że tak nie jest, pokazała właśnie sprawa SAFE” – pisze Rafał

Kalukin (s. 20) w kontekście kluczowego dziś popieranego przez Polaków europejskiego programu obronnego.

Z tą wolnością też nie jest tak, jak uważa Czarnek. Świadczy o tym choćby atmosfera wokół Oscarów, które w tym tygodniu wręczane będą w Los Angeles. Hollywood zaczyna odczuwać skutki kontrewolucji społecznej, którą prowadzi administracja Trumpa. Tracą pracę gwiazdy show-biznesu, które śmiały skrytykować nowy establishment albo potępiały działania Izraela. Udało się też doprowadzić do zakupu koncernu Warner Bros. Discovery (wraz z polskim TVN) przez kierowany przez bliskiego Trumpowi Davida Ellisona konglomerat Paramount Skydance. Szczegóły transakcji i nastroje w Fabryce Snów opisujemy na s. 74. Po raz pierwszy dojdzie do połączenia dwóch studiów z hollywoodzkiej „wielkiej piątki”, w sposób niebezpiecznie monopolizujący słabnącą branżę.

Trudno odgadnąć, czym skończy się ten proces. Łatwiej było, jak się okazuje, przewidzieć decyzję prezesa Jarosława Kaczyńskiego. Już w sierpniu 2023 r. nasz tygodnik miał okładkę z Przemysławem Czarńkiem i hasłem o tym, że „idzie na premiera”. Można to oczywiście uznać za jeszcze jedno świadectwo tego, że żyjemy w dziwnej pętli czasu z ciągle doganiającą nas przeszłością. Jest z niej jedno wyjście – do przodu. Krok za krokiem. Na początek polecamy lekturę zupełnie nowego wydania POLITYKI.



Albatros
40
lat

Albatros travel

BOTSWANA, DELTA OKAWANGO I VICTORIA FALLS

Wyjątkowa podróż z ostatnich nietkniętych obszarów naturalnych Afryki. Safari w parku Chobe i Delcie Okawango oraz dwa dni przy Wodospadach Wiktorii.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. Dz. 2 Przyjazd do Victoria Falls, Zimbabwe. Zakwaterowanie w hotelu, spacer po miejscowości i czas wolny na odpoczynek. Dz. 3 Victoria Falls. Wycieczka do wodospadów. Dz. 4 Przejazd do Parku Narodowego Chobe w Botswanie. Dz. 5 Safari w Parku Chobe. Dz. 6 Przelot do regionu Khwai w Delcie Okawango. Dz. 7-8 Safari w Delcie Okawango. Dz. 9 Przejazd do Prywatnego rezerwatu Mababe nad rzeką Khwai. Dz. 10-11 Poranne i wieczorne safari w rezerwacie Mababe. Dz. 12 Przelot do Maun i powrót do domu. Dz. 13 Przyjazd do Warszawy.

13 dni
Wyloty z Warszawy
01/12 2026, 09/02 2027

od **28.998,-**



NOWOŚĆ



2 posiłki dziennie

W cieniu Wezuwiusza – Neapol, Pompeje i Amalfi

Historyczne bogactwa Neapolu, tragedia Pompejów, niespokojny i majestatyczny Wezuwiusz, malownicze wybrzeże Amalfi i wiele innych skarbów regionu Kampanii.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot do Neapolu i przejazd do hotelu. Dz. 2 Wizyta w fabryce włoskiego makaronu w Gragnano, po południu opcjonalna wycieczka do krateru Wezuwiusza. Dz. 3 Wizyta w Pompejach. Zwiedzanie Neapolu i jego słynnej starówki wpisanej na listę UNESCO. Dz. 4 Wybrzeże Amalfi oraz greckie świątynie w Paestum. Dz. 5 Wycieczka do Sorrento. Dz. 6 Wycieczka na wyspę Capri. Dz. 7 Czas wolny lub fakultatywna wycieczka do Herculaneum. Dz. 8 Transfer na lotnisko i wylot do Polski.

8 dni | Wyloty z Warszawy 13/05, 27/05 2026 | od **6.298,-**



Romantyczna Anglia – zamki, legendy i malownicze pejzaże

Zobacz największe atrakcje Anglii, od królewskiego Windsoru i malowniczych wiosek Barnaby'ego po miejsce urodzenia Churchilla i zagadkowe kamienie Avebury.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Londyn. Oksford oczami inspektora Morse'a i dolina Tamizy detektywa Barnaby'ego. Dz. 2 Zwiedzanie Windsoru wraz z rezydencją królów angielskich. Dz. 3 Szekspir i Stratford-upon-Avon oraz zachwycające krajobrazy Cotswolds z Chipping Campden. Dz. 4 Angielski urok Bibury i pałac Blenheim. Dz. 5 Rzymskie miasto Bath. Dz. 6 Avebury, Salisbury i Bournemouth. Dz. 7 Bournemouth – Portsmouth. Powrót do Warszawy.

7 dni | Wyloty z Warszawy 20/05, 26/08 2026 | od **6.498,-**

albatros.pl

Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: PL08

eprasa.pl 03973d418f

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

Skok na sejf

Prezes NBP, oznajmiając, że znajdzie 185 mld zł, nie powiedział nawet, jak to zrobi, ale dał pretekst prezydentowi, żeby nie podpisywał uchwalonej już ustawy o SAFE. I tylko o to chodziło. Cały przekaz

Adama Glapińskiego skierowany był wyłącznie do Polaków, którzy – jak wskazują sondaże – nie chcą, aby **Karol Nawrocki** rezygnował z taniej unijnej pożyczki, która zasilą polski przemysł zbrojeniowy i wzmocni naszą obronność. Ewentualne weto byłoby więc niezrozumiałe, budziłoby niechęć do prezydenta. Co innego, gdy pojawia się jeszcze lepsza propozycja, od Glapińskiego – o pieniądze postara się NBP, bez żadnych warunków, które spowodują wstrzymanie wypłaty, w dodatku pożyczka będzie na 0 proc. To zabieg czysto piarowy, prezes NBP bowiem nie ujawnił, skąd weźmie tak wielką sumę.

Od czasu, gdy władzę objęła koalicja 15 października, NBP nie ma zysku, który wcześniej, gdy rządził PiS, przekazywał do budżetu. Prezes Glapiński, jeszcze w grudniu, zawiadamiał też premiera Tuska, że w tym



roku straty będą jeszcze większe. I nagle, po dwóch miesiącach zmienia zdanie i pokazuje kapelusz, z którego niczym iluzjonista wyciągnie 185 mld zł? Jeśli, jak spekulują ekonomiści, będzie to tylko sztuczka księgowa, możliwa, ale niezupełnie zgodna z prawem, polegająca na nowej wycenie rezerw złota, to dlaczego nie zastosowano jej wcześniej? Złoto wszak drożeje od dawna, a wojna tuż za naszą granicą toczy się od kilku lat.

Ponieważ Glapiński nie podaje żadnych konkretnych, możliwy jest też inny wariant, zbliżony do już raz zastosowanego w pandemii, którego skutkiem był szybki wzrost inflacji. Konstytucja zabrania NBP finansowania deficytu rządu, więc Glapiński, nawet gdyby wykreował w cudowny sposób pieniądze, nie mógłby

udzielić pożyczki rządowi. Ale NBP może ten zakaz ominąć i wykupić obligacje, które wyemitowałby Bank Gospodarstwa Krajowego, a pieniądze przekazać Funduszowi Wzmacniania Sił Zbrojnych, który mógłby je wydać głównie na zakupy w USA – nie zaś w Europie, co przewiduje SAFE.

Gdyby tak się stało, prawica upiekłaby jednocześnie aż trzy pieczenie. Nawrocki nie obawiałby się zawetować ustawy, Glapiński jeszcze raz wsparłby swoje środowisko polityczne, a dzięki kreatywnej księgowości pieniądze można by wydać głównie na zakupy w Stanach, mówiąc jednocześnie dużo o suwerenności. Dlatego po wtorkowym spotkaniu premiera z prezydentem i prezesem NBP (już po zamknięciu tego numeru) nie należy spodziewać się konkretnych.

JOANNA SOLSKA

HPV: fejki zamiast szczepień

Internet zaalała fala fałszywych informacji na temat zapowiadanych przez ministrę zdrowia zmian w szczepieniach przeciwko HPV (wirus brodawczaka), które od stycznia 2027 r. mają być obowiązkowe dla dzieci w wieku 9–15 lat. Resort musi się tłumaczyć z rzekomego braku badań nad bezpieczeństwem szczepionek czy absurdalnych zarzutów o promowanie rozwiązości czy szczepionek powodujących bezpłodność. Krążące po sieci fejki – co typowe – wykorzystują manipulowane dokumenty. Ministerstwo odsyła więc na stronę Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego – Państwowego Zakładu Higieny, gdzie czytamy, że szczepionki na HPV najpierw były kontrolowane przez europejską Agencję Leków w czasie ich rejestracji, a „po wprowadzeniu ich do stosowania dodatkowo każdą serię szczepionki kontroluje producent szczepionki i niezależne od niego laboratoria państwowe OMCL (Official Medicines Control

Laboratory)”, czyli w Polsce Narodowy Instytut Leków.

Polska jest ostatnim krajem UE, który wprowadził szczepienia na HPV dla dzieci.



Docelowy poziom tzw. wyszczepialności: 70 proc. jest na razie nieosiągalny. Program działa od czerwca 2023 r., statystyki ostrożnie wskazują, że np. rocznik 2012 został wyszczepiony w ok. 40 proc. Jeśli chodzi o populację osób do 18. roku życia, tylko 16 proc. z nich jest pod ochroną przed wirusem.

Szczepienia idą jak po grudzie, mimo że – po pierwsze – dzieci do 14 r.ż. szczepią

się bezpłatnie, a osoby do 18 r.ż. mają prawo do pełnej refundacji na jedną z dwóch dostępnych na polskim rynku szczepionek. Po drugie, to szkoły w coraz większej mierze biorą na siebie organizację szczepień. Z kolei osoby dorosłe mogą skorzystać z 50-procentowej refundacji szczepionki przeciw HPV – wówczas koszt to ok. 140 zł za dawkę; łącznie należy przyjąć je trzy.

Im wcześniej, tym lepiej. Skuteczność szczepionki jest najwyższa w najmłodszych grupach wiekowych i stopniowo spada z każdym kolejnym rokiem. Międzynarodowe wytyczne zalecają szczepienie przeciw HPV osobom po ukończeniu 9 r.ż., niezależnie od płci.

HPV pozostaje jednym z najbardziej rozpowszechnionych patogenów – zakażenia, przenoszone głównie drogą płciową, mogą prowadzić do raka odbytu, pochwy, sromu, prącia, przestrzeni ustno-gardłowej oraz okolic głowy i szyi. Jak zaznacza Narodowy Instytut Zdrowia Publicznego, w ciągu swojego życia zakażona HPV była lub będzie większość z nas – bo aż 80 proc. aktywnych seksualnie kobiet i mężczyzn. (AGSZCZ)

Dyżury grozy

Trupi dyżur – jak prokuratorzy pieśczośliwie nazywają swoje obowiązki po godzinach urzędowania – to od lat drażliwy temat w tym środowisku. Trupi, ponieważ najczęstszą przyczyną wzywania prokuratora do pracy po godz. 15.30 (czyli po godzinach urzędowania jednostki) jest właśnie czyjś zgon. Trudno się dziwić, że prokuratorzy nie przepadali za tą robotą. Nie przepadali za nią również dlatego, że będąc na dyżurze, nie mogli dysponować swoim czasem. Na dyżurze, który prokurator odbywa pod telefonem, może nie wydarzyć się nic, ale może też się okazać, że trzeba jechać nawet na dwa lub trzy zdarzenia.

Od listopada zeszłego roku sprawa dyżurów weszła na nowy poziom. 30 października Europejski Trybunał Sprawiedliwości wydał wyrok, który był efektem wniosku złożonego przez chorwackiego prokuratora, domagającego się uznania dyżurów pod telefonem jako pracy. A co za tym idzie – uznania, że należy mu się za to wynagrodzenie. ETS podzielił jego tok myślenia. Wyrok ma konsekwencje nie tylko dla chorwackiego, ale też dla polskiego wymiaru sprawiedliwości, choć – jak podkreśla jeden z szefów prokuratury okręgowej – realia pracy w Chorwacji i w Polsce są inne. – Zarobki w polskiej prokuraturze są godne. To ponaddwukrotność kwoty bazowej, która obecnie wynosi 7,8 tys. zł. Plus różnego



rodzaju dodatki. Koledzy zarabiają po 20, 30 tys. zł brutto. To chyba satysfakcjonująca płaca – słyszymy od prokuratora okręgowego. Przy tym prokuratorzy nie płacą większości składek do ZUS (emerytalnej, chorobowej, rentowej). Przysługuje im również zwiększona liczba dni urlopowych. Po 10 latach pracy dostają prawo do kolejnych sześciu dni urlopu ekstra. A po 15 latach liczba tych dni rośnie do 12, co w sumie daje 38 dni urlopowych w roku. – Na miejscu moich kolegów i koleżanek dobrze bym się zastanowił, czy jest sens walczyć o kolejne przywileje, bo można stracić już zdobyte, np. dodatkowe dni urlopowe – przestrzega nasz rozmówca.

Jednak związki zawodowe w prokuraturze chcą o pieniądze za dyżury walczyć. Powstaje nawet wzór wniosku, który prokuratorzy mają składać do sądów pracy za zaległe wynagrodzenie z tytułu kwot niezapłaconych za dyżury. W Warszawie złożony już został nawet pierwszy pozew. A konkretnie 11 pozwów (w ten sposób można uniknąć opłaty z tytułu wpisu sądowego) złożonych przez tego samego prokuratora Wojciecha Groszyka. Swoje roszczenia z tytułu dyżurowania wyliczył na 514 tys. zł. – Lekarz na dyżurze może przespać całą noc albo operować całą noc. I nie ma znaczenia, czy spał, czy ciężko pracował. Po prostu mu się płaci. Nie rozumiem, dlaczego prokuratorzy mieliby być traktowani inaczej – uzasadnia prokurator Groszyk. Jeśli sądy pracy zaakceptują jego tok myślenia, może to kosztować budżet ponad 3 mld zł. (JULL)

© ANDRZEJ IWANCUK/REPORTER, SHUTTERSTOCK

REKLAMA

POLITYKA

Zaprenumeruj nasz tygodnik przez

InPost Paczkomat 24/7

- Gwarantowana dostawa w środę do wybranego InPost Paczkomat 24/7
- Darmowa przesyłka przez cały okres prenumeraty
- Niższa cena za egzemplarz niż w punktach sprzedaży



● **679 zł za rok**
Oszczędzasz 150 zł
Tylko ~~16~~ 13 zł za numer

● **359 zł za pół roku**
Oszczędzasz 60 zł
Tylko ~~16~~ 13,80 zł za numer

blik

PayU



Wejdź na **polityka.pl/paczkomat** lub zeskanuj kod QR:

Nawrocki na polu minowym

Tomasz Nałęcz

Historyk, profesor UW, polityk;
doradca prezydenta RP w latach 2010–15.



Prezident Nawrocki musi podjąć najważniejszą ze swoich dotychczasowych decyzji, czyli przesądzić o losie ustawy o SAFE. Ma o czym myśleć. Zwłaszcza w tym przypadku jego weto to mina pułapka, nad którą traci kontrolę po zamontowaniu. Może ona wybuchnąć pod nogami rządu, lecz równie dobrze – porazić jego samego. Wszystko zależy od oceny weta przez opinię publiczną. Prezydent wygra, jeśli przekona ją, że działał w interesie kraju. Poniesie klęskę, jeśli radocy dojdą do wniosku, że kierował się partyjnym interesem PiS.

Pouczająca jest historia wcześniejszych prezydentur. Mistrzem weta był Aleksander Kwaśniewski, bardzo dbający, by nie można mu było zarzucić partyjnej stronnictwa. W czasie koabitacji z rządem AWS-UW (1997–2001) sięgał po weto, kiedy oczekiwała go większość społeczeństwa niezadowolona z działania rządu. Zyskał uznanie, dzięki któremu odnowił mandat prezydencki w 2000 r. już w pierwszej turze. AWS i UW zaś poniosły w 2001 r. klęskę, nie przekraczając progów wyborczych.

Zupełnie inaczej postępował Lech Kaczyński w czasie koabitacji z rządem PO-PSL (2007–10). „Nie będziesz pan spał po nocach – groził premierowi Tuskowi – jak będę panu wszystko wetować”. Słowa dotrzymał, nie podpisując rekordowo dużej liczby ustaw. Wyprzedził go dopiero Nawrocki, blokując w pierwszym półroczu

urzędowania więcej ustaw niż Kaczyński w dwa i pół roku. Sympię piach w tryby rządowej maszynierii, Kaczyński nie ukrywał, że wspiera PiS, partię brata bliźniaka. Sprawiał tym, że wiosną 2010 r., u progu kampanii prezydenckiej, sondaże nie dawały mu szansy na reelekcję. Za to PO w wyborach z 2011 r. zdobyła prawie 40 proc. głosów i odnowiła mandat rządu na drugą kadencję.

W przypadku zawetowania ustawy o SAFE pograżający prezydentów zarzut działania sprzecznego z interesem kraju jest wręcz niemożliwy do uniknięcia. Chodzi przecież o bezpieczeństwo narodowe, dobro najwyżej cenione przez Polaków, trafnie identyfikujących zagrożenie, jakie niesie imperialna polityka Rosji i wojna za naszą wschodnią granicą. Murem stoi za SAFE wojsko, liczące na pomnożenie aktywów obronnych, i to w najbardziej korzystny dla naszej gospodarki sposób – poprzez rozbudowę własnej produkcji zbrojeniowej. Popierają SAFE dowódcy nominowani jeszcze przez PiS, więc trudni do zdezwuowania. Lekceważąc ich stanowisko, prezydent skompromituje się jako zwierzchnik Sił Zbrojnych.

Aż nadto widoczne jest też tu działanie z motywów partyjnych. To PiS domaga się zawetowania ustawy. Czyni to nieprzekonywająco, potykając się o własne nogi. Bez umiaru krytykuje pożyczkę, choć zawierana jest ona na znacznie korzystniejszych warunkach niż kredyty zaciągnięte przez jego gabinety. Wychwała wymyśloną ad hoc, mało poważną wersję „SAFE 0 procent” bez słowa wyjaśnienia, dlaczego sam po to nie sięgnął przez osiem lat rządów.

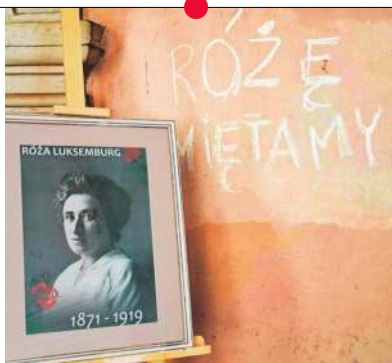
PiS nie potrafi znieść myśli, że rząd Tuska może odnotować sukces w cenionej przez rodaków sprawie, i to w ważnym przedwyborczym okresie. Kaczyński, bez zważania na konsekwencje, wypycha prezydenta na pole minowe. Czy on sam da się wepchnąć, przekonamy się już wkrótce.

Niewygodna Róża

Wczwartek 5 marca, w 155. rocznicę urodzin **Róży Luksemburg**, podjęto kolejną próbę jej upamiętnienia w rodzinnym Zamościu.

Sukces okazał się połowiczny: wprawdzie powstała pamiątkowa tablica, ale nie została nigdzie przymocowana ani nawet uroczystie odsłonięta. Otrzymała się za to konferencja z udziałem władz miasta. Prezydent Zamościa Rafał Zwołak przypomniał, że Luksemburg „była kobietą o niezwyklej odwadze intelektualnej”.

Luksemburg, pierwsza Polka z doktoratem z ekonomii, współzałożycielka polskiej i niemieckiej socjaldemokracji, w pewnym momencie stała się najlepiej opłacaną europejską publicystką, z Leninem spierała się o kształt rewolucji, demokracji i wolności słowa. Najślynniejszy jej cytat: „Wolność jest zawsze wolnością dla myślących inaczej”. Zamordowana w 1919 r., w jej pogrzebie w Berlinie uczestniczyły dziesiątki tysięcy osób. Ale w kraju jej imię nosi dziś raptem jedna ulica w Gliwicach. Postać intelektualistki spopularyzowała ostatnio Weronika Kostyrko, autorka biografii „Róża Luksemburg. Domem moim jest cały świat” (2024).



Jak dowiadujemy się w ratuszu, tablicy nie odsłonięto nie tylko z powodu braku zgody konserwatora zabytków, ale też opinii IPN. Dwóch wiceprezesów Instytutu wydało oświadczenie, w którym oburzają się na plany odsłonięcia tablicy „upamiętniającej komunistyczną działaczkę”, co stałoby „w sprzeczności z zakazem propagowania komunizmu oraz innych ustrojów totalitarnych w przestrzeni publicznej”. W dniach poprzedzających obchody na rynku występowali wiceprezesi IPN oraz politycy PiS.

Kostyrko przypomina, że nazwisko Luksemburg nie widnieje na liście nazwisk do zdekomunizowania dostępnej na stronie IPN. I że gliwicka ulica nadal nosi imię działaczki decyzją pisowskiego wojewody Jarosława Wierczorka z 2021 r., podjętą – jak podaje urząd miasta – „po analizie zgromadzonego materiału dowodowego”.

Gotowa tablica ma treść: „W 1871 r. w Zamościu urodziła się Róża Luksemburg, wybitna działaczka międzynarodowego ruchu robotniczego”. Jak podkreśla Kostyrko, każde słowo w tym sformułowaniu jest prawdą. – *Wcześniej uroczystości odbywały się w synagodze, a teraz przeniosły się do ratusza. Luksemburg została potraktowana jak obywatelka miasta. Byłam tym zbudowana* – mówi. (JHP)

NOWE WYDANIE JUŻ W SPRZEDAŻY



WYDANIE DOSTĘPNE TAKŻE
Z KOSMETYKIEM PIELĘGNACYJNYM
EVELINE COSMETICS DO WYBORU

RÓŻNE RODZAJE DODATKÓW ORAZ OKŁADEK DOSTĘPNE W WYBRANYCH PUNKTACH SPRZEDAŻY



MagazynZwierciadło



zwierciadlo_miesiecznik



sklep.zwierciadlo.pl

Miliard dziennie

Generałowie w Pentagonie mogą odczuwać satysfakcję. Zniszczenie większości irańskich wyrzutni rakiet i likwidacja czołowych przywódców reżimu z Alim Chameneim na czele, przy minimalnych stratach własnych, to dowód imponującej jakości amerykańskiej armii. Donald Trump ogłasza, że zaraz ostatecznie rozprawi się z Republiką Islamską, która stanowiła bezpośrednie, bliskie zagrożenie dla Ameryki, więc należało w nią uderzyć. Jednak tromtadacja prezydenta rozmija się z nastrojami w Stanach Zjednoczonych.

Inwazja na Iran nie ma poparcia większości społeczeństwa. Przed atakiem 27 proc. Amerykanów uważało, że jest potrzebna, po kilku dniach popiera ją, według sondaży, 35–45 proc., a 55–60 proc. jest przeciwnych. Kontrastuje to z inwazją na Irak w 2003 r., popieraną przez ponad 70 proc. Wówczas, dwa lata po ataku 9/11, łatwiej było przekonywać, że Ameryka jest w niebezpieczeństwie. Dziś mało kto w to wierzy, tym bardziej że uzasadnienia bombardowań przez Trumpa były fałszywe. Reżim w Teheranie nie miał rakiet transkontynentalnych, wywiad nie ostrzegał, że ośmieli się uderzyć w bazy USA w Zatoce Perskiej, a prezydent sam zapewniał, że w wyniku zeszłorocznego ataku instalacje atomowe zostały „unicestwione”.

Jest to zatem wojna z wyboru, dominuje niepokój, co może z niej wyniknąć, tym większy, że wyjaśnienia Trumpa są pokrętne. Najwyraźniej dał się przekonać premierowi Izraela Benjaminowi Netanyahu i republikańskim jastrzębiom w Kongresie, że po zeszłorocznym ataku i masowych protestach reżim jest dość osłabiony, by runąć po kolejnym ciosie. I wydaje się naiwnie wierzyć, że podobnie jak w Wenezueli wystarczy zmiana kierownictwa państwa. Raport



wywiadu przed inwazją ostrzegł Trumpa, że obalenie systemu się nie uda bez udziału wojsk lądowych.

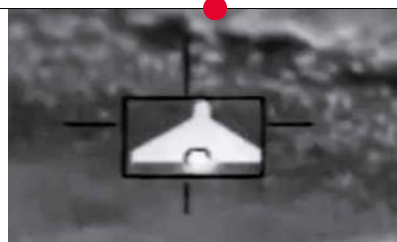
Tymczasem w miarę przedłużania się wojny rosną jej koszty polityczne i ekonomiczne. Uszczuplanie zapasów bomb i rakiet użytych na Bliskim Wschodzie martwi strategów konfrontacji z Chinami i przyjaciół Ukrainy, chociaż niespecjalnie tzw. zwykłych Amerykanów. Tych ostatnich bardzo jednak obchodzą rosnące ceny benzyny – skutek zwyczajki cen ropy – i przewidywane napięcia budżetu wobec wydatków na zbrojenia. Wojna kosztuje miliard dolarów dziennie i dopóki Republikanie mają w Kongresie większość, Demokratom nie uda się obciąć na nią funduszy. Jeżeli wojna potrwa i zginą kolejni amerykańscy żołnierze, a inflacja będzie rosła, niskie już notowania Trumpa mogą jeszcze bardziej zadołować, a z nimi słupki Partii Republikańskiej. Przewidując to, Trump zaczyna zrzucać balast z tonącego okrętu. Na pierwszy ogień poszła **szeffowa Departamentu Bezpieczeństwa Kraju Kristi Noem**, wyrzucona jako kozioł ofiarny za tragiczne skutki kampanii łapanek nielegalnych imigrantów.

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZYNGTONU

Wojna Szahedów

Po trójkątnym kształcie na niebie trudno się dziś zorientować, czy to dron. Amerykanie użyli przeciw Iranowi po raz pierwszy swoich kopii Szahedów, dronów uderzeniowych dużego zasięgu, których koncepcja i konstrukcja zrobiły w ostatnich latach światową karierę. Niby żaden cud techniki – cygarowaty kadłub w środku grubego trójkątnego płata, napędzany silniczkiem spalinowym. Jednak jego skuteczność, a dziś też popularność, to dowód zmiany podejścia do narezędzi prowadzenia wojny, w której nie tylko liczy się to, co najlepsze, lecz bardziej to, co dostępne, tanie i wystarczająco dobre.

Iran ma dronów pod dostatkiem i bez pardonu atakuje sąsiadów z Zatoki Perskiej. Nagła inwazja Szahedów na Bliskim Wschodzie wywołuje paniczne poszukiwanie środków ich zwalczania. A mistrzem świata w zestrzeliwaniu irańskich dronów



i ich rosyjskich klonów jest Ukraina. Robi to od ponad dwóch lat mimo stałego rozwoju technologii wroga. Sama co kilka tygodni udoskonala system składający się z rozproszonych, mobilnych, reagujących błyskawicznie stanowisk ogniowych, wspieranych siecią wykrywania złożoną z radarów, kamer, czujników akustycznych (Szahed wydaje charakterystyczny dźwięk) i geolokacji, napędzanej coraz bardziej przez AI.

Zainteresował się tym przywódca Arabii Saudyjskiej, znany z rządów twardej ręki Mohammed bin Salman. W rozmowie z Wołodymyrem Zełenskim pytał o systemy antydronowe i miał usłyszeć, że – jak najbardziej – sprawdzone bojowo rozwiązania są

dostępne. Przywiązani od dekad do amerykańskiego uzbrojenia i wydający na nie setki miliardów petrodolarów Saudowie wobec trójkątnego zagrożenia znaleźli się w kropce, bo sami Amerykanie ze swoją technologią nie potrafili obronić własnych baz przed Szahedami. Byłoby więc dla Ukraińców wielką nagrodą, nawet jeśli tylko pocieszenia, gdyby w wyniku irańskiego odwetu po amerykańskim ataku rozkwitł eksport ich technologii antydronowych do bogatych krajów Zatoki Perskiej. Jeszcze większą – gdyby po ich rozwiązaniu sięgnęli sami Amerykanie, a o tym też trwają rozmowy. Lekcji z ukraińskiej wojny byłoby więcej, bo irańskie uderzenia na metropole w Zatoce Perskiej przypominają zbrodniczą rosyjską taktykę mieszania dronów z rakietami, by zmylić obronę powietrzną i pozbawić bezpieczeństwa cywilów. Może, w zaskakującym zwrocie akcji, Kijów ma szansę zyskać w oczach Waszyngtonu atuty, jakich wciąż odmawia mu Donald Trump?

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

Islandia ku Unii

Wyspa gejzerów przyspiesza termin referendum na temat wznowienia negocjacji członkowskich z Brukselą. Odbędzie się w sierpniu – i raczej nie będzie to najtrudniejsza przeszkoda do pokonania: w ostatnim badaniu opinii 51 proc. Islandczyków opowiedziało się za takim krokiem. Z kolei przystąpienie do Unii Europejskiej ma dziś 44 proc. zwolenników i 36 proc. przeciwników. Znamienne, że ci pierwsi wzięli górę dokładnie cztery lata temu, po agresji Rosji na Ukrainę. Islandia, która rozpoczęła negocjacje akcesyjne w 2009 r. po wielkim kryzysie bankowym, szybko zamykała rozdział za rozdziałem i miała już nawet upatrzoną datę ślubu, ale kiedy w 2013 r. zmienił się rząd i klimat – państwo szybko staowało na nogi – rozmowy zawieszono, a potem zerwano.

Aż do teraz, kiedy na wyspę na nowo zawitała geopolityka i pojawił się Donald Trump. W pamiętnym przemówieniu w Davos wymieniał ją aż cztery razy, co prawda miał na myśli Grenlandię, ale szok pozostał. Była też wypowiedź Billy'ego Longa, Republikanina z branży nieruchomości, wybierającego się tu na ambasadora, podслuchana przez Politico, że Islandia powinna



zostać 52. stanem USA (według Trumpa 51. powinna być Kanada), a Long jej gubernatorem. Ambasador tłumaczył, że to tylko żart, i przeprosił.

Islandia nie ma armii i opiera swoją obronę na NATO, którego członkiem jest od zawsze, i na umowie obronnej z USA. Teraz chce mieć wspierającą unijną nogę. Nie bez znaczenia są kwestie gospodarczo-finansowe, szybko rosnące koszty utrzymania i drogi kredyt, ale nie one dominują: pod względem PKB per capita byłaby po Liechtensteinie i Luksemburgu najbogatsza w Unii. Negocjacje powinny przebiec szybko, bo Islandia należy do Europejskiego Obszaru Gospodarczego (EEA) i strefy Schengen, więc spełnia już wiele kryteriów.

Właściwie jest tylko jeden problem, za to potężny: ryby, a zwłaszcza dorsz i makrela. Rybołówstwo jest nadal podstawą gospodarki, dumą i kwestią suwerenności narodowej. To o kwoty połowowe i łowiska Islandia toczyła przez lata wojny z Wielką Brytanią, a Unia w obronie Londynu chciała ją nawet obłożyć sankcjami. Teraz Londyn jest out, nie zawetuje ambicji Rejkjaviku, ale do rozmaitych napięć połowowych ciągle może dojść. A po zakończeniu negocjacji musi się odbyć drugie referendum, to najważniejsze. Może być różnie. 37-letnia premier Kristrún Frostadóttir (najważniejsze funkcje w państwie i partiach pełnią obecnie panie), uprzedzając antyunijną retorykę, zapowiada, że „nic za wszelką cenę, musimy zapewnić sobie dobre porozumienie”.

Góra 5 proc.

Chińską gospodarkę dogoniły problemy dobrze znane reszcie świata. Konsumpcja wewnętrzna jest niemrawa, populacja się zmniejsza, rynek nieruchomości nie umie wyjść z kryzysu, rośnie dług publiczny. „Jesteśmy świadomi trudności” – przyznał premier **Li Qiang**, przedstawiając raport z prac rządu podczas dorocznej sesji Ogólnochińskiego Zgromadzenia Przedstawicieli Ludowych, czyli posiedzenia malowanego parlamentu. Li wyznaczył też cel wzrostu, najniższy od 1991 r. W przyszłym roku gospodarka ma urosnąć jedynie o 4,5, góra 5 proc.

W technokratycznie zarządzanych Chinach przekaz jest silnie sparametryzowany. Partia komunistyczna objaśnia obywatelom rzeczywistość przez pryzmat starannie dobranych statystyk, wskaźnikowi wzrostu nadała rangę fetyszu. To były bardzo wdzięczne dane, zwłaszcza w czasach gdy wzrost osiągał dwucyfrowe wartości i zgrabnie ilustrował tempo zmian zachodzących w Państwie Środka. Wówczas utarło się przekonanie, że gospodarka powinna rosnąć rok w rok o co najmniej 8 proc. Raz dlatego, że ósemka uchodzi za liczbę szczególnie szczęśliwą. Taki poziom miał też pozwolić na utrzymanie



stabilności rynku pracy. W ramach niespisanej zasady *Baoba* („utrzymać ósemkę”) zakładano, że każdy dodatkowy punkt procentowy wzrostu to od 1 do 1,5 mln nowych miejsc pracy więcej. Pożegnanie z ósemką rozpoczęło się w 2012 r., wtedy wyznaczony cel spadł do 7,5 proc. Ostateczny cios tej zasadzie zadała pandemia, gdy odstąpiono od wyznaczania celów wzrostu.

Wślad za spadkiem wskaźników zmieniała się partyjna opowieść. Zaczęto mówić o „nowej normalności”, przejściu do nowego modelu, w którym w coraz większym stopniu liczy się jakość rozwoju. Uwagę kraju przekierowano na zachowanie bezpieczeństwa, samowystarczalności i samodzielności w kluczowych branżach. „Musimy przygotować się na najgorsze, dążąc do tego, co najlepsze” – mówił premier Li. To sygnał do obywateli, by powściągnęli oczekiwania – również w kwestii spadku kilkunastoprocentowego bezrobocia wśród młodych. Także Chiny padają ofiarą geopolityki i „bezprecedensowych wstrząsów zewnętrznych”, teraz też płacą drożej za ropę naftową. Mają oczywiście sukcesy. Tylko w ostatnim roku wyprodukowano 16 mln samochodów elektrycznych i wprowadzono do służby nowy lotniskowiec, bo akurat wydatki wojskowe rosną szybciej niż gospodarka.

Irańska pułapka

Nowy przywódca Iranu **Modżtaba Chamenei** paradoksalnie może się okazać dla Donalda Trumpa sposobem na wyjście z wojny, w której dobrego dla Ameryki końca nie widać.



P

o szybkim sukcesie w Wenezueli prezydent Donald Trump mógł zakładać, że podobnie będzie z Iranem. Nowe zwycięstwo było mu tym bardziej potrzebne, że w polityce wewnętrznej szedł ostatnio od kryzysu do kryzysu – sprawa Epsteina, obalenie cel przez Sąd Najwyższy, problemy na rynku pracy.

Wszystko to skutkowało rekordowo niskimi notowaniami Trumpa: według sondażu dla CNN przed obecną wojną popierało go zaledwie 32 proc. Amerykanów.

Atak na Iran mógł zatem wydawać się ratunkiem dla Trumpa. A teraz wygląda na pułapkę.

Od 28 lutego Amerykanie i Izraelczycy przeprowadzili już ponad 4,5 tys. uderzeń na Iran, zgodnie ze stanem na niedzielę. Ataków ze strony Iranu było 3,5 tys., w sumie na 12 krajów z regionu. Po stronie irańskiej jest już co najmniej 1,5 tys. ofiar, kolejne 500 w Libanie. Zginęło też sześciu amerykańskich żołnierzy, po stronie izraelskiej straty to ok. 30 osób.

Gdy zamykaliśmy ten numer POLITYKI, płonęły magazyny paliwa w Teheranie. W Kuwejcie palił się jeden z najwyższych wieżowców. W weekend Amerykanie zniszczyli odsalarnie wody na jednej z irańskich wysp, w odpowiedzi Iran zniszczył największą odsalarnię w Bahrajnie. W nocy z niedzieli na poniedziałek cena baryłki ropy Brent pierwszy raz od czterech lat przebiła 100 dol., a na polskich stacjach paliw coraz częściej w cenniku pojawia się siódemka z przodu.

Trudno się czyta strategię Stanów Zjednoczonych i Izraela.

Tym bardziej że działają poza prawem międzynarodowym. Otóż jedno państwo może zaatakować drugie legalnie tylko w dwóch przypadkach. Jeśli na interwencję zgodzi się Rada Bezpieczeństwa ONZ (to oczywiście nie ten przypadek) lub kiedy zdaniem atakującego napaść drugiej strony jest nieuchronna, ale wymaga to twardych dowodów (urzędnicy administracji przyznali w poprzednią niedzielę przed Kongresem, że ich nie było).

Najpierw na cel poszła elita irańskiej władzy, w tym zabity w pierwszym ataku Najwyższy Przywódca Iranu Ali Chamenei („Dopadłem go, zanim on dopadł mnie” – powiedział Trump). Potem były ataki na irańską flotę wojenną i lotnictwo oraz niszczenie wyrzutni pocisków rakietowych. Od kilku dni Izraelczycy atakują ważne budynki publiczne, przede wszystkim te związane z Korpusem Strażników Rewolucji. Przez ostatni weekend systematycznie burzyli infrastrukturę energetyczną irańskiej stolicy.

Jeśli chodzi o reakcję Iranu, rzecz wydaje się bardziej klarowna. Już w październiku szef sztabu irańskich sił zbrojnych gen. Abdolrahim Musawi ostrzegał, że Iran nie ograniczy się do bezpośredniego odwetu. Ale chyba nikt nie spodziewał się, że uderzą na niemal wszystkich mużulmańskich sąsiadów. Irańczycy zaatakowali m.in. drogie hotele w okolicy Wyspy Palmowej w Dubaju, największą rafinerię w Arabii Saudyjskiej, największy na świecie zakład skraplania gazu w Katarze, amerykańskie bazy w Syrii i Jordanii, irański dron uderzył w brytyjską bazę na Cyprze, a irańskie pociski (być może zabłąkane) doleciały nawet do Turcji i Azerbejdżanu.

Ruch żeglugowy przez cieśninę Ormuz, łączącą Zatokę Perską i Ocean Indyjski, został w dużej mierze wstrzymany po tym, jak irańskie drony uderzyły w kilka statków, a ubezpieczyciele zawiesili polisy dla wielu innych. 2 marca Strażnicy Rewolucji ogłosili zamknięcie cieśniny, ostrzegając, że każdy statek próbujący przez nią przepłynąć zostanie podpalony. Warto tu dodać, że w czasach pokoju przez Ormuz przepływało 25 proc. światowej produkcji ropy naftowej i 20 proc. gazu LNG. W efekcie blokady zapikowały giełdy w Azji, która jest największym odbiorcą węglowodorów z Zatoki Perskiej.

Demonstracja poparcia dla Modżtaby Chameneiego, Teheran, 9 marca.
W górnym rogu jego portretu:
Ruhollah Chomeini i Ali Chamenei.



© MAJID ASGARIPOUR/REUTERS/FORUM

► **To, co wygląda na chaos, może być jednak spójną strategią.** – Irańczycy uderzają tam, gdzie może zależeć Amerykanów, choćby pośrednio – twierdzi Vali Nasr, irański politolog związany z Johns Hopkins University. – *Zaatakowane państwa z Zatoki Perskiej tracą nie tylko ważne instalacje, lecz przede wszystkim dobrą opinię spokojnych miejsc do robienia biznesów. To są bardzo bogaci ludzie, a przez to mają posłuch u Trumpa. I dlatego Irańczycy liczą, że oni w końcu zadzwonią do Waszyngtonu i poproszą o zatrzymanie działań wojennych.*

Tym bardziej że Amerykanom trudno powstrzymać takie rozproszone ataki – nie mają tyle systemów obrony, aby rozstawić je we wszystkich zagrożonych miejscach. Ale również dlatego, że Irańczycy stosują tzw. strategię mozaikową – zdając sobie sprawę, że na pierwsze ataki będą narażone ich centra dowodzenia, rozproszyli strukturę decyzyjną. I teraz o ataku zdecydować może dowódca nawet niewielkiej jednostki, co bardzo utrudnia napastnikom obezwładnienie całego systemu. W efekcie mamy do czynienia z rozdwojeniem faktów i ocen, choć militarne zwycięstwo Izraela i Stanów Zjednoczonych wydaje się oczywiste.

Iran już w pierwszych godzinach wojny stracił całą obronę przeciwlotniczą, nadwątloną podczas 12-dniowej wojny w czerwcu zeszłego roku. Samoloty napastników mogą działać w zasadzie bez ograniczeń, bo lotnictwo irańskie – przypominające muzeum lotnictwa – ze strachu nie podrywa się do lotu.

Sekretarz wojny USA Pete Hegseth powiedział, że siły amerykańskie zatopiły już 44 irańskie okręty. Przy czym poza dwiema większymi jednostkami (jedna z nich została zatopiona u wybrzeży Sri Lanki przez amerykański okręt podwodny) reszta to niewielkie kutry pościgowe, których Iran ma jeszcze co najmniej drugie tyle. I które mogą się jeszcze Iranowi przydać przy egzekwowaniu blokady cieśniny Ormuz.

Nie do końca wiadomo, jaki jest na dziś stan irańskiego potencjału rakietowego. W pierwszych trzech dniach wojny Iran według amerykańskiego sztabu miał wystrzelić ponad 500 pocisków rakietowych średniego i krótkiego zasięgu – to znacznie więcej niż podczas pierwszych trzech dni wojny czerwcowej. Ale już w czwartek Amerykanie informowali, że intensywność irańskich ataków rakietowych spadła o 90 proc.

Powody mogą być co najmniej dwa. Albo Izraelczycy i Amerykanie skutecznie polują na wyrzutnie tych pocisków, albo Irańczycy oszczędzają siły, licząc na to, że innymi środkami (np. tanimi dronami Szahed) wyczerpią środki obronne napastników i wtedy znów nasilą ataki. Zdaniem „The Wall Street Journal” Izraelowi w połowie przyszłego tygodnia zacznie brakować arsenału obronnego.

Kolejnym punktem zapalnym mogą się stać mniejszości etniczne w Iranie. Jak pisaliśmy w POLITYCE trzy tygodnie temu, Persowie od kilku lat nie stanowią już większości w 93-milionowym Iranie, a do największych mniejszości zalicza się Azerów (ok. 20 proc.) i Kurdów (10 proc.). Ci pierwsi od dekad są silnie zintegrowani z elitą polityczną Iranu, ale mieszkają na zwartym terenie graniczącym z Azerbejdżanem, który w ostatnich miesiącach kilkakrotnie sugerował, że Azerowie powinni żyć razem, co Teheran odebrał jako groźbę. Tym bardziej że Azerbejdżan od kilku lat ściśle współpracuje z Izraelem, który sprzedaje Baku broń, a granica z Iranem jest ponoć nafaszerowana izraelskim sprzętem do inwigilacji.

Jeszcze poważniej wygląda sprawa z Kurdami. Kilka dni przed atakiem z 28 lutego pięć największych organizacji irańskich Kurdów zawiązało koalicję i rozpoczęło intensywne szkolenia wojskowe na kurdyjskich terytoriach autonomicznych w sąsiednim Iraku. Dzień po ataku prezydent Trump miał rozmawiać z przywódcami irackich Kurdów, aby ci wsparli swoich braci z Iranu, a sekretarz Rubio przyznał, że choć Amerykanie nie zbroją irańskich Kurdów, mogą to robić Izraelczycy, którzy regularnie ostrzeliwują bazy Strażników Rewolucji przy granicy z Irakiem, co wygląda na torowanie drogi dla przyszłej kurdyjskiej interwencji.

Jest w końcu Liban. Gdy dzień po ataku Izraelczyków i Amerykanów na Iran libański Hezbollah wystrzelił na Izrael kilka pocisków, można to było odczytać jako akt desperacji i znak solidarności z irańskim patronem. Ale ten symboliczny atak posłużył Izraelowi za pretekst kolejnej, już siódmej – licząc od 1978 r. – inwazji na Liban.

Hezbollah jest w złej sytuacji. Po rozejmie z Izraelem z listopada 2024 r. musiał się wycofać z części terenów nadgranicznych, stracił podobno 60–70 proc. swojego rakietowego arsenału i prawie całe kierownictwo. Kolejny cios nadszedł ze strony Bejrutu, gdzie premier Nawaf Salam uznał najnowszy atak Hezbollahu za „nielegalny”, co się libańskim politykom dotąd nie zdarzało. Libańska armia zatrzymała już kilku dowódców tej organizacji, próbuje rozbrajać jej kolejne komórki. A Izrael wciąż bombarduje południe Libanu oraz sam Bejrut.

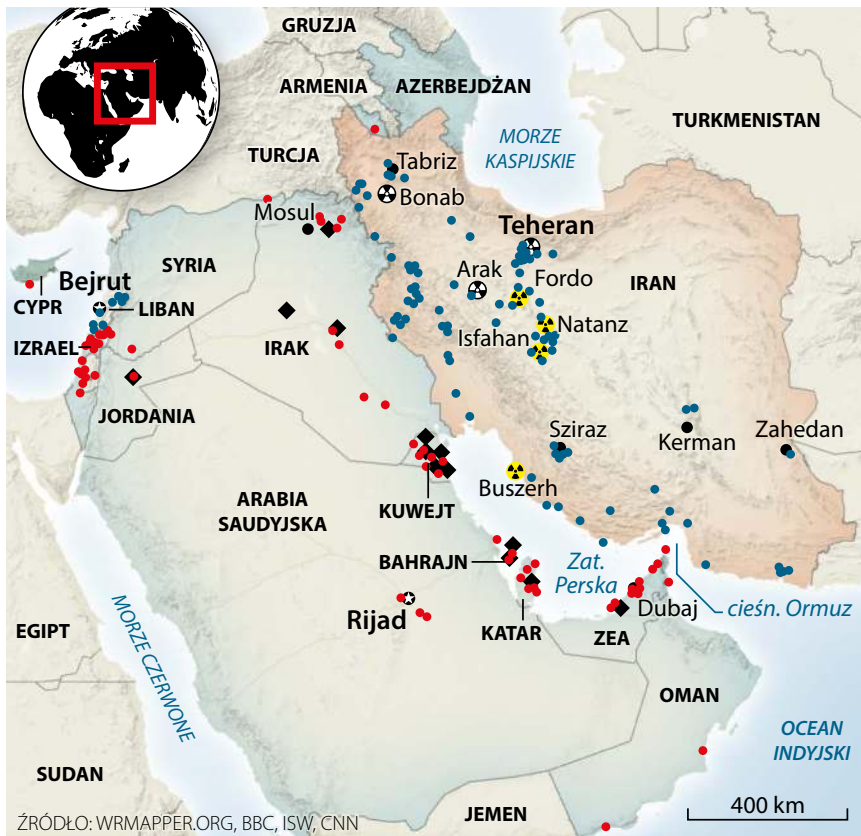
Mimo wszystko nie wygląda jednak na to, by irański reżim się rozpadał. Iran to nie Libia czy Syria, gdzie „ucięcie głowy”, czyli likwidacja przywódcy, rozsypuje cały system. W Iranie „reżim” wcale nie jest jednorodną grupą podejmującą decyzje w sposób odgórny i uporządkowany.

Polityka wewnętrzna jest tam zaskakująco burzliwa. Kreują ją duchowni (ajatollahowie), biurokraci, wybrani politycy (np. prezydent Masud Pezeszkian) i przede wszystkim Korpus Strażników Rewolucji, paramilitarna organizacja dublująca wiele funkcji państwa (własna armia) i kontrolująca nawet 60 proc. irańskiej gospodarki.

Sprawnie funkcjonuje wciąż system zastępowania zabitych prominentów, z Najwyższym Przywódcą włącznie. W nocy z niedzieli na poniedziałek potwierdziły się krążące pogłoski, że nowym Najwyższym został Modżtaba Chamenei, 56-letni syn zabitego Alego. Z pozoru trudno odczytać to inaczej niż postawienie się Amerykanom. Tym bardziej że Trump skomentował już wcześniej plotki o Modżtabie, twierdząc, że dla niego to kandydat nie do przyjęcia.

Modżtaba to wybór przewrotny. Do rewolucji 1979 r. doszło na kontrze wobec skorumpowanej monarchii. W kolejnych latach tak zażarcie pilnowano republikańskiego systemu, że gdy syn wodza rewolucji Ruhollaha Chomeiniego Ahmed zaczął przejawiać polityczne ambicje, zaraz „przydarzył” mu się śmiertelny zawał serca. Mało tego – sam zabity Ali Chamenei przez lata nie dopuszczał możliwości, aby jego syn również został Najwyższym. Nie przeszkadzało to Modżtabie współrządzić zakulisowo. Przez lata stał na czele biura swojego ojca, w którym pracowało prawie 5 tys. osób. Był kimś w rodzaju odźwierzaka – kontrolował, kto spotyka się z Najwyższym.

Jednocześnie Modżtaba Chamenei to człowiek Strażników. W czasie krwawej wojny z Irakiem (1980–88) walczył



ataki 28.02–5.03.2026 r.

- izraelskie i amerykańskie
- irańskie i Hezbollahu

- ☢ irańskie instalacje nuklearne
- ⊕ irańskie ośrodki badawcze
- ◆ amerykańskie bazy wojskowe

w słynnym Batalionie Habib, z którego wywodzi się praktycznie całe obecne kierownictwo Korpusu. Dzięki biznesom prowadzonym przez Strażników, głównie w branży naftowej, dorobił się fortuny – irański badacz Said Lajlaz wycenia go na ponad 3 mld dol. W dodatku jest zafascynowany Mohammedem Bin Salmanem, księciem koronnym i de facto władcą Arabii Saudyjskiej. A szczególnie jego programem modernizacji państwa przy zachowaniu religijnej czapy ideologicznej.

Taki człowiek, o ile nie dosięgną go teraz izraelskie rakiety, bardzo pasuje Strażnikom. Zapowiada kontynuację w biznesach przy jednoczesnym spuszczeniu z tonu w sprawach ideologicznych. Być może będzie również bardziej otwarty na jakiś układ z Amerykanami. W końcu kasa wyprowadzana z państwa poza demokratyczną kontrolą to jest temat, wokół którego obecna administracja USA i Strażnicy Rewolucji mogłyby się dogadać. Trump powinien więc przemyśleć zaakceptowanie Modżtaby, bo alternatywy mogą być gorsze.

Tym bardziej że amerykański prezydent mógł wpaść w pułapkę – nie może się teraz tak po prostu wycofać z wojny. Sam nie ustalił jasnych warunków zwycięstwa, a przynajmniej zmieniał je kilkakrotnie. Chodziło już więc o zniszczenie irańskiego programu nuklearnego (ponownie, bo w czerwcu mówił, że już go zniszczył), arsenału raketowego, o wyzwolenie narodu irańskiego, o zmianę reżimu, a w ostatni piątek mówił wręcz o „bezw warunkowej kapitulacji” Iranu. Marco Rubio tłumaczył nawet, że Stany Zjednoczone musiały zaatakować, bo atak planował Izrael, więc i tak zostałyby zaatakowane w odwecie.

Tak czy inaczej, Trump musi zdobyć jakieś trofeum, które sprawi, że Amerykanie (i rynki finansowe) uznają, że wygrał. Bez tego wojna może się toczyć jeszcze tygodniami. A to oczywiście może być zgubne dla prezydenta USA. Już w chwili ataku 28 lutego tylko co trzeci Amerykanin poparł tę decyzję (gdy atakowali Afganistan w 2001 r., 90 proc. było za). A przed Republikanami wybory częściowe do Kongresu w listopadzie tego roku – jeśli wyraźnie przegrają, zdominowany przez Demokratów Kongres może sparaliżować Trumpa do końca prezydentury.

W samym Iranie takie zatrzymanie się Amerykanów w pół drogi może doprowadzić do konsolidacji reżimu, który po doświadczeniach obecnej wojny rzeczywiście może zainteresować się budową bomby atomowej.

- W takim wypadku USA będą musiały ponownie interweniować – przekonuje Abbas Amanat, irański historyk z Yale University.
- A największy paradoks polega na tym, że przed atakiem z 28 lutego i po masowych protestach z początku roku reżim irański był prawdopodobnie najstabszy w całej swej 47-letniej historii – mógł upaść bez jednej amerykańskiej bomby.

Inny irański rozmówca związany z opozycją, politolog z wykształcenia, uważa, że największy błąd Amerykanów polega na tym, że „założyli brak rozumu u Irańczyków”. – Nie podejrzewają naszych władz o szersze planowanie, o przygotowanie strategii.

A to błąd, irański reżim doskonale orientuje się w amerykańskiej polityce. Już raz obalił prezydenta USA.

W listopadzie 1979 r. grupa irańskich studentów wdarła się do teherańskiej ambasady USA i wzięła 66 zakładników. Był to odwet za przyjęcie na leczenie w USA szacha Rezy Pahlawiego, który dziewięć miesięcy wcześniej uciekł z Iranu przed rewolucją. Pahlawi był bliskim podopiecznym – Irańczycy powiedzieliby „kundlem” – prezydenta USA Jimmy’ego Cartera. A ten do ostatniej chwili nie wierzył, że w Iranie wybuchnie rewolucja, potem nie wiedział, co zrobić w sprawie zakładników w ambasadzie, i w końcu wysłał do Iranu amerykańskich żołnierzy, aby odbili zakładników – akcja okazała się katastrofą.

Carter z kretesem przegrał wybory prezydenckie z Ronaldem Reaganem w listopadzie 1980 r. Złożyło się na to wiele czynników, w tym potężny kryzys energetyczny w USA. Ale zajęcie ambasady w Teheranie, a potem ręczne sterowanie tym kryzysem przez Chomeiniego, miało znaczenie przełomowe, o czym zresztą doskonale wiedzieli sami Irańczycy. Kilka minut po zaprzysiężeniu Reagana zwolnili wszystkich zakładników.

Nasz rozmówca, irański politolog, twierdzi, że Trump jest w „pułapce Cartera”. – Irańskie władze teraz na pewno nie zdecydowały się na zawieszenie broni, nawet jeśli inicjatywa wyjdzie od Amerykanów – przekonuje. – Liczą, że koszty interwencji będą coraz wyższe dla USA. Że staną się tak wysokie, że Waszyngton będzie szukał uspokojenia sytuacji i następnym razem dwa razy się zastanowi, nim zaatakuje Iran.

ŁUKASZ WÓJCIK

Baj, baj Dubaj

Na atak Izraela i USA Iran odpowiedział tak, by cały świat zabolalo. Ostrzeliwując bliskowschodnich sąsiadów rakietami i dronami, sparaliżował dwa kluczowe przemysły – paliwowy i turystyczny. Firmy naftowe myślą teraz, czym zastąpić ropę i gaz z Zatoki Perskiej, a biura podróży – jak wywieźć turystów z Dubaju. No i co będzie z tegorocznymi wakacjami?

ADAM GRZESZAK



W ciągu pierwszej doby wojny na Zjednoczone Emiraty Arabskie (ZEA) spadło niemal tyle samo irańskich pocisków i dronów, ile na Izrael, choć emiraty podkreślały swoje niezaangażowanie i nie zezwoliły na wykorzystanie przestrzeni powietrznej do celów wojennych. Szczególnym celem okazał się Dubaj. Choć większość rakiet i dronów udało się zestrzelić, to boleśnie ucierpiało wiele atrakcji i źródeł dochodu miasta, uchodzącego dotąd za oazę spokoju, luksusu i dobrobytu. Ofiarą ataku padła sztuczna wyspa Palm Jumeirah, odłamki drona podpaliły fasadę Burdż al-Arab, uszkodzony został popularny Hotel Fairmont. Zaatakowano także port morski Dżabal Ali, jednak najgorszy w skutkach był atak na lotnisko w Dubaju. To największy na świecie przesiadkowy port lotniczy (95 mln pasażerów w 2025 r.), kluczowy dla lotów międzykontynentalnych, szczególnie z Europy do krajów południowej Azji i Afryki.

Atak Iranu na arabskich sąsiadów bardzo zaskoczył nie tylko monarchów z Zatoki Perskiej, ale także władcę świata Donalda Trumpa, który przyznał, że to „największa niespodzianka”. Zaskoczenia nie kryli też turyści, ci wypoczywający i robiący zakupy w Dubaju, słysząc nagle huki wybuchów i widząc zestrzeliwane rakiety, ale także będący tu przelotem na podróży do Indii, Tajlandii, Malediwów, Sri Lanki, Bali czy Seszeli lub stamtąd wracający. Nagle przestrzeń powietrzna ZEA została zamknięta, a samoloty uziemione, podobnie jak podróźni. Linie lotnicze musiały rozlokować pasażerów w hotelach, na szczęście rząd ZEA wziął na siebie związane z tym koszty. Wstrzymano też operacje na pozostałych głównych lotniskach w regionie – w Abu Dhabi oraz w Doha w Katarze. Zawieszono również operacje w Bahrajnie, Kuwejcie, Bagdadzie w Iraku i Ammanie w Jordanii.

Zwykły Polak w Dubaju

Do mediów w Polsce zaczęły docierać rozpaczliwe sygnały turystów, że niczego nie można się dowiedzieć, do ambasady nie sposób się dodzwonić, a touroperator nie odpowiada. I w ogóle: co z nami teraz będzie?

Sprawa od razu nabrała charakteru politycznego, zwłaszcza po komentarzu w serwisie X szefa MSZ Radosława Sikorskiego: „Sytuacja zmienia się co chwilę.

Mam nadzieję, że tym razem wszyscy doceniają, że od wielu tygodni apelowaliśmy, aby nie udawać się do krajów Bliskiego Wschodu i bardzo proszę o traktowanie tych ostrzeżeń poważnie”. Zabrzmiało to podobnie do słynnej sentencji premiera Włodzimierza Cimoszewicza skierowanej do powodzian: „Trzeba się było ubezpieczyć”. Politycy PiS poculi krew, więc ruszyli do ataku, próbując narzucić narrację, że władza lekceważy Polaków. W ślad za politykami ruszył komentarz sympatyków PiS z zarzutem „niedasizmu”. „Wyobraźcie sobie: zwykły Polak, który pracuje w Dubaju, ma tam rodzinę albo po prostu przesiadł się na lot w inne miejsce. Teraz przez groźbę wojny z Iranem i zakazy lotów utknęli tam bez pomocy!” – grzmiał na X oburzony poseł Marcin Horała. I dodawał, by nie było wątpliwości: „Nie mówimy tu o celebrytach czy influencerach”. Także prezydent Karol Nawrocki wezwał, by rząd „bardziej zabrał się do pracy w pomocy polskim turystom”.

Argumenty o zwykłych Polakach w Dubaju mocno rezonowały w sieci, ale nie tak, jak oczekiwali autorzy. „Od tygodni była mowa, aby nie lecieć na Bliski Wschód ani przez Bliski Wschód, a w ostatnich dniach szczególnie, a znów stada idiotów się znalazło, a teraz mają żale. Do kogo? Do swej głupoty chyba” – pisze jeden z komentatorów. A inny lakonicznie wzywa: „Niech na wielbłądach wracają!”. Res Futura Data House, zajmująca się analizą i monitorowaniem cyberprzestrzeni informacyjnej, raportowała, że 85 proc. komentarzy w sieci było wrogich ewakuacji na koszt państwa. „Pojawiają się dosadne stwierdzenia, że »państwo to nie Uber« i nie ma obowiązku podstawiać rządowych maszyn na wakacje all inclusive” – piszą analitycy.

Po kilku dniach, kiedy w portach lotniczych Zatoki Perskiej zaczęto przywracać częściowo ruch, zapadła jednak decyzja o wysłaniu dwóch wojskowych Boeingów w celu ewakuacji osób chorych i najbardziej potrzebujących. PLL Lot wysłały też samoloty na Sri Lankę i Malediwy, by ewakuować turystów w bezpośrednim rejsie do Polski, omijającym strefę wojny. Rząd podjął też decyzję o uruchomieniu Turystycznego Funduszu Pomocowego, by umożliwić biuram podróży zwrot pieniędzy wpłaconych za wycieczki na Bliski Wschód, odwołane z powodu działań wojennych.

– Gdy tylko wybuchła wojna w Zatoce, natychmiast powołaliśmy sztab kryzysowy – wyjaśnia Maciej Nykiel, prezes biura podróży Nekera. – Pokryliśmy wszystkie koszty wydłużającego się zakwaterowania, transferów i przelotów i szukaliśmy możliwości sprowadzenia turystów z Azji do Polski. Problem polega jednak na braku dostępnych maszyn zdolnych do tak dalekich rejsów i połączeń.

Bezpiecznie jak w Egipcie

Kiedy trwała ewakuacja turystów z Bliskiego Wschodu, na lotnisku Chopina w Warszawie ustawiła się kolejka na poranny lot czarterowy do Szarm el-Szejk w Egipcie. – Wojna? Zastanawialiśmy się, czy będzie bezpiecznie, ale mimo wszystko zdecydowaliśmy się lecieć, szkoda nam było rezygnować z wycieczki i stracić pieniądze – tłumaczył dwudziestoparoletni podróżny. Do Egiptu leci z dziewczyną, to ich pierwszy wyjazd w tamte strony. – Do Dubaju bym się raczej teraz nie wybrał, ale Egipt? Inny dodaje: – Sprawdziliśmy ostrzeżenia MSZ, nie było zakazu, więc lecimy. Oczywiście gdyby sytuacja była poważna i do Egiptu też dolatywały rakiety, na pewno byśmy nie polecieci. Szkoda ryzykować życie za 2,2 tys. zł.

Ostrzeżenia MSZ są kluczowe dla turystów, którzy wykupili zagraniczną wycieczkę i dziś obawiają się, czy zbytnio nie ryzykują. – Jeśli MSZ wyda najwyższe ostrzeżenie „nie podróżuj”, wówczas umowa zostaje rozwiązana, a turyście przysługuje zwrot pełnej kwoty. W innych przypadkach, rezygnując z wyjazdu, trzeba się pogodzić, że duża część wpłaconych pieniędzy przepadnie – wyjaśnia Jarosław Kałucki, ekspert branży turystycznej. Dziś ostrzeżenia czwartego stopnia obejmują Iran, Izrael, Liban, Jordanię, Bahrajn, Kuwejt, Katar, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Arabię Saudyjską i Syrię. Nieco później dodano Oman. Na stronach Rainbow i Itaki wciąż można znaleźć oferty wycieczek objazdowych po Iranie.

Irańskie drony dolatują też do Cypru i Turcji, a Egipt jest niepokojąco blisko strefy wojny. Co z nimi? W końcu rząd USA nakazał swoim obywatelom natychmiastowy wyjazd z Egiptu. „Pojawiają się w mediach informacje dotyczące Egiptu czy Turcji. Co do zasady, te kraje są bezpieczne. (...) Bardzo proszę, żebyśmy nie siali paniki wśród ludzi, którzy chcą normalnie odpocząć. Bo w wielu miejscach nadal można normalnie pojechać, ►



Lotnisko w Dubaju. W 2025 r. dubajski emirat odwiedziło blisko 20 mln osób.

► odpocząć i wrócić” – apelował na profilu X rzecznik MSZ.

Samo MSZ sieje jednak panikę, publikując informację w sprawie Cypru: „Nie można wykluczyć nagłego zamknięcia przestrzeni powietrznej dla ruchu cywilnego i wystąpienia trudności z opuszczeniem wyspy”. To „nie można wykluczyć” dotyczy także, rzecz jasna, Egiptu. Czy to oznacza, że można zrezygnować z wycieczki na Cypr lub do Egiptu i odzyskać całość kwoty? Według touroperatorów nie, choć w ustawie o imprezach turystycznych jest przepis, który mówi, że „podróżny może odstąpić od umowy o udział w imprezie turystycznej przed rozpoczęciem imprezy turystycznej bez ponoszenia opłaty za odstąpienie w przypadku wystąpienia nieuniknionych i nadzwyczajnych okoliczności występujących w miejscu docelowym lub jego najbliższym sąsiedztwie, które mają znaczący wpływ na realizację imprezy turystycznej”. I bądź tu mądry. Dlatego niektórzy turyści o słabszych nerwach, chcąc uratować swoje pieniądze, starali się znaleźć zastępstwo i publikowali w internecie oferty w rodzaju „Sprzedam wakacje, oferta super last minute”.

– Zainteresowanie wyjazdami nie spada, ale obserwujemy wyraźne przesunięcie ku

innym bezpiecznym destynacjom. O tej porze roku sprawdzają się Wyspy Kanaryjskie, Wyspy Zielonego Przylądka, Maroko i Zanzibar – wyjaśnia Marzena Buczkowska-German z serwisu wakacje.pl, największego multiagenta turystycznego w Polsce, dodając, że wyloty do Egiptu i Turcji w tym momencie odbywają się zgodnie z planem.

Wakacje jak w bajce

Jarosław Kałucki nie spodziewa się, by wojna w Zatoce skłoniła w tym roku Polaków do rezygnacji z zagranicznych wakacji. – Tu działa efekt zapomnienia. Po kilku miesiącach mijają lęki związane z wyjazdami. Tak było choćby w 2015 r. po zamachach na turystów w Tunezji, w których zginęła trójka Polaków. Bardzo szybko polscy turyści powrócili. A w 2023 r., kiedy na Rodos szalał pożar, nie rezygnowali z wyjazdów, przekonując, że pali się w innej części wyspy – komentuje ekspert. O tegoroczny sezon wakacyjny jest też spokojny prezes Nykiel z Nekery. – Na wojnie w Zatoce skorzystają Turcja, Grecja, Włochy, Hiszpania, Chorwacja, Bułgaria, Malta, Cypr, Maroko i sama Polska. Tam przeniesie się główny ciężar ruchu turystycznego.

Dziś na wakacyjne nastroje Polaków ogromny wpływ mają influencerzy i celebryci, którzy obficie dzielą się w mediach społecznościowych wrażeniami z egzotycznych podróży – zachodami słońca nad morzem, drinkami z pałeczką nad hotelowym basenem i innymi atrakcjami. Bajkową stolicą polskich influencerów od dawna jest Dubaj. Lil Masti (dawniej SexMasterka), Jawor, Andziaks i Luka, Marcelina Zawadzka, Konopskyy, Kartonii – to niektórzy z polskich internetowych celebrytów zakochanych w Mieście Złota, o czym swoich fanów intensywnie informują. Część z nich została zaskoczona tam przez wojnę, ale na swoich profilach uspokojała, że nic takiego się nie dzieje, ot czasem na niebie wybuchnie jakaś strącana rakietą lub dron. A tak w ogóle niczego się nie spodziewali i o niczym nie wiedzieli. Jak zwykle złośliwa Karolina Korwin-Piotrowska oceniła, że „mają kisiel zamiast mózgu”, jeśli całą wiedzę o świecie czerpią z TikToka.

Złota ulica

Państwa Rady Współpracy Zatoki Perskiej (to bliskowschodni odpowiednik UE), szukając nowych obszarów aktywności gospodarczej, poza ropą i gazem, postawiły na turystykę. Megaprojekty



Jeden z wielu dubajskich sklepów ze złotem

w Arabii Saudyjskiej, turystyka kulturalna i zakupowa w Zjednoczonych Emiratach Arabskich i Katarze oraz inicjatywy rewitalizacji dziedzictwa w Egipcie i Maroku zmieniają globalną atrakcyjność regionu. Także Oman i Tunezja stawiają na inwestycje w turystyce. W 2023 r. turystyka stanowiła 6,7 proc. PKB Bliskiego Wschodu i 8,1 proc. PKB Afryki Północnej.

Arabia Saudyjska w 2023 r. odnotowała rekordową liczbę 27,4 mln przyjazdów, z czego ponad 50 proc. w celach wypoczynkowych (reszta to pielgrzymki do Mekki). Jednak potęgą turystyczną są Zjednoczone Emiraty Arabskie, a emirat Dubaju jest tu liderem. W 2025 r. odwiedziło go blisko 20 mln osób. To miasto kosmopolityczne (90 proc. mieszkańców nie jest obywatelami ZEA), nowoczesna aglomeracja, która starała się odizolować od przemocy w regionie za pomocą pieniędzy, architektury i neutralności. Ponad połowę dochodów emiratu zapewnia lotnisko i port morski. Przy Downtown Dubai wszystkie luksusowe marki świata mają swoje sklepy, każdy globalny bank jest tu obecny. Dubaj tworzy pierwszą na świecie „Złotą Ulicę” w ramach nowej dzielnicy Dubai Gold District: 800-metrowy bulwar pokryty 400 kg złota. I nagle

na ten luksus, nie wiadomo dlaczego, posypały się irańskie drony i rakiety. Wprawdzie po tygodniu prezydent Iranu Masoud Pezeshkian przeprosił sąsiadów, że zostali zaatakowani, i obiecał, że już nie będą, ale wątpliwe, czy słowa dotrzyma. W każdym razie drony i rakiety wciąż wybuchają w różnych miejscach Półwyspu Arabskiego. A sam Dubaj stracił już magię bezpiecznej przystani Bliskiego Wschodu.

W ciągu ostatniego roku Dubaj odwiedziło ok. 100 tys. polskich turystów, tu również mieszka na stałe ok. 5 tys. Polaków. Mają polską szkołę dla dzieci, restaurację Polonia. – *To głównie osoby, które znalazły pracę w firmach działających w Dubaju, drugą grupę stanowią przedsiębiorcy, głównie z branży cyfrowych i technologicznych, którzy prowadzą tu działalność, a trzecią – osoby, które zainwestowały w nieruchomości w tym mieście* – wylicza pan Piotr, który zastrzega anonimowość, bo jest związany z dubajską administracją i ma zakaz komentowania obecnej sytuacji emiratu.

Dubajska czekolada+

Dubaj przyciąga, bo jest miastem ultrabogatym, a na dodatek rajem podatkowym. Tu nie płaci się podatku dochodowego od osób fizycznych (PIT),

obowiązuje 5 proc. VAT na większość towarów i usług, a przedsiębiorcy płacą 9 proc. CIT od zysku powyżej 375 tys. dirhamów (375 tys. zł). – *Żeby skorzystać z tego raju, trzeba przenieść do Dubaju swoją rezydencję podatkową, spędzać tu ponad sześć miesięcy w każdym roku, tu również mieć „ośrodek interesów życiowych”* – wylicza pan Piotr.

Te rajskie warunki podatkowe przyciągają influencerów z całego świata, w tym także z Polski. Oddalenie od krajowych followersów nie przeszkadza im w budowaniu zasięgów. Władze Dubaju doceniają i dbają o influencerów, a jeśli robią miastu promocję, potrafią się odwdziżyć. Jeśli zaś robią antyreklamę, wówczas muszą się liczyć z surowymi karami. Dubaj to nie jest oaza wolności słowa ani państwo demokratyczne. Influencer musi tu zarejestrować działalność gospodarczą i uzyskać licencję „influencer permit”. Lista zasad, do jakich powinien się stosować, jest długa, a celem przepisów jest „ochrona stabilności społecznej, wartości moralnych i odpowiedzialnej komunikacji w mediach”. Dlatego polscy influencerzy publikują dziś z Dubaju uspokajające materiały, wszyscy używając podobnych sformułowań. Żadnych niepokojących zdjęć zniszczeń, bomb czy pocisków. Nieorientowani krajowi fani pytają: co jest, dostajecie jakieś przekazy dnia?!

Dostają. Są telefony, naciski, ostrzeżenia – zdradzają to przedstawiciele dubajskiej międzynarodówki influencerskiej. Dubaj walczy dziś o utrzymanie wizerunku miasta bogatego, z magnetyczną zdolnością przyciągania ludzi i pieniędzy z całego świata, a wojna to psuje. Bo Dubaj to nie tylko miasto, to idea finansowa i marketingowa – przekonuje pisarz i analityk Shanaka Anslem Perera. „Skutki finansowe narastają. Nieruchomości w Dubaju, klasa aktywów, która gwarantuje połowę efektu bogactwa w Zatoce Perskiej, właśnie odkryła, że znajduje się w zasięgu irańskich pocisków balistycznych. Każda wycena nieruchomości na Palm Jumeirah, w Dubai Marina, w centrum miasta, zawiera teraz premię za ryzyko wojenne, która nie istniała 48 godzin temu”. Wniosek: po tej wojnie Dubaj już nie będzie taki sam: koniec raju w Dubaju.

ADAM GRZESZAK
WSPÓŁPRACA AGNIESZKA ZAGNER
I MALWINA DZIEDZIC

Gra w obronie

RAFAŁ KALUKIN

W sporze o SAFE powróciła stara polaryzacja z Jarosławem Kaczyńskim i Donaldem Tuskiem w rolach głównych oraz Karolem Nawrockim jako pionkiem na szachownicy. Za kulisami taktycznej rozgrywki dojrzeć jednak konflikt ideologiczny, który może określić ramy polskiej polityki w najbliższych latach.



P

odpisze czy nie? Teraz już wyraźnie zanosi się na weto, ale najpierw prezydent dał sobie czas na „konsultacje” z rządem w sprawie własnej propozycji „polskiego SAFE 0 proc.”.

Oczywiście bez nadziei na konkretne efekty, bo chodzi tylko o stworzenie narracyjnej podkładki pod odesłanie w niebyt ustawy implementującej SAFE. Na koniec Nawrocki rozłoży ręce, że chciał dobrze i zgłaszał najlepsze możliwe pomysły, ale niestety rząd nie chciał współpracować.

Ale tak naprawdę nie będzie to miało większego znaczenia, bo pieniądze z funduszy europejskich tak czy owak popłyną do Polski. Tyle że zostaną zaksięgowane na kontach Funduszu Wsparcia Sił Zbrojnych, a nie – jak przewiduje ustawa – przez Bank Gospodarstwa Krajowego. Z obcięciem paru miliardów na służbę

graniczną i policję oraz już bez gwarancji, że spłata kredytu nie obciąży budżetu MON, czego akurat domagał się prezydent. Ale samego programu nie jest w stanie zatrzymać. Proces inwestycyjny nabiera już tempa, pierwsze kontrakty zostały podpisane.

O co więc tyle krzyku? Cóż, nie pierwszy raz uczestniczymy w politycznym symulakrum, gdzie niemal wszystko dzieje się na niby. Nie o sam SAFE tutaj bowiem chodzi. To tylko kolejna odsłona polskiej polaryzacji, która zaczyna właśnie zastygać w nowej formie.

„Cios Nawrockiego, rząd liczony”, „Wspólna inicjatywa prezydenta i NBP rozbija rządową narrację w pył” – orzekli medialni narratorzy prawicy natychmiast po pojawieniu się na stole kontroferty głowy państwa. Cóż z tego, że tak bardzo

na początku mglistej, iż nawet wytrawni eksperci od finansów musieli tego główkować, żeby wyciągnąć jakiś konkretny z enigmatycznych i wewnętrznie niespójnych komunikatów Nawrockiego oraz prezesa NBP Adama Glapińskiego. Zbędny wysiłek, bo nie taki był cel wystąpienia obu polityków. Chodziło tylko o to, żeby stado cyfrowych owiec mogło donośnie zabeczeć: „Polski SAFE 0 proc. – dobrze, unijny 3 proc. – źle”.

Socjotechnicznie był to ruch nawet zręczny, chociaż trudno mówić o politycznej ofensywie prezydenta. Nawrocki jedynie ratował się z matni, w którą został wpędzony, a trochę też wpędził się sam, realizując skrajnie konfrontacyjny model prezydentury. Do tej pory sprawa pewnie wydawała mu się prosta niczym starcie na ringu: trzeba tłuc przeciwnika i patrzeć, jak puchnie. Dopiero SAFE pokazało, że brutalność ma swoje ograniczenia. Krzepki pałacowy bokser nagle uwił się w sprzeczności, z których wybrnięcie wymagało raczej talentu szachisty.

Sprzeczność zasadnicza wzięła się z przyjętego przez Nawrockiego założenia, że prezydent wyraża „wolę narodu”, ergo jest w stanie samodzielnie ją określać. Co jest nawet możliwe, chociaż w spolaryzowanej polityce to raczej opcja czysto teoretyczna. Należałoby bowiem porzucić konfrontacyjny styl na rzecz kompromisowego, stale szukać zbioru wspólnego, aspirować do bycia *par excellence* „prezydentem wszystkich Polaków”.

Nawrocki najwyraźniej jednak uważa, że jest to sankcja nadana mu mocą jakiejś tajemniczej wyższej siły, o którą nie należy zabiegać ani jej odnawiać. Mylnie zakładając, że skoro pociągnął za sobą w wyborach niewielką większość, ona już będzie zawsze za nim stała, niezależnie od sprawy. Cała Polska miała być odtąd taka jak on sam, czyli radykalnie prawicowa, ideologicznie antyeuropejska i zakochana po uszy w Ameryce Trumpa. A że tak nie jest, pokazała właśnie sprawa SAFE.

Bo jak wynika z badań, nawet pomimo intensywnej propagandy 55–60 proc. Polaków nadal popiera europejski instrument pozwalający niskim kosztem zwiększyć nasze zdolności obronne. I co więcej, „skażony” takim myśleniem pozostaje nawet co trzeci zwolennik tej czy innej prawicy. Ideologia rozeszła się zatem z realnymi lękami Polaków w niestabilnym świecie. I trudno się dziwić, skoro to stanowiący ideologiczną opokę prawicowego imaginariusz Trump jest dzisiaj głównym źródłem niestabilności, czego dowodzi chociażby agresja na Iran.

W tej sytuacji „prezydent wszystkich Polaków” wzięby głęboki oddech, zawiesił ideologię na kołku i tak pokierował procesem, żeby postawić się w roli współgospodarza i gwaranta programu. Wszak konstytucyjnie jest przecież zwierzchnikiem sił zbrojnych, któremu w sytuacji zagrożenia żaden pieniądź – o ile oczywiście legalny i korzystnie oprocentowany – nie powinien śmiedzieć. I dopiero w dalszej kolejności zastanowiłby się, że może warto dorzucić coś ekstra z „własnej puli” albo przynajmniej poszukać takiej możliwości. Tyle że obok SAFE, a nie – zamiast.

Pragmatycznego schematu nawet nie trzeba było zresztą wymyślać. Określił go jesienią ubiegłego roku nie kto inny, jak piśmowski minister obrony Mariusz Błaszczak w przypominanym teraz często wpisie w mediach społecznościowych, w którym próbował na zapas rozliczać rząd ze sprawności w inwestowaniu unijnych pożyczek. Do roli karbowego najlepiej zaś nadawał się właśnie Nawrocki. I prawicowy wyborca z pewnością by taką kreację „kupił”, tylko należało nad nim trochę popracować. Prezydent przegapił jednak właściwy moment, a kiedy się obudził, tkwił już po uszy

w schemacie ideologicznym, skrajnie dla niego niekorzystnym. Podpis pod ustawą implementującą SAFE byłby oczywiście spełnieniem oczekiwań większości Polaków, tyle że za cenę stygmatu mięczaka w oczach twardego elektoratu prawicy. A może nawet zaprzańca. Z kolei satysfakcjonując własnych „twardzieli”, musiałby ponieść koszt obniżenia naturalnego prestiżu i zaufania, jakimi zazwyczaj cieszy się głowa państwa wśród umiarkowanych wyborców, którzy stanowią klucz do reelekcji.

A wpędził go w tę pułapkę w pierwszej kolejności najbliższy sojusznik Jarosław Kaczyński. To na rozkaz prezesa PiS odpalił bowiem zmasowaną akcję propagandową przeciwko SAFE. I nieprzypadkowo ruszyła ona tego samego dnia, kiedy Nawrocki zwołał poświęconą unijnemu instrumentowi Radę Bezpieczeństwa Narodowego. Już mniejsza o to, czy w ogóle miał świadomość, jaka toczy się gra. Stał się pionkiem w rozgrywce swojego politycznego patrona, w której to Kaczyński wyłuskał wszystkie profity, przerzucając na Nawrockiego koszty.

Dla przeciętnego Polaka pisowska kampania była aberracją. Bo jak można kontestować tanie pożyczki, które w większości mają być zainwestowane w rozwój krajowego przemysłu zbrojeniowego, kiedy u naszych granic toczy się wojna? Tyle że to racja pragmatyczna, przemawiająca do ogółu. Kaczyńskiemu całkowicie dziś obojętne, gdyż przechodzący kryzys przywództwa prezesa PiS stawia sobie zupełnie inne cele niż zabiegający o szerszą popularność Nawrocki. I wbrew temu, co uważa większość komentatorów, Kaczyński niemal w komplecie je zrealizował.

Po pierwsze, PiS odzyskał narracyjną inicjatywę, a od wielu miesięcy jedynie reagował defensywnie na ruchy rządu. Teraz nagle powróciła słynna „mabena”. Wszystkimi kanałami zaczęła się wylewać jednolita propaganda, bombardująca argumentami o utracie suwerenności, brudnych niemieckich pieniądzach, mechanizmie warunkowości, zadłużaniu przyszłych pokoleń, ryzyku kursowym jak w kredytach frankowych, niewydolnym polskim przemysłem i łasym na kontrakty niemieckim koncernie Rheinmetall, dewastowaniu relacji z USA.

Niemal wszystko to jednak brednie bądź fantomy. Problemu warunkowości w ogóle by nie było, gdyby Orbán z Kaczyńskim nie zrobili skoku na praworządność. Sami więc sprowokowali sytuację, w której niemal każda wypłata z budżetu UE będzie odtąd warunkowana oceną stanu niezależnego sądownictwa. Podobnie każda inwestycja w zbrojenia siłą rzeczy jest „zadłużaniem przyszłych pokoleń”, gdyż z samego budżetu nie jesteśmy w stanie szybko zbudować zdolności odstraszania. Przy czym zadłużając się w ramach SAFE, akurat ograniczamy koszty długu, gdyż oprocentowanie unijnych obligacji jest niższe od krajowych. A dlaczego mielibyśmy ocalić suwerenność, kupując amerykański sprzęt (na który też trzeba coraz dłużej czekać), to już w ogóle głęboka tajemnica.

Ale nie o racjonalne argumenty w tym wszystkim chodziło. „Program SAFE jest pułapką i jest to absolutnie oczywiste dla każdego, kto skończył osiem lat i klockami Lego bawi się już tylko po pijaku” – malowniczo napisał jeden z dyżurnych propagandystów. Chodziło właśnie o demonstrację pewności, owej „absolutnej oczywistości”. O zagłuszenie odbiorcy masywnością komunikatu, odurzenie go ideologicznym koktajlem składającym się z uzależniających komponentów. Czyli wrogich Niemiec i naiwnej Europy, nieskalanej Ameryki, zagrożonej polskiej suwerenności.

Po drugie, puszczając w ruch swoją płytę, prezes PiS podjął próbę konsolidacji własnej partii oraz jej zaplecza. Przez lata ►

► przywykł do „centralizmu demokratycznego”, w którym wszystkich miał na skinienie. A teraz nagle wszystko zaczęło się rozłazić. Frakcje partyjne skaczą sobie do gardeł, niepomne na prezesowskie upomnienia. Kampanią wymierzoną w SAFE Kaczyński narzucił dyscyplinę. Wreszcie czymś zajął partię, która ograniczyła knucie po kątach, gdyż wszyscy partyjni święci rzucili się do kręcenia rolek o Tusku i Niemcach. Oczywiście nie na długo, bo zasadniczej przyczyny pęknięć już nie da się usunąć. Tutaj tylko eliksir młodości mógłby prezesowi na dłuższą metę pomóc. Ale przynajmniej trochę wygładził szwy, tym bardziej że kampania została zestrojona z ogłoszeniem „kandydata na premiera”. Przy okazji udało mu się trochę przyciąć Nawrockiego do pisowskiego wymiaru.

Po trzecie, Kaczyński odciął tlen prawicowym alternatywom. Brauna w ogóle nie ma, zniknął z widoku. Z Konfederacji przebił się głównie Krzysztof Bosak, ale z bliźniaczym przekazem jak PiS. Z kolei Sławomir Mentzen przypomniał o sobie dopiero krytycznym stanowiskiem wobec „SAFE 0 proc.”, bo musiał się jakoś odróżnić. Większość prawicowego elektoratu poszła jednak za narracją Kaczyńskiego. I znów – pewnie nie na długo, bo podział na trzy prawice jest strukturalny. Niemniej w taktycznej rywalizacji o uwagę obecnie to PiS po prawej stronie znów dominuje.

I wreszcie po czwarte, Kaczyński umocnił swój sojusz z trumpistami. W logice dużego obrazka to wydaje się coraz bardziej irracjonalne, gdyż Polacy z rosnącym niepokojem obserwują awanturniczą politykę obecnej amerykańskiej administracji. Skutkująca skokami cen paliw wojna na Bliskim Wschodzie może to tylko pogłębić. Tylko że Kaczyński – o czym była już mowa – obecnie kieruje się logiką małego obrazka. Poszukuje nowych źródeł tożsamości. Trochę jak po katastrofie smoleńskiej, kiedy też wszyscy dziwili się, po co brnie w sekciarskie teorie spiskowe.

Dzisiaj takim źródłem tożsamości jest MAGA. A niezależnie od tego opcja amerykańska skutkuje szeregiem praktycznych korzyści: politycznym oparciem w waszyngtońskiej elicie, dostępem do profesjonalnych szkoleń za oceanem, być może też wspólnymi interesami. Oczywiście podkopuje to ogólną opowieść o suwerenności jako wartości najwyższej, ale odpowiednio wytresowany wyborca jest w stanie racjonalizować takie sprzeczności.

Pozornie nonsensowna batalia okazuje się zatem politycznie uzasadniona. Nawet jeśli na krótką metę może to zaszkodzić sondażowym słupkom. W ostatnim sondażu Opinii24 poparcie dla PiS zjechało do katastrofalnego poziomu 22 proc. Tyle że ogólny poziom mobilizacji ogólnie też jest niski; w większości badań deklarowana frekwencja ledwo przekracza 50 proc. Jest więc ogromny rezerwuar głosów niezdecydowanych dzisiaj wyborców. Ale na ich mobilizowanie przyjdzie czas dopiero w roku wyborczym.

Gdzie dwóch się bije, tam obaj korzystają? Reguła sformułowana niegdyś przez politologa Marka Migalskiego kolejny raz zdaje się potwierdzać. Z rozgrywki o SAFE na swój sposób zwycięsko wychodzą bowiem obaj tradycyjni antagoniści, czyli Kaczyński i Tusk (trochę kosztem Nawrockiego). Przy czym premier właściwie od samego początku znajdował się na wygranej pozycji, niezależnie od biegu zdarzeń.

Chwilami można wręcz było odnieść wrażenie, że prowokował prezydenta do weta. Jego słowa o „zakutych łbach”, które nie rozumieją oczywistych korzyści płynących z SAFE, rozjuszyły przecież prawicową opinię. Mógł sobie na to pozwolić, gdyż od początku wiedział, że weto o niczym nie przesądzi

i program będzie realizowany. A jak się prezydent podłoży, będzie go można później jeszcze długo ostrzeliwać potencjalnie skuteczną amunicją.

Kontroferta Nawrockiego i Glapińskiego nie popsuka więc specjalnie rządowi szyków. Co ciekawe, tym razem przekaz określił jednak nie premier, lecz szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz. On pierwszy publicznie zareagował na ofertę „polski SAFE 0 proc.” komunikatem: świetnie, każde wsparcie jest na wagę złota, więc czekamy na konkretne propozycje, ale najważniejszy jest oczywiście prawdziwy SAFE, czyli ten unijny. Występujący później w mediach politycy KO podchwycili taką narrację, co zresztą było wynikiem wewnętrznych uzgodnień.

Bo jeżeli nawet pomimo weta karawana pojedzie dalej, ów rzekomo „rozbijający rządową narrację w pył” ruch Nawrockiego za chwilę obróci się przeciwko niemu. Koalicja będzie go teraz tygodniami dręczyć pytaniami o konkrety, ponaglać, apelować o zwiększenie zdolności obronnych. Premier Tusk już zaapelował o plan Glapińskiego i obiecał na dniach ustawę. Oczywiście w granicach prawa, co też stanie się przedmiotem recenzji.

Jednak wymiar taktyczny nie powinien przesłaniać horyzontu. Bo niezależnie od bilansu chwilowych zysków i strat cała ta awantura przede wszystkim niesie poważniejszy ciężar metapolityczny. Ogólna rama politycznego sporu ulega kolejnemu przekształceniu. Zaczęła się dwie dekady temu od proklamacji podziału na Polskę „solidarną” i „liberalną”. Później znajdowała swój wyraz w kolejnych odsłonach. Obieranych przeważnie taktycznie, ale za każdym razem pozostawiały one głęboki ślad w zbiorowych tożsamościach. Ostrość sporu o SAFE pokazuje, że odtąd to napięcie geopolityczne, wywołane postępującym rozpadem wspólnoty transatlantyckiej, będzie w pierwszej kolejności kształtować również krajowy podział. Krótko mówiąc, mamy wojnę europejsko-amerykańską pod flagą biało-czerwoną.

Organizując opór wobec SAFE, Kaczyński przekroczył kolejny w swojej karierze Rubikon. To coś poważniejszego niż wcześniejsze zakwestionowanie KPO w obronie partykularnych interesów własnego obozu. Tym razem PiS był gotów postawić na ideologicznej szali kwestię najbardziej zasadniczą, czyli bezpieczeństwo państwa, jego zdolności obronne.

Jeszcze niedawno europejskie pieniądze nie brzydziły prawicy Kaczyńskiego. Przeciwnie, używano ich ochoczo do konsolidowania władzy. Obowiązywała wtedy niepisana zasada: brać jak najwięcej, oddawać jak najmniej, a kiedy już będziemy płatnikiem netto, będzie można pomyśleć o polexicie. Jednoznaczna orientacja na USA w momencie faktycznego kryzysu wspólnoty transatlantyckiej przyspiesza jednak moment krystalizacji.

Być może Kaczyński uznał, że rozwód ostatecznie już się dokonał i tym samym dobiegł końca trwający od trzech dekad czas polskiego lawirowania pomiędzy obydwojma biegunami Zachodu. A lud prawicowy w większości za nim poszedł, przyjmując alternatywną wizję naszej racji stanu. Ogólnie przychylny prawicy Jan Rokita słusznie przestrzega, że konsekwencją odmowy udziału Polski w SAFE byłaby konsolidacja zdolności obronnych wokół twardego europejskiego rdzenia, ale już na dobre bez naszego udziału. W czasach spokojniejszych ostrzeżenia przed „Europą dwóch prędkości” jeszcze budziły na pisowskiej prawicy szczerzy niepokój, niekiedy wywołując nawet protesty. Dzisiaj kwitowane są wzruszeniem ramion.

RAFAŁ KALUKIN



Przemysław Czarnek na konwencji PiS w Krakowie

Maszynista Czarnek

Wskazanie na Przemysława Czarneka jako kandydata na szefa rządu pokazuje, że PiS nie wierzy w istnienie politycznego środka i chce się bić z Grzegorzem Braunem o najbardziej radykalnych prawicowych wyborców. Co to oznacza dla obozu władzy?

WOJCIECH SZACKI

Hala Polskiego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” w Krakowie, 7 marca. Jarosław Kaczyński ogłasza, że kandydatem PiS na premiera jest były minister edukacji w rządzie Mateusza Morawieckiego Przemysław Czarnek. To on zdaniem prezesa „potrafi podjąć wysiłek, aby te wybory wygrać, zintegrować wszystkie nasze działania”. Wewnętrzzną rywalizację przegrał Morawiecki – nie tylko personalnie (sam chciał być kandydatem), lecz także strategicznie. PiS stawia na radykalizację i walkę o dominację na prawicy. Kandydatem na premiera nie jest może być

ziobrysta, ale teza o „suwpolizacji” PiS, autorstwa związanego z Morawieckim europosła Piotra Müllera, trzyma się mocno.

– Partia wsiada do znakomicie naoliwionego pociągu szybkich prędkości, po to żeby wygrać dla Polski. Jak słyszałem, mam być maszynistą w tym pociągu. Prezes Jarosław Kaczyński jest kierownikiem – powiedział Czarnek, który zresztą ani razu w czasie godzinnego wystąpienia nie przedstawił się wprost jako kandydat na szefa rządu, jakby mimo wszystko zachowywał tu jakąś ostrożność.

To było przemówienie uszyte z dobrze już znanych materiałów. Styl też znajomy.

Czarnek mówił, że Polską rządzi „jawna opcja niemiecka”, Tuska nazwał „pustym łbem” i obiecał, że „pogonimy to dziaństwo”. Sam wcielił się w rolę obrońcy „normalnego, zwykłego Polaka” – lekarza, pielęgniarki, rolnika, przedsiębiorcy. – Tą Polską prawdziwą chcemy się zająć, tę Polskę prawdziwą chcemy przywrócić Polakom, tak żeby ona była na pierwszym miejscu, żeby normalny, zwykły Polak był znów podmiotem w swoim państwie, żeby miał jasność, że to na niego stawia to państwo i jego będzie chronić – mówił.

To ci „normalni Polacy” według Czarneka trzymają w pionie Polskę duszoną ►

► przez rządzących, którzy nie chcą obniżyć cen benzyny ani rachunków za prąd.

Tusk zgłotał też piekło kobietom. Czarnek przypomniał, że Polacy uznali Matkę Boską za królową Polski, co jego zdaniem niezbitie świadczy o tym, że PiS wie, jak dbać o kobiety. A obecny rząd?

– Lewacy krytykują i negują tę rzeczywistość, polską, chrześcijańską rzeczywistość. Dzisiaj to państwo Tuska i lewaczek od Czarzastego urządza piekło kobiet. Wspaniałe polskie kobiety nie mogą mieć piekła, muszą być zaopiekowane, trzeba im stworzyć możliwość rozwoju kariery zawodowej, trzeba im stworzyć opiekę na każdym etapie macierzyństwa, na każdym etapie ciąży, trzeba im stworzyć bezpieczeństwo zawodowe, ale trzeba im stworzyć również bezpieczeństwo wartości – mówił Czarnek. A tym wartościom zagrażają takie projekty jak umożliwienie rozwodów poza sądami czy projekt o statusie osoby najbliższej, który według kandydata PiS na premiera jest projektem małżeństw homoseksualnych.

Było też w przemówieniu wiele wątków unijnych. W Brukseli rządzi „lewactwo”, umowę UE z krajami Mercosur należy „wymazać ze słownika języka polskiego”, z programu SAFE zrezygnować, z unijnej polityki klimatycznej się wypisać. – OZE-sroze – drwił Czarnek (który ma zresztą panele fotowoltaiczne na dachu swojego domu), a problem drogiej energii zniknie, gdy wrócimy do polskiego węgla i wyjdziemy z unijnego systemu ETS.

Czarnek odniósł się również do wojny w Ukrainie. Wyraził nadzieję, że Ukraina wygra z Rosją, bo „jest to w naszym interesie, żeby Rusek nie wjechał do Polski”, ale polską pomoc uzależnił od tego, czy we władzach ukraińskich będziemy mieć „partnera, a nie bezczelność”; warto tu przypomnieć, że kilka miesięcy temu Czarnek nazwał Wołodomyra Zełenskigo „głupkiem” po jego wizycie w Białym Domu.

I takie to było przemówienie, jakby skrojone pod ilustrację hasła „prawicowy populizm” w jakimś słowniku. Lud kontra zdegenerowane i zdradzieckie elity, proste recepty na skomplikowane problemy, ostra retoryka, odgrywanie roli rzecznika „normalnych Polaków”, kult „tradycyjnych wartości”.

I żonglerka danymi. Weźmy na przykład kwestię spadającej diety. Czarnek – skądinąd przeciwnik refundacji metody in vitro – atakował rząd Tuska

za katastrofę demograficzną. Tymczasem sprawa jest znacznie bardziej skomplikowana, a w czasie ośmioletnich rządów PiS liczba urodzeń spadła z 369 tys. do 272 tys. rocznie.

Jak wyglądała operacja Czarnek

Kaczyński zaczął szukać kandydata na premiera już kilka miesięcy temu. Partia wpadła w dryf po wygranych wyborach prezydenckich – Tusk ustał mimo przegranej, o dymisji rządu nie było mowy, umacniały się Korona i Konfederacja. PiS nie dostał żadnej premii sondażowej po zwycięstwie Karola Nawrockiego; przeciwnie, notowania zaczęły systematycznie spadać, a KO wyszła na wyraźne prowadzenie.

Prezes uznał, że należy wprowadzić partię w tryb kampanijny – zdyscyplinować



Czarnek mówił, że Polską rządzi „jawna opcja niemiecka”, Tuska nazwał „pustym łbem” i obiecał, że „pogonimy to dziadostwo”.

działaczy, ujednolicić przekaz, nadać kierunek marszu. A do tego potrzebny był kandydat na premiera: wyrazisty, energiczny, popularny na prawicy, a najlepiej jeszcze w miarę młody (młody w kategoriach prezesa).

Ten polityczny casting był jak spacer po polu minowym. Nawet nominacja Nawrockiego nie groziła takimi turbulencjami w partii. Prezes 11 października na wiecu PiS w Warszawie przedstawił Czarnka jako kogoś, „kto kiedyś będzie premierem”, ale wielu w partii potraktowało to jako kurtuazję ze strony Kaczyńskiego.

W szczególności nie przejął się tym Morawiecki. Mniej więcej wtedy w PiS zaczął się także ostry konflikt między frakcją byłego premiera a tzw. maślarzami, czyli prawym skrzydłem ugrupowania – Patrikiem Jakim, Tobiaszem Bocheńskim, Jackiem Sasinem i Czarnkiem właśnie.

Morawiecki intensywnie budował swoje zaplecze, konfrontując się nie tylko z maślarzami, lecz także podważając autorytet Kaczyńskiego. Zlekceważył prezesa, gdy ten polecił mu stawić się na posiedzeniu kierownictwa partii w Warszawie – miał wiec na Podkarpaciu – oraz zorganizował konkurencyjne do partyjnej wigilii spotkanie świąteczne. I w co drugim wywiadzie podkreślał, że chciałby wrócić na fotel premiera.

Podsycalo to plotki o nadchodzącym rozłamie w PiS, zwłaszcza gdy między frakcjami zaczęło dochodzić do otwartych kłótni w mediach społecznościowych, a Morawiecki stale eksponował swoją osobność i odrębność. Równolegle trwała rywalizacja w obozie maślarczy – w roli kandydata widzieli siebie Czarnek, Jaki i Bocheński.

Na ostatniej prostej – jak słyszymy, z inspiracji Morawieckiego – zaczęły krążyć plotki, że nominacja przypadnie komuś z pisowskich prezydentów miast, największe szanse miał ponoć Lucjusz Nadberezny ze Stalowej Woli, ale padły też nazwiska Jarosława Margielskiego z Otwocka i Jakuba Banaszka z Chełma. A dzień przed konwencją w Krakowie na giełdzie pojawił się małopolski marszałek Łukasz Smółka.

Wtedy decyzja w sprawie Czarnka była już jednak podjęta. Sam zainteresowany dowiedział się o niej podobno w czwartek 5 marca, choć pierwsze poważne rozmowy odbyły się w lutym. Ostatni tydzień Kaczyński poświęcił zresztą na spotkania z kluczowymi politykami PiS, parę godzin rozmawiał np. z Morawieckim. Efekty? Morawiecki był na konwencji w Krakowie, Kaczyński z mównicy zakazał krytyki jego rządów pod groźbą usunięcia z partii, zachęcał do skandowania jego imienia oraz w TV Trwam łaskawie wymienił Morawieckiego jako kandydata na ministra w rządzie Czarnka – o ile byłby premier „będzie się zachowywał racjonalnie”.

Jak zdusić Konfederację

„Mam nadzieję, że nikt jego pokroju nie będzie premierem mojego kraju. Właśnie słucham jego przemówienia. No cóż, Kaczyński ma gdzieś umiarkowanych wyborców” – napisał na platformie X prof. Stanisław Żerko w trakcie krakowskiej konwencji. I to jest chyba najlepsze wyjaśnienie strategii prezesa. PiS z obserwacji trendów społecznych i wyników pierwszej tury wyborów

prezydenckich wysnuł wnioski, że centrum jest bezładne – nie ma (lub prawie nie ma) umiarkowanego elektoratu, który byłby do zdobycia przez Kaczyńskiego w najbliższych wyborach.

Jest za to powiększająca się pula wyborców prawicowych. Od kampanii parlamentarnej 2023 r. do pierwszej tury wyborów prezydenckich w 2025 r. przybyło ponad 700 tys. osób głosujących na prawicę. Problem z punktu widzenia PiS jest jednak taki, że tą prawicą już niekoniecznie jest partia Kaczyńskiego. Coraz częściej w sondażach mamy do czynienia z mijanką – łączne poparcie dla Konfederacji i Korony Grzegorza Brauna przewyższa poparcie dla PiS.

– Polacy stają się coraz bardziej prawicowi. Przybywa krytyków Unii Europejskiej, a nawet zwolenników polexitu. Musimy na to reagować, a odpowiedzią na pewno nie jest Morawiecki, krytykowany za zbyt uległą politykę wobec Unii – mówi przedstawił prawej flanki PiS.

A z tercetu Bocheński-Czarnek-Jaki do roli kandydata to były minister edukacji nadawał się najlepiej. Nominacja dla Bocheńskiego czy Jakiego byłaby nie do strawienia dla Morawieckiego; Czarnek ma z byłym premierem nieporównanie lepsze relacje i jest znacznie popularniejszy w klubie niż eurodeputowani Bocheński i Jaki. Lubi go wielu szeregowych posłów. Bocheński i Jaki zwiększaliby prawdopodobieństwo secesji Morawieckiego, Czarnek – dziś już dystansujący się od maślarzy – je zmniejszył. Komitet polityczny PiS z ludźmi Morawieckiego w składzie jednomyślnie zaakceptował nominację od Kaczyńskiego, z tym że to jest stan na dziś.

Teraz PiS, z twarzą byłego ministra edukacji, ma się bić o prawicowego wyborcę z Konfederacją i przede wszystkim z Koroną. Celem jest zepchnięcie Brauna pod próg wyborczy. PiS chce go pokazywać jako polityka niepoważnego, otaczającego się podejrzanymi ludźmi, gospodarzowego liberała, a jednocześnie zaostrzyć własną retorykę w sprawie Unii czy Ukrainy. Czarnek powtarza, że w jego rządzie nie ma miejsca dla Brauna, ale nie odżegnuje się od współpracy z Koroną; politycy PiS tłumaczą, że chodzi o to, by nie antagonizować wyborców Brauna.

Przyszłość Korony w konfrontacji z Czarnkiem to zagadka – ten elektorat jest wciąż nie do końca ukształtowany, a są też wątpliwości, jak Braun poradzi

sobie z organizacją kampanii parlamentarnej, układaniem list wyborczych itd. Wydaje się, że PiS nie stoi tu na z góry straconej pozycji.

Znacznie trudniejsza będzie dla Kaczyńskiego rywalizacja z Konfederacją, która ma trochę inne niż PiS terytorium łowieckie (znacznie młodszy elektorat, do którego Kaczyński nie ma dostępu, co pokazały ostatnie kampanie) i już dwukrotnie pokonywała próg wyborczy.

Co nam mówi nominacja Czarnka

Kaczyński sięgnął po swą najmocniejszą kartę. Czarnek naprawdę budzi emocje w pisowskim elektoracie, nie boi się konfrontacji z mediami, trudno go wytrącić z równowagi, jest sprawnym mówcą, budzi zainteresowanie. Powagi



PiS z twarzą
Czarnka ma się bić
o prawicowego
wyborcę
z Konfederacją i przede
wszystkim z Koroną.

ma mu dodawać tytuł profesora (na razie uczelnianego na KUL). Teraz to na niego ma pracować cały aparat partii, eksperci od marketingu, wizerunku i komunikacji; PiS umie w te klocki, o czym świadczy przemiana skrajnie nieporadnego na starcie kampanii prezydenckiej Nawrockiego.

Kaczyński zapowiada dużą aktywność ugrupowania w najbliższych miesiącach: prace programowe, konwencje wojewódzkie, campusy młodzieżowe, spotkania ze studentami na uczelniach, objazd wszystkich powiatów, a nawet gmin.

To wciąż jest potężna partia, która ma ponad 200 parlamentarzystów, tysiące działaczy, wpływy w mediach i kilka milionów wyborców.

Ale jest to także partia w poważnym kryzysie. PiS – i to jest realne podłoże konfliktów wewnętrznych – przyspiesza transformację z partii konserwatywnej

i eurosceptycznej w stronę jakiejś polskiej wersji trumpowskiej MAGA; na tym zakręcie część wagonów pociągu, o którym mówił Czarnek, może się odłączyć od składu.

Odpływ wyborców jest faktem, co przyznają nawet ci posłowie, którzy nie do końca wierzą w sondaże dające PiS nieco ponad 20 proc. Spory w partii, nawet jeśli teraz na chwilę przycichną – bo Morawiecki nie może atakować Czarnka tuż po jego nominacji, którą zaakceptował – wróć.

Konfederacja już wypomina byłemu ministrowi edukacji zamykanie szkół w pandemii i podkreśla, że jako minister rządu Morawieckiego nie protestował przeciwko jego polityce unijnej. Braun zaś – niezależnie od wysiłków Czarnka na tym polu – zawsze będzie radykalniejszy i zawsze będzie miał jakąś wierzącą publiczność.

Sam Czarnek to jeden z najgorzej ocenianych ministrów w rządzie Morawieckiego. Znany z programu „willa plus”, w którym jego resort przyznawał prawicowym organizacjom atrakcyjne nieruchomości na korzystnych warunkach. Znany też z nowatorskiego systemu przyznawania punktów naukowcom za publikacje w czasopiśmie naukowych, w którym zrównał „Lancet” i „Nature” z „Pedagogiką Katolicką” i „Rocznikiem Historii Sztuki”. I który dwukrotnie usiłował wprowadzić ustawę zwaną lex Czarnek – dającą duże uprawnienia kontrolowanym przez rząd kuratorom kosztem dyrektorów szkół – i dwukrotnie zderzył się z wetem Andrzeja Dudy. Przeciwnik OZE („OZE-sroze”) z panelami fotowoltaicznymi na własnym dachu, które – gdy mu to w TVN24 wypomniał Krzysztof Hetman z PSL – już następnego dnia w Radiu Zet obiecał zdemontować.

Może mobilizować wyborców PiS, a nawet odbić trochę zwolenników Korony i Konfederacji, ale i zachęcić do głosowania stronę liberalno-lewicową, przestraszona wizją rządu Czarnka w koalicji z Koroną i Konfederacją. Tusk, komentując jego przemówienie, napisał, że mamy do czynienia z „trzema Konfederacjami”.

Niewykluczone, że Czarnek daje też trochę przestrzeni ludowcom. Ruch z Czarnkiem – może jedyny, jakim dysponował Kaczyński w sytuacji radykalizujących się wyborców prawicy – może mieć jeszcze kilka nieoczekiwanych dziś konsekwencji.

WOJCIECH SZACKI

Ameryka nam umyka

Co wspólnego ma Donald Trump z polexitem? Rozmowa z ekspertem do spraw międzynarodowych Aleksandrem Smolarem o neokolonialnym powrocie do polityki siły.

JAKUB HALCEWICZ: – **Już co czwarty Polak jest za wyjściem Polski z Unii Europejskiej. Czy to groźne?**

ALEKSANDER SMOLAR: – Bardziej niepokojąca jest tendencja – liczba przeciwników Unii stale wzrasta. Jeśli natomiast porównamy się z innymi europejskimi krajami, sytuacja nie jest tak dramatyczna.

Kiedy je dogonimy?

Za kilka lat Polska przestanie być odbiorcą europejskich pieniędzy netto – ze względu na nasz rozwój i potrzeby krajów mniej rozwiniętych, w tym kandydujących, np. Ukrainy. A to może mieć istotny wpływ na nastroje, zwłaszcza gdy wzmożni się antyeuropejska propaganda partii prawicowych. Na razie ich stosunek do Unii jest ambiwalentny. Wciąż muszą się liczyć z masowym poparciem dla naszej obecności we wspólnocie.

Klucz do polexitu ma w ręku Jarosław Kaczyński? Jeżeli uzna, że postulat wyjścia mu się politycznie opłaca, sprawa będzie przesadzona?

I tak, i nie. Kaczyński nie może być pewny, czy argument antyeuropejski będzie grał na jego korzyść, czy wręcz przeciwnie – czy obawa Polaków przed wyjściem z Unii nie spowoduje zwrotu wyborców w kierunku partii proeuropejskich. Dlatego wątki eurosceptyczne w PiS są używane selektywnie.

Dziś Polacy bardziej obawiają się Donalda Trumpa niż Unii?

Wzrasta w Polsce nieufność do Stanów Zjednoczonych i oczekiwanie twardszej polityki Warszawy wobec Waszyngtonu – przy pełnej świadomości, że ciągle jako partner strategiczny Amerykanie są nie do zastąpienia. Nikt nie popada jeszcze w skrajności, ale rośnie świadomość, że polityka USA zawiera elementy niebezpieczne dla Europy, więc pośrednio również dla Polski.

Tu pewien paradoks. Przed czterema laty na konferencji w Monachium Amerykanie przedstawili Europejczykom materiały dowodzące, że Rosjanie gotują się na wojnę przeciw Ukrainie. Pokazali zdjęcia satelitarne gromadzących się sił rosyjskich na granicy z Ukrainą oraz podsłuchy rozmów między rosyjskimi generałami.

Wtedy Europejczycy to zlekceważyli, uznali, że to tylko kremłowska gra. Obecnie sytuacja się odwróciła – to USA lekceważą zagrożenie ze strony Rosji, a prezydent Trump mówi, że Rosjanie są zainteresowani pokojem i życzą Ukrainie jak najlepiej. Na zakończonej ostatnio konferencji w Monachium Marco Rubio nie właściwie nie powiedział o zagrożeniu ze strony Rosji. Pięć europejskich krajów podpisało się pod oświadczeniem o zamordowaniu Aleksieja Nawalnego przez Władimira Putina, na co Amerykanie

ILUSTRACJA OBYWATEL JANEK



nie zareagowali w ogóle. Europa widzi w Rosji zagrożenie, Ameryka szuka z Rosją porozumienia, a elity amerykańskie gotowe są przemilczać niewygodne aspekty polityki rosyjskiej z myślą o korzyściach ekonomicznych po zawieszeniu działań wojennych.

Atak na Iran potwierdza, że w świecie znów zaczyna dominować logika siły, więc Europa musi się wzmacniać militarnie i szybciej określić własną pozycję? Europa nadąża za przyspieszającym światem?

Oczywiście obecna wojna między Amerykanami i Izraelczykami a irańską islamską dyktaturą jest wyrazem powrotu języka siły. Amerykanie prowadzili negocjacje z Irańczykami, ale nie wydaje się, by wierzyli w ich powodzenie: wyrzeczenie się przez Iran broni nuklearnej, rakiet balistycznych, dronów. Celem jest nie tylko złamanie potęgi militarnej Iranu, ale również zmiana reżimu. Ale przecież logika siły znajduje przede wszystkim wyraz w brutalnym najeździe Rosji na Ukrainę, w operacji USA w Wenezueli, w groźbach pod adresem Kanady, w woli przejęcia Grenlandii, w chińskich przygotowaniach do zajęcia Tajwanu. Powrót języka siły towarzyszy polityce neoimperialnej, nawiązującej do praktyki wielkich mocarstw w wieku XIX. Jesteśmy daleko od niedawnych przecież czasów, gdy wydawało się, że w świecie zglobalizowanym, głębokich wzajemnych powiązań, dominują zasady współpracy między państwami w ramach określonych przez prawo i instytucje międzynarodowe.

Oczywiście zupełnie inaczej muszą być oceniane moralnie i politycznie wojny w Iranie i w Ukrainie, ale w obu przypadkach o interwencji zadecydowała nie siła prawa, lecz prawo siły.

Wojna w Iranie, mimo że rozpoczęta bez akceptacji Rady Bezpieczeństwa – niemożliwej ze względu na obecność w niej Rosji i Chin, krajów popierających reżim irański – ma głębokie uzasadnienie w agresywnej polityce Iranu wobec sąsiadów i przemocy wobec własnej ludności.

Trudno przewidzieć, kiedy może nastąpić odbudowa reguł międzynarodowych opartych na prawie. Sytuacja ta rzutuje oczywiście na wybory dokonywane przez władze Polski: trzeba liczyć na siłę militarną NATO i przede wszystkim Stanów Zjednoczonych, ale jednocześnie pogłębiać więzi z krajami Unii Europejskiej po to m.in., by umacniać niezależność od Waszyngtonu, którego polityka globalna prowadzi do dominacji konfliktu z Chinami; szukania wspólnych interesów z Rosją – jedno i drugie kosztom tradycyjnych więzi z Europą.

A czy Ameryka Donalda Trumpa jest zagrożeniem dla Unii?

Tak, przez niesłychaną ingerencję Ameryki na poziomie wartości i wizji Europy. Dobrze to wyraził minister Radosław Sikorski w Monachium, mówiąc o tym, że jeden brzeg Sojuszu Północnoatlantyckiego nie może narzucać swoich wartości drugiemu brzegowi. O rozejściu się na poziomie wartości mówił przed rokiem na konferencji w Monachium wiceprezydent USA J.D. Vance. Tylko że jego zdaniem to Europa zaprzecza sama sobie, kwestionując wolność słowa, marginalizując skrajną prawicę czy dopuszczając do masowej imigracji osób cywilizacyjnie obcych, co grozi zanikiem europejskiej tożsamości. Jego zeszłoroczne wystąpienie w Monachium było brutalne i antyeuropejskie. I tak jak rok temu Vance spotkał się z przywódczynią Alternatywy dla Niemiec, tak



Aleksander Smolar

(ur. 1940 r.) – politolog, uczestnik Marca '68, więzień polityczny w PRL, następnie redaktor naczelny emigracyjnego kwartalnika „Aneks” i rzecznik Komitetu Obrony Robotników za granicą, w latach 1990–2020 prezes Fundacji Batorego.

teraz Rubio udał się do Viktora Orbána, który prowadzi politykę wyraźnie antybrukselską i prorosyjską. Na to stawiają Amerykanie, z którymi do niedawna się utożsamialiśmy i z którymi tworzyliśmy wspólnotę Zachodu. Dziś chcą dezintegracji Unii.

Dzielią nas wartości czy interesy?

I jedno, i drugie. Spór dotyczy choćby wielkich amerykańskich firm technologicznych. Europa próbuje regulować ich działalność, nakładając podatki, wprowadzając ograniczenia czy nowe zasady funkcjonowania rynku, co spotyka się z ostrą reakcją Waszyngtonu i samego Trumpa. W grę wchodzi więc nie tylko interesy ekonomiczne, lecz także kwestia kontroli nad przepływem informacji i technologicznej dominacji Stanów Zjednoczonych.

Dochodzenie do jakiegoś *modus vivendi* zajmie czas, być może trzeba będzie czekać na następnego prezydenta USA, chociaż powrotu do przeszłości nie będzie. Bo Europa nie jest już dla Amerykanów

priorytetową częścią świata jak Azja, gdzie od czasów Baracka Obamy narasta problem Chin, oraz Ameryka Łacińska, uważana w Waszyngtonie za naturalną strefę wpływów.

Ale przecież związek USA z Europą jest ważny nie tylko dla Europy, Stany Zjednoczone bez tego partnerstwa nie są w stanie rozwiązywać najpoważniejszych problemów międzynarodowych. Za oceanem rozumieją to Demokraci, część Republikanów także. I myślę, że ta świadomość będzie wzrastać wraz z kosztami polityki Trumpa i jego administracji. Spadek notowań prezydenta już tego dowodzi.

Unia podobno rozwija się poprzez kryzysy. Ale czy jest dość mocna na te obecne?

To było słynne zdanie Jeana Monneta, jednego z twórców podstaw UE: „Europa będzie wykuwać się w kryzysach i będzie sumą wszystkich rozwiązań, jakie przyjęto, by te kryzysy zakończyć”. Nie ma tu prostej odpowiedzi. W sprawie wspólnej obronności to niewątpliwie kryzysy wywołane przez Trumpa i przede wszystkim przez rosyjską agresję na Ukrainę zdopingowały Europę do wspólnego działania, którego przykładem jest program SAFE.

Jeden z obserwatorów zwrócił uwagę, że nawet Polska – tradycyjnie przywiązana do USA – byłaby gotowa poprzeć formułę Macrona o koniecznej strategicznej autonomii Europy. W świecie, w którym znów zaczyna dominować logika siły, Europa musi się wzmacniać militarnie. A to z kolei staje się napędem integracji. Jeszcze do niedawna byłoby nie do pomyślenia to, co Unia osiągnęła – nawet jeśli to nadal niewystarczające – w obszarze brojeń i obronności.

Ale jednocześnie mamy dość powszechny spadek zaufania do Unii.

Europa jest dziś zmęczona kumulacją kryzysów. Pandemia, kryzys finansowy i euro, masowa imigracja, spowolnienie gospodarcze – wszystko to osłabiło wiarę w „zbawczą” funkcję Unii. Do tego dochodzą jej realne słabości: nadmierna biurokratyzacja, przeregulowanie, które hamują innowacyjność i rozwój przedsiębiorstw. To tworzy klimat niepewności i obniża społeczne poparcie dla projektu europejskiego.

Jednocześnie nie widać dziś realnej alternatywy dla Unii, a doświadczenie brexitu było poważną lekcją dla sił skrajnych. Dlatego bardziej prawdopodobna niż dezintegracja jest ewolucja: powrót do koncepcji Europy dwóch prędkości, w której grupa państw gotowych do pogłębionej współpracy będzie mogła ►



SYLWIA MARKIETA

► iść dalej, nie czekając na najbardziej opornych. W traktatach istnieją już mechanizmy umożliwiające taką ścieżkę. Jeśli więc wojna i obecne zagrożenia mają przywrócić Europie wiarę w przyszłość, to nie przez samą mobilizację obronną, lecz przez odwagę reform i pogłębienie integracji w gronie najbardziej zde-terminowanych państw. Kluczowe będzie, by Polska znalazła się w tym rdzeniu. Paradoksalnie to właśnie zakwestionowanie tradycyjnej polityki USA wobec Europy zwiększyło w Polsce świadomość, jak istotna jest Unia dla stabilności i ochrony demokracji.

W redagowanym przez pana emigracyjnym kwartalniku „Aneks” Leszek Kołakowski sformułował postawę „konserwatywno-liberalnego socjalisty”. Czy to jest taki dzisiejszy europejski mainstream?

To był żartobliwy, krótki szkic, ale bardzo trafny. Kołakowski proponował syntezę trzech tradycji: konserwatyzmu – jako szacunku dla kultury i ciągłości wspólnoty; liberalizmu – jako obrony praw człowieka, podziału władzy i ograniczeń dla państwa; oraz socjalizmu w sensie równościowym – jako wrażliwości na nierówności i gotowości do wspierania najsłabszych. Żadna partia nie mogła przyjąć takiej formuły wprost, bo polityka wymaga większej jednoznaczności. Jednak paradoksalnie elementy tej syntezy są dziś obecne niemal we wszystkich partiach europejskiego głównego nurtu. Partie konserwatywne nie odrzucają ograniczonej redystrybucji, lewica nie kwestionuje demokracji liberalnej ani znaczenia tradycji, a liberalizm stał się wspólnym językiem instytucjonalnym Zachodu, jego gospodarki i polityki.

Jednocześnie podziały przebiegają dziś nie tyle między konserwatyzmem, liberalizmem i socjalizmem, ile między nacjonalizmem a uniwersalizmem, między populizmem a instytucjonalnym porządkiem. W tym sensie myśl Kołakowskiego nadal się broni – nie jako program partyjny, lecz jako opis napięć

i kompromisów, których współczesna demokracja europejska musi stale poszukiwać.

Czy Polska w obecnej sytuacji skrajnej polaryzacji i konfliktu na szczytach władzy jest jeszcze w Unii wiarygodnym graczem?

Jest, choć niektóre decyzje – jak rezygnacja z udziału w potencjalnej misji wojsk sojuszników na terenie Ukrainy – mogły budzić wśród partnerów pewną frustrację. Polska jest jednak postrzegana jako poważny i odpowiedzialny partner. Było to widać choćby podczas konferencji w Monachium, gdzie głos polskich polityków współbrzmiał z głównym nurtem europejskiej debaty. Symboliczne było przywołanie przez kanclerza Niemiec słów Radosława Sikorskiego, że Polska mniej obawia się niemieckiej potęgi niż niemieckiej bezczynności.

Dzisiejsza pozycja Polski jest mocniejsza niż kiedyś, bo zdarzało się, że byliśmy traktowani przedmiotowo. Jednak wewnętrzne spory – np. wokół unijnych instrumentów, takich jak SAFE – mogą osłabiać naszą wiarygodność, jeśli europejskie tematy stają się narzędziem doraźnej walki politycznej.

Dlaczego pańskim zdaniem SAFE tak bardzo podzieliło polskich polityków?

Na pierwszy rzut oka spór ten wygląda na zwykłe politykierskie pieniacstwo: PiS nie chce, żeby „wroga” koalicja rządowa mogła sobie przypisać ważny sukces w umacnianiu obronności Polski. Tu warto przywołać pochlebną opinię byłego pisowskiego ministra obrony Mariusza Błaszczaka o tym programie zaledwie sprzed kilku miesięcy.

Są jednak ważniejsze powody niechęci naszej prawicy do programu SAFE. On umacnia integrację europejską w kluczowej dziedzinie obronności. Zwiększa też niezależność od USA. Poza tym polska prawica zdaje sobie sprawę, że w przypadku objęcia przez nią władzy program ten może utrudnić rozluźnienie więzi z Unią. Jednak blokowanie inicjatyw wzmacniających polską obronność może być dla niej trudne ze względu na opinię publiczną. Nie mogą więc wykluczyć, że prezydent Karol Nawrocki ostatecznie zaakceptuje SAFE, odsyłając zarazem porozumienie do Trybunału Konstytucyjnego.

Mówi pan, że Polska ma dziś mocną pozycję w Europie. Czy jednak nie jest pomijana w dyskusjach o Ukrainie?

Podobne obawy formułują także inni europejscy przywódcy. Macron wyraźnie podkreślał, że przyszłość Ukrainy nie może być rozstrzygana ponad głowami Europejczyków przez USA i Rosję. W tym sensie polskie wątpliwości mieszczą się w głównym nurcie europejskiej debaty, a nie na jej marginesie. Polska nie jest dziś pomijana, a jej wpływ rośnie, gdy działa wspólnie z Europą.

Mimo ogromnego wysiłku zbrojeniowego i wyraźnego postępu w ostatnich latach, sama Polska jest zbyt mała, żeby współdecydować o losach Ukrainy. Dlatego kluczowe znaczenie ma współpraca w ramach szerszych formatów, takich jak choćby D6 – grupy sześciu ważnych państw europejskich: Wielkiej Brytanii, Niemiec, Francji, Holandii, Danii i właśnie Polski.

Tak też to pewnie będzie wyglądało w przyszłości – pogłębianie integracji w mniejszej grupie państw, bo różnice interesów, doświadczeń historycznych i położenia geograficznego są zbyt duże – inaczej na zagrożenie rosyjskie patrzą kraje bałtyckie czy Polska, a inaczej Portugalia czy Włochy. Przyszłość integracji będzie bardziej złożona niż dawne wizje drogi ku federacji, jakimś Stanom Zjednoczonym Europy. Dziś o prostej drodze nie ma już mowy.

ROZMAWIAŁ JAKUB HALCEWICZ

POSZERZAMY HORYZONTY



Naukowe miesięczniki **POLITYKA**

O 100-leciu „Wiedzy i Życia” czytaj na s. 61. →

Marcowe numery już w punktach sprzedaży prasy i na sklep.polityka.pl

Prenumerata cyfrowa obu tytułów: projektspulsar.pl

Prenumerata także z bezpłatną dostawą do wybranego

InPost Paczkomat 24/7

W Polsce żyje się lepiej, ale dalej kradnie się nie gorzej. Przekrój społeczny kradnących jest szeroki, tak jak i motywacja do sięgania po cudze. Podobnie z metodami: podążają za rozwojem technologii i naszymi nowymi nawykami.

Złodzieje przyszłości

P

rzed wrocławskim sądem rozpoczął się proces Bartłomieja Ciężyńskiego (zgadza się na publikację nazwiska) oskarżonego o korzystanie z auta służbowego do celów prywatnych. Straty wyliczono na 4,6 tys. zł. Sprawa wydaje się błaha. Tyle że Ciężyński to były wiceminister sprawiedliwości. Na dodatek radca prawny, szef wrocławskiej Lewicy, wiceprezydent Wrocławia. Długo

by wyliczać, ale trudno mówić, że nie wiedział, czym służbowe różni się od prywatnego. A jednak linia obrony człowieka, który przez miesiąc (do resortu przyszedł w lipcu 2024 r., odwołano go w sierpniu) nadzorował m.in. Krajowy Rejestr Karny, jest dokładnie taka. W tej sprawie jest jeszcze jedno dno – komentarze na jej temat. Można je podsumować mniej więcej tak: biedny frajer.

Pół Polski żłopie po domach kawę brana na firmę, bankierzy kupują rowery za 80 tys. i odliczają VAT, bo twierdzą, że dojeżdżają nimi do pracy, połowa ludzi z pierwszej setki najbogatszych nie płaci podatków, bo ma firmy porejestrowane w rajach podatkowych, a on siedzi na ławie oskarżonych. W sumie to jednak przypał, że to były wiceminister sprawiedliwości.

Symboliczny wymiar tego procesu dobrze widać na tle podobnego postępowania, które toczy się przeciw politykowi PiS i eurodeputowanemu Ryszardowi Czarneckiemu. Mocne plecy, jakie miał w Polsce, chyba osłabiły jego czujność za granicą, bo wyłudzenia, o które oskarżany jest polityk, są wręcz memiczne. Dojazd do Brukseli ciągnikiem (w rzeczywistości był to ciągnik siodłowy, czyli tir), podróże zimą kabrioletem, to wszystko może śmieszyć. Ale czy aby na pewno jest śmieszne? Wyłudzenia, o które oskarżany jest eurodeputowany z list PiS to 170-krotność (850 tys. zł) tego, za co na ławę oskarżonych trafił Ciążyński, a wyrok może być podobny. Pytanie tylko, czy sprawiedliwości stanie się zadość, skoro w zeszłym roku statystyczny polski poseł pobrał 37 tys. zł z tytułu rozliczenia kilometrówek. Statystyczny, bo rekordziści potrafili wyjeździć nawet dwa razy więcej. Stąd jedną z pierwszych decyzji nowego marszałka Czarzastego była zmiana w rozliczaniu poselskich kilometrówek.

Tyle że ryba psuje się od głowy. I co się już popsulo, to się nie odpsuje. Pracownik administracji publicznej w wojewódzkim mieście na południu Polski mówi tak: – *Mamy problem z rozumieniem tego, co jest złodziejstwem. Nikt, kto na służbowej drukarce i służbowym papierze drukuje prywatne dokumenty, nie pomyśli o sobie, że okrada podatnika, z którego podatków ta drukarka i ten papier zostały kupione. O podbieraniu papieru toaletowego, odświeżaczy powietrza nawet mi się nie chce mówić. I nie chodzi mi o masowość zjawiska, ale o zasady.*

Jak okradamy

Co do zasad, to w kwestii kradzieży widać, że jakieś jednak obowiązują. Na przykład w relacjach z pracodawcą: kradnie się mniej, ale za więcej. No i okrada się już z czego innego. W 2018 r. ankieterzy CBOS zapytali Polaków o społeczne przyzwolenie na okradanie i oszukiwanie własnych firm. Wyniki były budujące. Aż 96 proc. ankietowanych za moralnie naganne uważało przychodzenie do pracy po spożyciu alkoholu. I łączyli ten stan z obniżoną wydajnością, czyli stratą pracodawcy. A ponad połowa, bo aż 57 proc. Polaków potępiało korzystanie z internetu w godzinach pracy w celach niezwiązanych z obowiązkami służbowymi. Tyle oficjalnie. – *U nas w urzędzie w komputerach poblokowane są media społecznościowe, portale sprzedażowe, strony z filmami, o tych z pornografią nawet nie wspominając. Ale zanim zostały włączone blokady, po cichu monitorowaliśmy, ile kto spędzał czasu na tych stronach. Liczyły były szokujące – mówi informatyk w jednym ze starostw powiatowych w województwie świętokrzyskim.*

Dalej, trzymając się badania CBOS, budująca była również rosnąca świadomość, że służbowe długopisy, rękawice czy kawa to nie porzucone mienie niczyje, ale własność pracodawcy. Tyle że i tu deklaracje rozjeżdżają się z rzeczywistością. Pracodawcy mówią, że rzeczywiście rzadziej są okradani. Za to na większe kwoty. W 2003 r. media żyły kradzieżą 2,5 tony sera ze Spółdzielni Mleczarskiej w Łowiczu. Dziś taka historia po prostu śmieszy. Co zrobić z taką ilością sera, towaru szybko i łatwo się psującego.

Za to kradzież bazy danych klientów, a jeszcze lepiej bazy kontrahentów to już coś. W zeszłym tygodniu Instytut Kształcenia

Zawodowego Polonia z Katowic poinformował, że żegnający się z pracą kierownik skopiował bazę danych klientów. Według IKZ miało mu to posłużyć jako wstęp do otworzenia własnej, konkurencyjnej działalności. Za kradzież baz danych są już wyroki. I to całkiem wysokie, bo i straty bywają wysokie. 28-letni Konrad J. z Łodzi jako informatyk żerował na warcie 110 mln zł bazy danych firmy, w której był zatrudniony. Ostatecznie skazany został za oszustwa, bo ukradzione rekordy oferował przez założoną przez siebie w Wielkiej Brytanii firmę jako legalne i należące do niego. Takich przykładów są już dziesiątki. I nie omijają również wymiaru sprawiedliwości. W łódzkim sądzie dopiero po 10 latach zorientowano się, że jeden z pracowników założył na swoje dane kilkadziesiąt kont i podawał ich numery jako konta do zwrotu zasądzonych kosztów procesowych. Straty oszacowano na 3,1 mln zł.

Dziś pracownik odsypujący biurową kawę do domu bardziej śmieszy, niż oburza. Największe pieniądze traci się w biznesie nie przez kradzież towarów z magazynów – ale przez te z poziomu kierowniczego. Z raportu PwC „Kto i jak okrada polskie firmy” wynika, że co czwarta okradziona przez pracowników firma straciła ponad 4 mln zł. Dlatego coraz więcej firm, zanim zatrudni kogoś na stanowisko menedżerskie, sprawdza kandydata w różnego rodzaju rejestrach dłużników.

Czasem z kolei nie sprawdza się w ogóle. Niedawno NIK przyjrzała się, jak w Agencji Rozwoju Przemysłu w latach 2018–24 wydawano pieniądze z kart służbowych. Agencja w stu procentach należy do Skarbu Państwa. W spółce używano 156 kart płatniczych. 44 posiadaczy nie wyrabiało się w limicie miesięcznym (od 5 do 10 tys.) i wnioskowali o jego zwiększenie. Tylko pięciu z nich uznało, że trzeba to jakoś uzasadnić, co zresztą nakazywała procedura ARP. Jeden z pełnomocników zarządu sam sobie podpisał wniosek o wydanie karty. Ze 134 objętych kontrolą wydatków aż 89 zostało rozliczonych, choć nie przedstawiono wyciągu z karty, co jest obowiązkowym dowodem, bo pokazuje daty i miejsca dokonywania płatności. W czterech przypadkach użytkownicy sami sobie akceptowali własne wydatki. Czy to niefrasobliwość, czy już kradzież?

Jak nas okradają

Z perspektywy czasu i policyjnych statystyk jesteśmy okradani dużo rzadziej. Mniej kradzionych jest na przykład samochodów. Oficer policji, który w latach 90. rozbijał gangi złodziei samochodów w Warszawie przykłady podaje na liczbach. – *Wtedy na dobę w samej Warszawie ginęło średnio 80 aut. Dzisiaj kradnie się góra 10–12. Ponad 30 lat temu plagą były kradzieże radii z samochodów. Kończyło się tak, że jak się wysiadało z auta, to razem z radiem, żeby nie ukradli. Teraz to śmiesz, wtedy zdarzało się, że pół komisariatu robiło przy tych radiach. Policjant dzisiaj pełniący wysoką funkcję w jednej z wojewódzkich komend przywołuje jeszcze jeden charakterystyczny dla lat 90. element przestępczego krajobrazu: kradzieże telewizorów, magnetowidów i pieniędzy z mieszkań. Dzisiaj w przeciętnych mieszkaniach przeciętnych Polaków gotówki za wiele nie ma. Większość trzyma oszczędności w bankach. Co nie oznacza, że włamania się skończyły. Są, a nawet wracają w wielkim stylu, ale głównie jako tzw. nadane. Okrada się konkretnych ludzi, po długim rozpoznaniu, z konkretną wiedzą, że warto.*

W latach 90. zmorą były kradzieże uliczne. – *Najczęściej na tak zwaną wyrwę, czyli złodziej wyrwał torebkę. Zrywano złote ►*

► łańcuszki z szyj, kolczyki z uszu. Wybijano szyby w autach stojących na światłach, by ukraść torebkę leżącą na siedzeniu. Dziś iaj to się zwyczajnie nie opłaca. Kradzież i oszustwa przeniosły się do świata online – mówi oficer policji, dodając, że jest jedno nowe zjawisko – międzynarodowe szajki. Ich członkowie sięgają po metody takie, jakie Polacy stosowali ponad 30 lat temu, kiedy na gościnnych występach np. w Niemczech wybijali szybę wystawową u jubilera i kradli, co im wpadło w ręce. Kilka dni temu z magazynu pod Wrocławiem skradziono smartwatche warte ponad 700 tys. zł. Złodziejami okazali się dwaj obywatele jednego z krajów afrykańskich. W Warszawie liczba przestępstw, w tym kradzieży, spadła rok do roku o 20 proc. Policja wprost wiąże to z falą deportacji, jaką przeprowadzono w zeszłym roku. Wygląda na to, że turystyka przestępcza jest jednym z barometrów zamożności Polaków.

Zamożność nie wyeliminowała jednak prozy kradzieży, czyli tych sytuacji, które dotyczą nas najbardziej nie tyle poprzez straty materialne, ile bardziej te moralne. Dwie deski snowboardowe, łyżwy, wrotki, dwie wiatrowki, akcesoria do ASG (repliki broni zasilane plastikowymi kulkami), wiertarka – to wszystko zginęło z piwnicy 30-latków, Kamili i Daniela, w dziesięciopiętrowym bloku na wrocławskim osiedlu. Kłódkę mieli grubą, złodzieje odcieśli więc skobel, łącznie obrobili kilkanaście piwnic. U nich straty wyniosły prawie 6 tys. zł.

Całe szczęście, że dostali pełne odszkodowanie od ubezpieczyciela. Radość nie trwała jednak długo, bo włamano im się na działkę. Zginęła kosiarka, sekator, łopata, ale też stara bluza czy garnki. Większe były szkody z powodu zniszczeń drzwi i mebli czy rozbitych talerzy. Okradane działki to ciągle plaga. Niekiedy zdesperowani działkowcy biorą sprawy we własne ręce – np. w Legnicy powołał straż sąsiedzką, przydybali złodziei na gorącym uczynku i wyjaśnili im to i owo bez wzywania policji. A prezesi gorzowskich ROD-ów stworzyli grupę w social mediach, żeby się ostrzegać, gdy złodzieje pojawiają się na działkach. Ludzie biorą sprawy we własne ręce, bo w latach 2020–25 wykrywalność kradzieży oraz włamań do piwnic, altanek i (osobno) na ogródkach przeważnie nie przekraczała 30 proc., a rekordowo sięgnęła 38 proc. W ślad za tym idzie drastyczny spadek liczby zgłoszeń (np. o ponad połowę w przypadku ogródków przez pięć lat). Straty materialne wskutek włamań i kradzieży na działkach w skali kraju przekraczają 6 mln zł rocznie, dla działkowców jednak nie to jest najważniejsze. – Każde wtargnięcie obcej osoby odbierają jak profanację, bo działki są swoistym sanktuarium prywatności – tłumaczy dr Magdalena Zych, antropolożka kultury.

Aparat państwa z kradzieżami nie chce mieć za wiele wspólnego. Władze, z racji dobrobytu, pod koniec 2023 r. podniosły poprzeczkę dla przestępstw powyżej 800 zł. Kradzież przedmiotu o wartości do 800 zł to wykroczenie (art. 119 Kodeksu wykroczeń), a powyżej tej kwoty już przestępstwo (art. 278 Kodeksu karnego). Za przestępstwo grozi nawet pięć lat za kratkami, a za wykroczenie areszt, prace społeczne albo grzywna, ale zwykle kończy się mandatem karnym do 1 tys. zł. Policjanci kolekcjonują więc kolejne wyczyny delikwenta i łączą je w jeden „czyn ciągły”, żeby przekroczyć granicę 800 zł strat, bo bez tego nawet schwytanie sprawcy na gorącym uczynku bywa dla ofiary frustrujące. – Zauważyłam, jak młody pan chował w kurtce kilka serów. Zamknęłam

sklep, a klienci pomogli mi go zatrzymać do przyjazdu policjantów. A ci go spisali i puścili wolno – złości się Ludmiła, agentka Żabki w mieście wojewódzkim. Inna agentka opowiada, że schwytanym złodziejom daje dożywotni zakaz wstępu do sklepu, bo szkoda jej czasu na policję, która „i tak nic mu nie zrobi”. W statystykach też widać taką rezygnację: po podniesieniu granicy między wykroczeniem a przestępstwem z 500 na 800 zł liczba zgłaszanych kradzieży spadła o jedną czwartą (z 40 115 w 2023 do 30 130 w 2024 r.).

Kto i co kradnie w polskich sklepach? Na tak postawione pytanie odpowiada ubiegłoroczny „Barometr. Straty w handlu detalicznym w Polsce 2025” Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie i firmy Checkpoint Systems (specjalność: inteligentne rozwiązania dla handlu).

Opierając się na kompleksowym badaniu wśród polskich detalistów, pokazuje, że łupem złodziei najczęściej padają produkty spożywcze, zwłaszcza słodczy (23 proc. wskazań), akcyzowe, głównie alkohol (20 proc.) oraz odzież, obuwie i tekstylia (18 proc.). Sprawcami najczęściej są osoby w wieku od 20 do 40 lat (52 proc. wskazań) i powyżej 40 lat (11,9 proc.). Najrzadziej kradną najstarsi (0,3 proc. wskazań powyżej 60 lat).

„Barometr” obala stereotyp, że w sklepach kradną głównie nastolatki (2,2 proc.). 83 proc. kradzieży to efekt impulsu lub tzw. okazji, a najczęstszym motywem jest brak pieniędzy na jedzenie czy opłacenie rachunków. Logika jest taka, że ci, którzy nie załapali się na dobrobyt, próbują trochę go sobie ukraść.

Jak się kradnie

Whisky w marketach kradł Artur (lat 28). Krótko, bo tylko przez trzy miesiące, ale i tak wpadł i dostał wyrok 17 miesięcy odsiadki, z czego 10 zaliczył z obrozą elektroniczną. Wynosił butelki pod kurtką. Czasem wybiegał ze sklepu, czasem poszarpał się z ochroniarzem. Kradł whisky, bo droga i chodliwa. Towar sprzedawał na bazarze w Jastrzębiu – miał kilka punktów i stałą, według niego uczciwą stawkę – 50 proc. ceny ze sklepu. Czasem jakąś butelkę wzięła kasjerka z Żabki, żeby dorobić do pensji. Ale miał też zamożną klientelę z jastrzębskich willi. Tu płacili mu 70 proc. ceny. Brali po 5–6 butelek i zamawiali kolejne. A od jednego gościa usłyszał, że wynajmie mu mieszkanie, żeby tylko kradł dla niego. – Odmówiłem. Od września pracuję. Staram się ułożyć sobie życie na nowo. Bez narkotyków i alkoholu. I bez kradzieży – mówi Artur. Narkomani to zhora ochroniarzy. Kiedy kradną na głódzie, są agresywni. A jak na narkotykach, to zuchwali. Trudno powiedzieć, co gorsze.

Pracownik ochrony z Biedronki: – Kradną małolaty, seniorzy, mamy z dziećmi – wylicza. Z tego, co mówi, kradną wszyscy, ale nie wszyscy z tego samego powodu. – Jechałem niedawno autobusem z grupką chłopaków, na oko koniec liceum czy technikum, początek studiów. Jeden z nich, bluzgając okropnie, opowiadał, jak to zajmali na imprezę z dziesięć małpek. I że wystarczy zagadać ochroniarza w sklepie, bo to starszy człowiek, mało kumaty. Nie wyglądali na lumpów. Zwykła młodzież. Tyle że złodzieje bez świadomości, że są złodziejami.

Kradnie się to, co chodliwe. Ostatnio ginie coraz więcej rowerów. Dziennie łupem złodziei pada w Polsce od 30 do 37 rowerów. W 2023 r. policja przyjęła zgłoszenia kradzieży ponad 13 tys. jednośladów. Ile zginęło rzeczywiście, nie wiadomo, bo dużej części kradzieży właściciele nie zgłaszają, wiedząc, że szanse



na odzyskanie własności są niewielkie. Tadeusz Baranowski, pasjonat kolarstwa, o złodziejach rowerów mógłby opowiadać dużo i długo. Kilka dni temu rower stracił jego syn – zabezpieczył go, przypinając nie za ramę i tylne koło, a jedynie za koło przednie. Złodziej więc ukradł rower bez koła.

Sebastian (44 lata) odsiedział rok za niepłacone alimenty. Ale parał się też złodziejskim fachem. Kradł węgiel z wagonów. Jak mówi, był w stanie wyciągnąć w ciągu dnia 1000–1300 zł, czyli na dzisiejsze nawet 7–8 tys. Sebastian przyznaje, że dzisiaj nie ma co kraść, bo kopalnie na Śląsku pozamykane, ale jak działały, robota wyglądała tak: pociąg stał na czerwonych światłach, to wskakiwało się na wagony i zrzucano węgiel, który potem zbierało się do worków. W jeden dzień można było ukraść 2 tony. – *Miałem 21 lat. Małe dziecko. Miałem zawód, monter instalacji i urządzeń sanitarnych, ale na życie nie starczało. Pampersy były drogie, nie było 800 plus. A to był szybki i duży pieniądz* – mówi Sebastian.

Okradanie przy ekranie

W dobie internetu Polacy musieli nauczyć się nie tylko unikania nowych zagrożeń, ale również nowego słownictwa. Na przykład ransomwear, czyli oprogramowanie wymuszające okup. Choć trzymając się faktów, okup wymuszał konkretny człowiek, ale rzeczywiście za pomocą oprogramowania, bo zapłacić trzeba było za dostęp do własnego komputera. Mechanizm przestępstwa był prosty. Najpierw wysyłasz ofierze mail zainfekowany złośliwym oprogramowaniem. Jeśli będzie nieostrożna i go otworzy, to dalej jest już z górki. Program sam szyfruje zawartość komputera. A klucz do jego deszyfrowania pozostaje w rękach złodzieja. Jedyne, co właściciel mógł zrobić na swoim własnym komputerze, to przeczytać wiadomość, w jaki sposób ma dokonać przelewu. A konkretnie – jak kupić kryptowaluty, bo najczęściej w nich opłacany musiał być okup. Złote lata ataków ransomwear mamy już zdaje się za sobą, bo większość użytkowników trzyma pliki w chmurze. Policjantom udało się też namierzyć i skazać najbardziej dokuczliwego przestępcę grasującego wśród polskich posiadaczy komputerów, czyli Thomasa. Kiedy aresztowano go w 2018 r., miał 23 lata. I żadnego wykształcenia informatycznego. Na jego komputerach zabezpieczono 16 718 kluczy do deszyfracji. Ale jaka była prawdziwa skala jego działalności, wie tylko on.

Ukraść można nie tylko zawartość czyjegoś komputera. Ale nawet czyjąś tożsamość. Oczywiście tę cyfrową. Ukraść można nawet czyjś głos. Wystarczy mała próbka pozyskana choćby w tramwaju z nagrania rozmowy telefonicznej. A za pomocą programu generującego mowę dzięki technologii AI można już tworzyć całe konwersacje głosem niemal ludzko podobnym do ukradzionego. Policja już mówi o metodzie kradzieży na „wnuczka 2.0”. Jak również o CEO Fraud, czyli sytuacji, w której kradziony jest głos prezesa. A następnie za pomocą tego głosu prezesa dzwoni się do księgowości z prośbą o pilny przelew na konto nowego kontrahenta. Reszty można się już domyślić.

W internecie konta chodzą po ok. 300 zł. Zdarza się, że sprzedają je realni ludzie. Za realne pieniądze. Sprzedają, bo potrzebują pieniędzy. A jak konto zostaje wykorzystywane do przestępstw, to w czasie przesłuchania robią wielkie oczy – nie wiem, nie miałem pojęcia, nie interesowałem się. Ryzyko, że spotkają ich

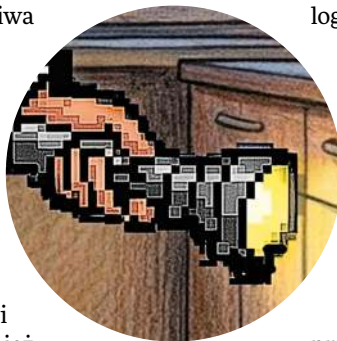
jakiś nieprzyjemności, jest niewielkie. Pieniądze przez ich konta zaledwie przelatują. Ale jak przeleć przez kilka kont, to ich zablokowanie przed wypłatą jest niemożliwe. – *Wiele się dzieje w sferze intymnej. Ludzie są oszukiwani, z ręcznie sterowanymi zagrywkami socjotechnicznymi. Część nie chce statusu pokrzywdzonego, bo wstydzi się, że ich oszukano, że zaufali. Albo że wchodzili w jakieś relacje intymne na poziomie mediów społecznościowych, a mają żonę albo męża* – mówi jeden z prokuratorów.

Współcześni złodzieje emocji za wiele nie mają. Królem polskich przestępstw i dużych pieniędzy jest oszustwo, bo statystycznie prokuratorzy właśnie takich spraw prowadzą najwięcej. Już teraz ponad połowa wszystkich oszustw to te popełniane online. I nie chodzi tylko o tzw. proste przestępstwa na portalach aukcyjnych, kiedy ktoś kupuje towar na Allegro czy OLX i nie dostaje zamówienia. – *Mamy coraz więcej fałszywych sklepów internetowych prowadzonych przez zorganizowane grupy przestępcze. Jedną z najpoważniej rosnących kategorii stają się oszustwa inwestycyjne, gdzie w reklamach wykorzystuje się wizerunki celebrytów, polityków, dziennikarzy i sportowców generowane przez sztuczną inteligencję. To namawianie do inwestowania w Baltic Pipe, Orlen, kryptowaluty czy AI. Mamy dużo love scamu, czyli uwodzenia i nakłaniania przez internet do przelewania środków lub inwestowania. Często chodzi tu o naprawdę duże kwoty od kilkudziesięciu do nawet miliona złotych* – mówi prokurator Agnieszka Gryszczyńska, dyrektor Departamentu do spraw Cyberprzestępczości i Informatyzacji Prokuratury Krajowej.

Wyjaśnia, że oszustwem będzie też kategoria business e-mail compromise (BEC), czyli sytuacja, w której złodziej podsywa się pod jakiś podmiot gospodarczy i wysyła do innego podmiotu z podobnego adresu e-mail wiadomość, że właśnie zmienił numer rachunku bankowego. Ten sam mechanizm działa np. wtedy, kiedy oszust podsywa się pod prezesa firmy i mejlowo zleca księgowej przelew na podane konto. W ten sposób ponad 110 tys. zł straciła niedawno firma z Białej Podlaskiej. Gryszczyńska nie kryje, że coraz więcej postępowań dotyczy też kradzieży z włamaniem środków zapisanych na rachunkach bankowych, kiedy pokrzywdzony zostaje zmanipulowany i skłoniony do podania na fałszywej stronie internetowej loginu i hasła do bankowości elektronicznej albo instalacji oprogramowania zdalnego pulpitu, np. AnyDesk lub TeamViewer. Tylko w 2024 r. ponad tysiąc osób usłyszało zarzuty karne za tzw. phishing, czyli wyłudzenie pieniędzy z kont bankowych. 848 z nich zostało zatrzymanych, a 312 aresztowanych. Zabezpieczono ponad 72 mln zł i odzyskano niemal 50 mln zł.

Tyle że to wierzchołek strat. Skala kradzieży internetowych jest tak duża, że w lipcu 2021 r. powołano odrębną jednostkę do walki z tego typu przestępczością. Historia formowania Centralnego Biura Zwalczania Cyberprzestępczości (CBZC) była burzliwa, bo za policyjną stawkę ciężko było znaleźć odpowiednich fachowców. Kiedy biuro prawie okrzepło, okazało się, że CBZC idzie do likwidacji. Jest pomysł, żeby wchłonęło je Centralne Biuro Śledcze Policji. Złodzieje mówią, że to pomysł z przyszłością.

ZBIGNIEW BOREK, MARTYNA BUNDA, KATARZYNA KACZOROWSKA
WSPÓŁPRACA JULIUSZ ĆWIELUCH, ANNA DĄBROWSKA



Więcej tekstów o tym, jak nas okradają i jak się przed tym chronić, czytaj na polityka.pl



Uciekające zakonnice

Rozmowa z Izabelą Mościcką, założycielką Centrum Pomocy Siostrom Zakonnym, wspierającego kobiety, które decydują się opuścić zakon.

FILIP ZAGOŃCZYK: – **Była zakonnica pomaga innym opuścić zakon. Jak to jest odbierane?**

IZABELA MOŚCICKA: – Słyszałam, że jestem postrzegana niemal jak antychryst. Przed naszym Centrum ostrzega się siostry, ale to dobrze, bo dzięki temu możemy dotrzeć do większej grupy.

Szłam do zakonu jako młoda dziewczyna. Trafiłam do nazaretanek w prowincji warszawskiej. Wierzyłam, że będę tam mogła służyć Bogu i ludziom. To było zgodne z moimi ideałami, ale zgromadzenie nie chciało się zgodzić na moje pomysły. Zgodnie z naukami papieża Franciszka chciałam otwierać się na świeckich, prowadzić dialog, pomagać wykluczonym. Dla mnie wykluczony to bezdomny, który żyje gdzieś w ciężkich warunkach bez wody i prądu. Takich ludzi chciałam wspierać i kiedy się okazało, że w zakonie to nie będzie możliwe, zdecydowałam się na odejście. Napisałam oficjalną prośbę i po okresie próbnym opuściłam zakon. Moja ówczesna przełożona prowincjalna nawet się ucieszyła, że będzie miała problem z głowy, bo wdawałam się w dyskusje i kwestionowałam panujące zasady. Po wyjściu pozostawało mi jeszcze podpisanie dokumentów.

Wybrałam się w umówionym dniu do zgromadzenia, a przełożona zrobiła mi wielką awanturę, że przychodzę z osobą postronną. Miałam do tego prawo, ale postawa siostry przełożonej była tak wroga, że ostatecznie tamtego dnia niczego nie podpisałam. Zrobiłam to kilka tygodni później w sądzie biskupim w Krakowie. W pierwszych dniach po wyjściu z zakonu wspierał mnie brat, pomogli znajomi, udostępniając na rok mieszkanie. Wróciłam do pracy jako nauczycielka w przedszkolu. Mam wykształcenie pedagogiczne. Powołałam też Fundację Przy Stole, w której pomagamy ludziom w różny sposób wykluczonym. Udało mi się więc robić to, o czym zawsze marzyłam.

Jak traktowana jest w zgromadzeniu młoda siostra?

Jak dziecko. Starsze siostry patrzą na nią jak na najmłodszego i niedoświadczzonego członka rodziny. On jeszcze nic nie wie, nie rozumie, jak działa wspólnota. Nie ma więc prawa do podejmowania własnych decyzji. Niestety, to się niespecjalnie zmienia nawet po złożeniu ślubów wieczystych. Słowo przełożonej jest prawem. Siostry muszą od niej uzyskiwać pozwolenie na wizytę u lekarza, wyjście

do pracy, spotkanie z rodziną czy choćby na to, żeby zatrzymać jakąś rzecz przysланą przez bliskich. To przełożona decyduje, co siostrze jest potrzebne, a bez czego może się obejść.

Przełożona może się nie zgodzić na wizytę u lekarza?

Oczywiście. Zależy to wyłącznie od jej nastawienia. Jeżeli jakaś siostra cierpi np. na depresję, może usłyszeć, że powinna rozwiązać ten problem we własnym zakresie, bo sprawia kłopot wspólnocie. Ma iść do kaplicy i powierzyć swoje cierpienie Jezusowi. Takie arbitralne podejmowanie decyzji, które mogą mieć wpływ na zdrowie, to tylko jedna z form przemocy, z jakimi kobiety spotykają się w zakonach.

Są inne jej formy?

Podstawową jest przemoc ekonomiczna. Siostry nie mają żadnych własnych pieniędzy. Nawet te, które pracują w szkołach na etatach, całą pensję oddają zgromadzeniu. Gdy zakonnica chce wyjść do kina czy na basen, to oprócz pozwolenia przełożonej, musi jeszcze dostać od niej pieniądze na bilet. Inny rodzaj przemocy związany jest z nadużywaniem władzy. Trzeba prosić o pozwolenie na uczestnictwo w pogrzebie członka



rodziny czy odwiedzin u bliskiego, który zachorował. Często się zdarza, że decyzje przełożonej nie mają żadnego logicznego uzasadnienia.

Pamiętam, jak jedna z sióstr umówiła się na spotkanie, podczas którego miała osobom świeckim opowiedzieć o zgromadzeniu. Przełożona początkowo wyraziła zgodę, ale w dniu spotkania nagle oświadczyła, że zakonnica nigdzie nie wyjdzie. Od jej decyzji nie było odwołania, spotkanie się nie odbyło. Bardzo częsta w zakonach jest też przemoc emocjonalna. Kiedy o niej myślę, przychodzi mi do głowy przypadek pracującej w szkole siostry, która świetnie grała na gitarze. Na koniec roku szkolnego dostała w prezencie od rodziców uczniów nowy instrument. Zgodnie z regułami poprosiła przełożoną, żeby móc go zachować. Starą gitarę chciała podarować jednemu z członków rodziny. Przełożona obiecała, że się zastanowi, po czym zabrała siostrze gitarę. Po roku zakonnica trafiła do innej wspólnoty, gdzie poproszono ją o zagranie czegoś na spotkaniu: „Nie mam przy sobie gitary” – broniła się. „To nic, siostrzo, my mamy jakąś starą. Przyniesiemy ze strychu”. Okazało się, że była to jej dawna zabrana gitara.

**A co z kwestiami intymnymi?
Czy o kosmetyki albo podpaski
siostry również muszą prosić?**

Bywa różnie, wiele zależy od podejścia i zdrowego rozsądku przełożonych. Zdarza się jednak, że kupowany jest jakiś jeden rodzaj podpasek i nie ma mowy o uwzględnianiu konkretnych potrzeb kobiety.

Jak wygląda sytuacja w zakonach klauzurowych?

Pod wieloma względami jest jeszcze trudniejsza. Siostry nie mogą wychodzić na zewnątrz. Wyjątkiem jest tzw. siostra kołowa, która odpowiada za zakupy. Nie wolno im także utrzymywać kontaktów z rodziną. Jeśli otrzymują pozwolenie na wyjście, to wyłącznie do lekarza lub na wybory. Ich rytm dnia wyznacza modlitwa i praca dla zgromadzenia. W sytuacji kompletnego braku kontaktu kobiety są narażone na zachowania przemocowe i poważne problemy psychiczne. Wyobraźmy sobie kogoś, kto całymi latami nie rozmawia z bliskimi, nie ma własnego telefonu, maila. Jednocześnie codziennie słyszy, że wyższą formą wtajemniczenia i poświęcenia się Bogu jest samobiczowanie.

Samobiczowanie?

Tak, bawelnianymi biczami. Siostry już na początkowym etapie formacji są uczone, że samobiczowanie świadczy o szczególnym oddaniu Bogu. Słyszą, że to rodzaj ofiary, która zbliża je do cierpiącego Chrystusa. Jednocześnie nie mogą powiedzieć

o tych praktykach absolutnie nikomu, nawet spowiednikowi. Tak się dzieje nawet w zakonach otwartych.

Udało się pani pomóc jakiejś siostrze z zakonu klauzurowego?

Tak, choć jest to bardzo trudne, ponieważ musi ona wykonać pierwszy krok i nawiązać kontakt ze światem zewnętrznym. Czasami udaje się to dzięki osobom funkcjonującym blisko zgromadzenia.

Opuszczenie zakonu jest trudne od strony formalnej?

Absolutnie nie. To bardzo prosta procedura. Moim zdaniem utrzymywanie zakonnic w niewiedzy na ten temat to jeszcze jedna forma przemocy. Kiedy przychodzi ktoś nowy, robi się wszystko, żeby rozmontować jego sieć kontaktów społecznych. Dziewczynie w nowicjacie zakazuje się kontaktu z przyjaciółmi, a nawet z rodziną. Ma mieć nową, zakonną i tylko jej musi poświęcać czas. Nie znaczy to jednak, że nawiązywanie bliskich kontaktów w zakonie jest mile widziane. Zazwyczaj jeżeli jakaś siostra spędza zbyt wiele czasu z inną, budzi to podejrzliwość grupy i naraża na złośliwe uwagi przełożonej. Siostry zazwyczaj utrzymywane są w niewiedzy co do możliwości odejścia, a wystarczy napisać prośbę do biskupa lub do Watykanu. To formalność. Chodzi o przybicie pieczętki. Nawet gdyby dziewczyna, ot tak po prostu, spakowała się i wyszła, ma do tego prawo i nie grożą jej żadne konsekwencje. To na zakonie spoczywa wówczas obowiązek rozpoczęcia procedury wydalenia takiej osoby. Tak to się oficjalnie nazywa. Wydalenie.

Jedyna formalna konsekwencja dla kobiety, to że dopóki jest zakonnicą, nie może wziąć ślubu kościelnego. Problemem jest jednak co innego – ogromny nacisk psychiczny. Mówi się jej, że zdradziła, że porzuciła wspólnotę, że to tak jakby wzięła rozwód z samym Chrystusem. Często wspólnota traktuje ją jak czarną owcę. Nie zapewnia jej żadnej pomocy finansowej. Współsiostry udają, że jej nie widzą. A te kobiety do końca chcą być w porządku wobec wspólnoty. Pamiętam, jak przekonywałam dziewczynę opuszczającą zakon, żeby zachowała dla siebie pensję za pracę w szkole. „Nie mogę – mówiła ze łzami w oczach. – Muszę być uczciwa”. Tłumaczyłam, że to są jej pieniądze, zapracowała na nie, ale bardzo ciężko było jej to zrozumieć.

**Odchodzące mogą liczyć
na pomoc własnych rodzin?**



► Kiedy rodzina się dowie, co się dzieje, zazwyczaj angażujesz się w pomoc. Problem polega na tym, że bliscy nie wiedzą, jak wygląda życie w zakonie, a byłe siostry mają problem z opowiadaniem o trudnych przeżyciach. Mają poczucie, jakby zdradzały wspólnotę. Namawiam je: „Opowiedz o kilku sytuacjach i zobacz, jak zareaguje rodzina”. Zazwyczaj bliscy słuchają tego z rosnącym zdumieniem, ale wierzą i wspierają dziewczynę zaczynającą nowe życie. A to trudne, musi znaleźć pracę, mieszkanie, a przede wszystkim odbudować sieć kontaktów społecznych. Przez lata zazwyczaj nie kontaktowała się ze znajomymi i poza rodziną nie ma nikogo. Jeżeli poszła do zakonu jako młoda dziewczyna, wielu rzeczy nie zdążyła się nauczyć. Bliscy muszą jej pomóc założyć konto czy napisać CV. Ale najważniejsze jest poczucie, że rodzina ich nie odrzuca w trudnym momencie życia.

Czy na wsiach opuszczenie zakonu nadal postrzegane jest jako hańba?

Powrót do małej rodzinnej miejscowości bywa dużym problemem dla odchodzących z zakonu. Są tam przecież doskonale rozpoznawalne. Boją się, jak ludzie zareagują, a reagują bardzo różnie. Na wsiach fakt, że dziewczyna poszła do zakonu, jest zawsze przez wszystkich komentowany. Nie zawsze pozytywnie. Ludzie biadolą, że dziewczyna zmarnuje sobie życie. Później, kiedy przyjeżdża w habicie, zazwyczaj budzi zaciekawienie. Prawdziwą sensację wywołuje jednak dopiero jej decyzja o zerwaniu z zakonem. Naraża ją na odrzucenie. Pamiętam sytuację, kiedy proboszcz w jednej z parafii powiedział kobiecie, że skoro odeszła z zakonu, to nie ma prawa pokazywać się w kościele, bo budzi zgorszenie. Nastawienie ludzi do tej sprawy zmienia się bardzo powoli, zwłaszcza w małych miejscowościach. Mam jednak nadzieję, że ten proces przyspieszy wraz z ujawnianiem kolejnych nieprawidłowości w Kościele. Na razie odejście jest traktowane gorzej niż rozwód.

W jakim wieku siostry najczęściej decydują się odejść?

Nie ma reguły. Pomagałam zarówno kobietom w wieku przedemerytalnym, które wiele lat spędziły w zakonie, jak i znacznie młodszym. Odejścia na razie nie są masowe. W Polsce mamy ok. 16 tys. zakonnic, a do naszego Centrum zgłasza się ok. 40 osób rocznie. Widać jednak wyraźny spadek powołań. W wielu



© PAVEL RAKOWSKI

Izabela Mościcka

— pedagożka, interwentka kryzysowa. Była zakonnica (siostra Nazaria), po 18 latach odeszła ze Zgromadzenia Sióstr Najświętszej Rodziny z Nazaretu (nazaretanek) w Warszawie. Prezeska Fundacji Przy Stole, założycielka Centrum Pomocy Siostrom Zakonnym.

zgromadzeniach siostry między czterdziestką a pięćdziesiątką to te najmłodsze. Są przeciążone pracą, bo zgromadzenia nie rezygnują z aktywności, a młodych sióstr, które mogłyby pomóc, nie ma.

Jak wygląda życie kobiety po powrocie?

To długi i żmudny proces. Jedną z byłych sióstr opowiadała mi, że pierwszego dnia po opuszczeniu zgromadzenia poszła na zwykłe zakupy do supermarketu. Tak długo chodziła między półkami i patrzyła na produkty, że zainteresował się nią ochroniarz. A ona po prostu nie potrafiła podjąć decyzji, co wybrać. To samo w sklepach z ubraniami. Dziewczyny kompletnie nie są przyzwyczajone do wybierania, mierzenia, porównywania. Jednak najtrudniejszy problem to zazwyczaj znalezienie mieszkania. W naszym stowarzyszeniu i w Fundacji Przy Stole mamy pokój interwencyjny, w którym była siostra może się przez jakiś czas zatrzymać.

Jak jeszcze pomagać?

Każda z kobiet otrzymuje wsparcie od interwentki kryzysowej. Pomagamy w poszukiwaniu pracy, udzielamy pomocy psychologicznej, idziemy razem z podopieczną na pierwsze zakupy czy do fryzjera. Siostry przeżywają wielkie rozterki dotyczące zatrudnienia. Nie mieści im się w głowie, że pracę można zmienić. Podchodzą do tego jak do decyzji na całe życie, jak wstąpienie do zakonu. Próbuje im pomóc odnaleźć się w zupełnie nowej rzeczywistości i z dumą muszę powiedzieć, że robimy to skutecznie. Żadna z podopiecznych nie powiedziała mi, że żałuje decyzji o odejściu.

Próbowała pani zwrócić uwagę hierarchów kościelnych na problem przemocy w zakonach?

Oczywiście, że tak. Wysłaliśmy list w tej sprawie do wszystkich biskupów w Polsce. Przyszły może trzy, cztery odpowiedzi z kurii i to na zasadzie „dziękujemy za informację”. Pokładałam

nadzieję we współpracy z konsultą wyższych przełożonych, zwracałam uwagę, że przydałyby się procedury reagowania na przemoc. W odpowiedzi usłyszałam, że procedury przecież są. Jeżeli jakaś siostra czuje się źle traktowana, może zgłosić to przełożonej, a jak ta nie zareaguje, to do jeszcze wyższej i jeszcze wyższej. Wzruszyłam tylko ramionami, bo to dowodzi kompletnego niezrozumienia problemu.

Sytuacja sióstr zakonnych w Polsce różni się od sytuacji zakonników?

Radykalnie. Zakonnicy mają dużo większą swobodę. Studiują teologię, nie muszą w każdej sprawie prosić o pozwolenie przełożonego. Śluby posłuszeństwa rozumiane są w ich przypadku w zupełnie inny sposób. Kiedy odchodzą, dostają wsparcie od wspólnoty. Pamiętam dialog między jedną z byłych sióstr a byłym zakonnikiem. Siostra mówiła z wdzięcznością: „Dostałam dwa tysiące od zgromadzenia na nowe życie”. Zakonnik odpowiedział: „Ja też dostałem dwa tysiące, tyle że euro”. To trochę pokazuje różnicę w podejściu zakonów do kobiet i mężczyzn. Jeśli np. zakonnica staje przed sądem, to zgromadzenie tak długo jak może udaje, że nie widzi problemu. Jeśli zostanie skazana, przestaje dla niego istnieć.

Zdarza się, że rodziny próbują wyciągać z zakonów swoich bliskich?

Miałam sytuację, gdy matka poprosiła nas o pomoc w zabraniu z zakonu córki. Była z nią w kontakcie i słyszała, że czuje się tam źle. Siostry przekonywały, że musi czekać na przełożoną. Nie miała takiego obowiązku, chociażby dlatego, że była jeszcze przed ślubami wieczystymi. Pojechalibyśmy do niej z matką i bratem i udało nam się ją zabrać.

Jak z perspektywy czasu ocenia pani własną decyzję o odejściu?

To najlepsza decyzja, jaką podjęłam w życiu. Dzięki niej jestem wolnym człowiekiem. Czuję to na co dzień, kiedy mogę decydować o drobnych rzeczach; że chcę iść na spacer, pobiegać, mogę z własnej pensji odłożyć dowolną kwotę i pojechać na wakacje, dokąd chcę i kiedy chcę. Pewnie trudno to zrozumieć osobom, które nie przeżyły absolutnej zależności od innego człowieka lub wspólnoty, ale możliwość swobodnego decydowania o własnych sprawach, to naprawdę wielka rzecz.

ROZMAWIAŁ FILIP ZAGOŃCZYK

Śmierć po raz drugi

W Polsce coraz częściej ofiary ponoszą śmierć najpierw w wypadku, a potem ponownie, w długim procesie zaprzeczania, proceduralnych manewrów i publicznych narracji sprawców. Sprawa Sebastiana M. to podręcznikowy przykład.

ZBIGNIEW BOREK



Sebastian M. podczas procesu w Sądzie Rejonowym w Piotrkowie Trybunalskim, 10 lutego 2026 r.

We wrześniu 2023 r. na autostradzie A1 pod Łodzią BMW prowadzone przez Sebastiana M. uderzyło w Kię wracającej z wakacji rodziny. Samochód stanął w płomieniach. Zginęła 37-letnia Martyna (prowadziła gabinet kosmetyczny), jej mąż 40-letni Patryk (żył z handlu) i ich synek, pięcioletni Oliwier. Śmierć rodziny z powiatowego Myszkowa na Śląsku była dramatem drogowym. To, co wydarzyło się później, stało się dramatem społecznym. Wszystko przez wyjątkowy cynizm Sebastiana M. Ale zacznijmy od początku.

Cztery wdechy od startu

Na początku była prędkość. Szaleńcza, zwariowana, obłądna – mówili ci, którzy widzieli, jak M. jechał po autostradzie. Prokurator nazwał ją irracjonalną. Biegły

obliczył: 315–329 km/h. „Poruszając się z taką prędkością, podejrzany nie był w stanie uniknąć wypadku” – czytamy w akcie oskarżenia.

To nie było tak, że Sebastian M. po prostu wcisnął gaz do dechy. Najpierw z rozmysłem i za spore pieniądze zwiększył i tak już olbrzymie możliwości swojego BMW M850i. W specjalistycznej firmie moc silnika podniesiono z 530 do 650 KM, moment obrotowy z 750 do 850 Nm (niutonometrów). „Samochód po modyfikacji jest piekielnie szybki, wciska w fotel bez końca” – zachwalała firma. Przeskalowała ogranicznik prędkości: z fabrycznego ustawienia 260 km/h („tyle uzyskuje po czterech wdechach od startu”) do 330 km/h. „To, że ściągamy tzw. ogranicznik prędkości, nie oznacza, że zezwalamy klientom na jazdę takimi prędkościami w miejscach

do tego niedozwolonych” – mówili pracownicy warsztatu Łukaszowi Zboralskiemu z brd.pl. Innymi słowy Sebastian M. mógłby tak gnać po torze wyścigowym, a nie po ogólnodostępnej autostradzie. To zaś znaczy, że świadomie jechał skrajnie niebezpiecznie. I czuł, że obojętnie co się stanie, ujdzie mu to płazem.

Sprawca albo uczestnik dramatycznego wypadku zwykle jest w szoku, próbuje pomóc ofiarom, wezwać pomoc. Sebastian M. telefonował tylko do ojca, znanego biznesmena, losem ofiar się nie interesował – wynika z akt śledztwa. „Zachowywał się tak, jakby wjechał w kosz na śmieci” – zeznał jeden ze świadków. Kilka godzin później M. przywrócił swój telefon do ustawień fabrycznych, żeby zatrzeć ślady. A potem, wykorzystując fakt, że nie został zatrzymany, opuścił ►

► Polskę, zanim postawiono mu zarzuty. Procedura sprowadzenia go do kraju trwała półtora roku, a M. utrudniał ją na wszelkie sposoby. Poszukiwany listem gończym i europejskim nakazem aresztowania, ukrywał się pod zmienionym wyglądem, opłacił też „złotą wizę”, która w Zjednoczonych Emiratach Arabskich dawała mu status rezydenta. W odbiorze społecznym unikał odpowiedzialności.

Najwięcej szkód społecznych spowodowała jednak jego postawa wobec ofiar. Podkreślimy: nawet jeśli M. nie czuje się winny, to uczestniczył w wypadku, który zakończył życie dziecka i jego rodziców. Jeszcze przed zatrzymaniem w Dubaju w pisemnych wyjaśnieniach dla prokuratury wyrażał „bolewanie w związku ze śmiercią osób jadących samochodem Kia”. Nie wyrażał jednak (i nadal nie wyraził) skruchy, a później było już tylko gorzej.

Bezgraniczny tupet okazał, udzielając wywiadu internetowego, gdy trwała procedura ekstradycyjna. Nie chciał odpowiadać na pytania polskich śledczych, ale odpowiedział na pytania patocelebryty Zbigniewa Stonogi. Siebie przedstawił jako ofiarę dramatu na A1. Sprawcą miał być według niego kierowca Kii. Przeniesienie winy na osoby, które już nie mogą się bronić, to jeden z najbardziej destrukcyjnych mechanizmów komunikacyjnych po tragedii. Opinia publiczna takich rzeczy nie zapomina. M. na tym jednak nie poprzestał.

Bez cienia refleksji

„Dlaczego pan wyjechał po wypadku? Czemu nie wziął pan problemu na klatę?” – pytała sędzia Renata Folkman prowadząca proces w Piotrkowie Trybunalskim, gdy Sebastian M. podważał opinie biegłych, oskarżał policję, prokuraturę, media i sądy o brak profesjonalizmu i „bezprecedensową stronniczość”. W sądzie M. utrzymuje, że wina leży po stronie trzyosobowej rodziny, bo rzekomo zajeżdżała mu drogę, a założone koło dojazdowe miało świadczyc o tym, że auto było uszkodzone (drobiazgowy materiał dowodowy wskazuje jednak, że Kia nie złamała przepisów). M. nie waha się wygłaszać bulwersujących tez – jak choćby ta, że rodzina zginęła nie wskutek wypadku, lecz pożaru.

Z podważania elementarnych faktów uczynił strategię procesową. Jego obrończyni Katarzyna Hebda zaproponowała mediację (to szansa na łagodniejszą karę). Sąd się zgodził, choć według prokuratury postawa M. nie dawała podstaw. Wkrótce

jednak obrończyni złożyła wniosek o wypuszczenie M. z aresztu i bliscy ofiar zerwali mediację. Dla nich stało się jasne: to nie była próba pojednania, lecz kolejny etap walki o interpretację tragedii.

W trakcie procesu krewni ofiar płaczą. Chowają twarze w dłoniach. Czasem wychodzą z sali rozpraw. „Martyna, Patryk i Oliwier nie dojechali do domu i odeszli bez pożegnania. O ich odejściu zdecydował pan Sebastian M.” (tu pełne nazwisko – przyp. red.) – mówiła na rozprawie Małgorzata Duda, matka Marty. Stwierdziła, że na sposób jazdy oskarżonego nie wpływał żaden pośpiech, „prowadził swoje auto z niewyobraźną, wręcz szaleńczą prędkością – dla zabawy i bez choćby cienia refleksji nad swoim zachowaniem”.

Zdecydowała się zabrać głos, widząc zachowanie oskarżonego i jego bliskich. „Mamy wrażenie, że nie dociera [do nich], co się tak naprawdę stało. Czas spędzony na rozprawach kojarzy nam się głównie z ironią i uśmiechem rodziny [Sebastiana M.], co w zaistniałej sytuacji potęguje tylko nasze cierpienie. Rozumiemy istotę prawa do obrony, jednak dobór stwierdzeń, oświadczeń i słów, jakie w naszą stronę kieruje pan Sebastian, łamie nam serca. Cierpimy, panie Sebastianie” – mówiła matka Marty.

Jak zaznaczyła, rodzina mierzy się z atakami i sugestiami, że nie wygra z pieniędzmi i koneksjami. „Przed każdą rozprawą spotykamy się z naszymi dziećmi i Oliwrem na cmentarzu. Nie zrobimy tego już nigdy przy wigilijnym stole. Nie zobaczymy, jak nasz wnuczek dorasta i zdobywa doświadczenia życiowe. Odebrał nam pan to, co w życiu najcenniejsze” – mówiła Małgorzata Duda do Sebastiana M.

Zawieszeni w traumie

– Gdy pogruchotani tragedią bliscy ofiar muszą publicznie uzasadniać własne cierpienie, dochodzi do wtórnej wiktymizacji: osoba pokrzywdzona doświadcza kolejnej krzywdy przez działania instytucji, sprawcy lub debatę publiczną – mówi profesor Uniwersytetu Gdańskiego Beata Pastwa-Wojciechowska, psycholożka sądowa, która bada funkcjonowanie ofiar przestępstw i reakcje społeczne. W sprawie Sebastiana M. widzimy mechanizm wtórnej wiktymizacji (*victim* to z angielskiego ofiara) jak na dłoni: przeciąganie postępowań, obwinianie ofiar, ich bliscy przeżywają dramat wciąż od nowa. To nie pierwszy przypadek.

Kilka dni temu, 5 marca 2026 r., Sąd Okręgowy w Olsztynie złagodził i tak niską karę dla adwokata Pawła K.: zamiast na dwa lata pójdzie do więzienia na półtora roku (wyrok jest prawomocny). Sąd uznał, że jego wina była nieумыślna, choć w wypadku spowodowanym przez Pawła K. we wrześniu 2021 r. pod Barczewem zginęły dwie kobiety. Jeżdżący wypasionym mercedesem adwokat obwinił o wypadek swoje ofiary, a ich samochód nazwał „trumną na kółkach”.

1 stycznia 2014 r. pijany kierowca BMW wjechał w pieszych w Kamieniu Pomorskim. Zginęło pięciu dorosłych i dziecko. Dwoje innych dzieci trafiło do szpitala. Ośmioletni Hubert dopiero po dwóch tygodniach wybudził się ze śpiączki. W wypadku zginęli jego rodzice i brat, opiekę nad Hubertem przejęli dziadkowie. Sprawca w 2016 r. został prawomocnie skazany na 15 lat więzienia, ale oni jeszcze kilka lat musieli sądowo walczyć o odszkodowanie dla chłopca, który wymagał stałego leczenia i nie znał dnia bez bólu.

W 2021 r. w Katowicach kierowca autobusu pod wpływem opioidów wjechał w grupę osób wracających nad ranem z zabawy w klubie. Pod kołami zginęła 19-letnia Barbara. Ktoś nagrał, jak autobus ciągnął ją kilkadziesiąt metrów. Trzy lata później sprawca został prawomocnie skazany na 16 lat więzienia, ale przez cały czas internet zalewały agresywne komentarze: „co ona tam robiła, sama jest sobie winna”.

„Pewnie wtargnął”, „czemu tamtędy szła”, „samobójca” – to wręcz rutynowe reakcje polskiego internetu na wiadomość o śmierci pod kołami samochodu czy pociągu. Komentarze pojawiają się natychmiast po wypadkach, gdy tak naprawdę nikt nic jeszcze nie wie. W przypadku gwałtów czy zabójstw komentarz bez opamiętania analizuje zachowanie i styl życia ofiar. Pograżone w smutku rodziny muszą bronić ich reputacji, walczyć ze stereotypami i brakiem empatii. Tradycyjne media też nie są święte. Publikują drastyczne szczegóły, wielokrotnie pokazując miejsce tragedii, telewizja zapęta dramatyczne chwile. Reporterzy nie pozwalają w ciszy przeżywać żałoby: tuż po dramacie natychmiast pytają o emocje, pojawiają się pod domami ofiar i bliskich, filmują pogrzeby.

Żyjące ofiary wypadków nie mogą się przez to podnieść z tragedii, budować przyszłości od nowa. Zawieszenie w traumie – tak nazywają to eksperci. Skutkiem bywa rosnący lęk i drażliwość, ale też

nasilone objawy somatyczne: bóle głowy, kłopoty ze snem, chroniczne zmęczenie. Emocje się przez to radykalizują, rośnie poczucie niesprawiedliwości i topnieje zaufanie do państwa. W sprawie Sebastiana M. cierpi jednak nie tylko rodzina, lecz także wspólnota, czyli społeczeństwo.

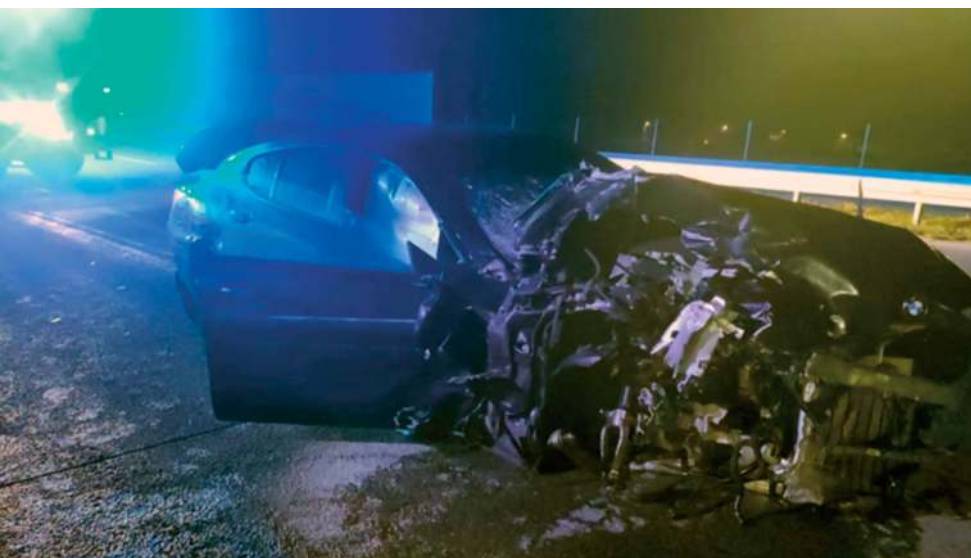
– Gdy sprawca przez długi czas przebywa za granicą, udziela wywiadów i przedstawia własną wersję wydarzeń, która nijak się ma do ustaleń śledztwa, nawet obcy ludzie zaczynają doświadczać zbiorowego poczucia, że sprawiedliwość oddala się od ofiar.

zrobił zdjęcia rzeczy ofiar i wysłał adwokatowi rodziny. Gdy w początkowym etapie śledztwa policja i prokuratura w oficjalnych komunikatach pomijały Sebastiana M., internauci publikowali filmiki i zdjęcia z wypadku, docierali do kolejnych informacji o M. i jego aucie.

– Obcy ludzie zaangażowali się w sposób niebywały, a to pozwalało wywierać presję na śledczych. W imieniu rodzin ofiar dziękuję wszystkim, którzy w dobie powszechnej znieczulicy nie pozostali obojętni – mówił nam wtedy adwokat Łukasz Kowalski.

uniknął aresztowania i bez problemu wyjechał z Polski, a ukrywanie się w jednym z najdroższych państw świata i wybiegi prawne pokazały, że nie liczył się także z pieniędzmi. – Jeśli ktoś zachowuje się tak, jakby nie dotyczyły go żadne reguły społeczne, budzi sprzeciw nawet postronnych osób – dodaje prof. Mołęda-Zdziech.

Formalnie sąd ocenia jednak dowody, nie emocje. Według ustaleń śledztwa „jedyną i bezpośrednią przyczyną” tragedii na A1 było „nieprawidłowe postępowanie Sebastiana M.”. 35-letni M. po ekstradycji



Nieprzypadkowo sprawa wywołuje tak silne emocje: dotknęła lęku, że odpowiedzialności można unikać albo ją negocjować. Gdy ktoś usiłuje za wszelką cenę postawić się ponad prawem, uderza w fundamenty sprawiedliwości społecznej – komentuje prof. Pastwa-Wojciechowska.

Sprawca uprzywilejowany

Dramat na A1 poruszył społeczny nerw już od pierwszych chwil. Wielu kierowców, którzy mogli minąć miejsce wypadku i pojechać dalej, zatrzymało się, żeby ratować ofiary. Słyszeli wołanie o pomoc, widzieli osobę siedzącą z tyłu, która próbowała osłaniać dziecko. W ruch poszły gaśnice samochodowe i łomy, ale ogień rozwijał się błyskawicznie, eksplodował też zbiornik paliwa. Jeden z ratujących zaczął tracić przytomność.

Ktoś znalazł wysięgówki na resorach, którymi Oliwier bawił się w drodze do domu. Podniósł je z jezdnii i położył na barierze autostradowej, przy której chłopczyk zginął z rodzicami. Ktoś inny

Gdy M. uciekał przed wymiarem sprawiedliwości, jego pełnomocnicy wysyłali do mediów wezwania przedsądowe i groźby pozwów, żądając usuwania publikacji na ten temat. Bliscy Sebastiana M. wytaczali procesy tym, którzy – jak twierdzili – ujawniali w internecie ich dane osobowe albo dopuszczali się hejtu. Tylko żona Sebastiana M. skierowała do sądów 27 pozwów, z osobnymi pozwami wystąpił jego ojciec. Próby cenzurowania lub usuwania informacji (plików, zdjęć czy całych stron internetowych) mają zwykle skutek odwrotny do zamierzonego: ich zasięgi rosną.

W sprawie A1 empatię społeczną wobec ofiar i oburzenie na Sebastiana M. wzmógł on sam i jego rodzina. – Uwagę opinii publicznej dodatkowo pobudza fakt, że mamy do czynienia z figurą „sprawcy uprzywilejowanego” – komentuje prof. Szkoły Głównej Handlowej Małgorzata Mołęda-Zdziech, socjolożka zajmująca się mediatyzacją życia publicznego. Jak zauważa, M. jechał po autostradzie, jakby był jej władcą i jedynym użytkownikiem. Potem

Sprawa Sebastiana M. nie dotyczy już wyłącznie prędkości i śmierci na autostradzie. Dla wielu Polaków to test, czy wobec prawa wszyscy jesteśmy równi. Czy są granice, których nie wolno przekraczać nawet w imię prawa do obrony?

wciąż siedzi w areszcie. W razie wyroku skazującego może iść do więzienia na osiem lat (a jego prawniczka zaalarmowała ostatnio, że esemesowo grożono mu śmiercią). – Postawa oskarżonego po zdarzeniu jest jednak istotna dla oceny stopnia winy, wymiaru kary i ewentualnych okoliczności łagodzących – mówi doświadczony prokurator. Sąd uwzględnia też wymogi prewencji szczególnej (ma zapobiec recydywie sprawcy) i ogólnej (pokazuje, że prawo działa, a przestępstwo spotyka się z nieuchronną karą). Dlatego sprawa Sebastiana M. nie dotyczy już wyłącznie prędkości i śmierci na autostradzie. Stała się czymś więcej niż procesem karnym pojedynczego (i wciąż tylko domniemanego) sprawcy.

Dla wielu Polek i Polaków jest testem, czy wobec prawa wszyscy naprawdę jesteśmy równi. Czy istnieją granice, których nie wolno przekraczać nawet w imię prawa do obrony? Wreszcie: czy po tragedii można zachować się tak, by nie było już kolejnych ofiar?

ZBIGNIEW BOREK



Powidoki

Jak **Michał Lipski**, straciwszy nagle wzrok, utrzymał bardzo poważne stanowisko w bardzo poważnej firmie.
Z pomocą arbuza przez wielkie A.

MARCIN PIĄTEK

Cchoroba spadła na Michała jak grom z jasnego nieba. – W czerwcu 2023 r. jechałem z żoną i dziećmi na wakacje, prowadziłem samochód. W sierpniu dowiedziałem się, że tracę wzrok.

Nie był w stanie czytać. W centrum pola widzenia migotała czarna plama. Jakby w środku liter i słów coś eksplodowało. Treść możliwa do rozszyfrowania tylko po dużym powiększeniu tekstu. Specjaliści od okulistyki nie wiedzieli, co się dzieje, jednocześnie nie pozostawiając

złudzeń: ewidentnie pan ślepnie. – Pod koniec listopada potwierdzono, że to choroba Stargardta, czyli dystrofia plamki żółtej, najlepiej uzbrojonego w fotoreceptory elementu oka, wystrzajającego widzenie. Jej podłoże jest genetyczne, może się uaktywnić, gdy od obojga rodziców odziedziczy się ten sam popsuty gen ABCA4. W większości przypadków ma to miejsce między 7. a 22. rokiem życia. Dlaczego u mnie odpaliła w wieku 33 lat? Nie wie nikt. Lekarze mówili: „Jest pan ciekawym przypadkiem”.

Choroba Stargardta jest stosunkowo mało zgłębniona: nie ma standardowego scenariusza, przewidywalnego tempa degradacji wzroku, czynników przyspieszających rozwój. – Poza tym, że uszkodzony gen przetwarza witaminę A w substancję toksyczną dla oczu. Zaleca się więc unikanie dyni i marchwi, które zresztą uwielbiałem. Ratunku nie ma, operacji na siatkówce się nie przeprowadza. W Stanach Zjednoczonych podejmowane są eksperymentalne terapie, ale ich skutki uboczne mogą być koszmarnie, z nowotworami i paraliżem układu nerwowego włącznie. Nie jestem szaleńcem.

Magda Kokot z Gdyni, również chorująca na stargardta, prowadzi fundację Nie Widzimy Przyszłości: – W Polsce chorych jest jakieś pół tysiąca, może trochę więcej. Na ogół choroba postępuje stopniowo. Mam 37 lat, pierwsze objawy pojawiły się u mnie w wieku 7 lat, a od 11 lat muszę poruszać się



z białą laską. W przypadku Michała przebieg był piorunujący, pierwszy raz się z taką sytuacją zetknęłam. Życie wywróciło mu się do góry nogami i miał bardzo mało czasu na odnalezienie się w nowej rzeczywistości.

Naleśniki po ciemku

Michałowi zostało jeszcze 1 proc. ostrości wzroku. Pole widzenia: minimalne. Jakby miał duży talerz non stop przyklejony do twarzy. – Ta cienka otoczka światła wokół ciemności to śladowe widzenie brzożowe, czyli z grubsza rzecz biorąc, moja obecna percepcja. Coś tam mogę sobie dozerknąć.

„Dozerkuje” instrukcje modeli Lego. Wyświetla je w domu na 43-calowym monitorze, powiększa, przykłada twarz do ekranu, kątem oka wychwytuje potrzebny szczegół, układa. Podobnie działa w kuchni, przy obsłudze płyty indukcyjnej, bez żadnych wyżłobień,

gładkiej jak tafla szkła, nieporęcznej dla niewidomych. Przylega więc do niej policzkiem. Ale samo ciasto na naleśniki przygotowuje na dotyk (mąka do szklanki na wysokość podpowiadaną przez palce) oraz na słuch (charakterystyczny dźwięk mleka i wody zbliżających się do krawędzi szklanki). – Reszta to już łatwizna: jajka, szczypta soli, kapka oleju na wyczucie. Za każdym razem wychodzą identyczne. Dzieciaki je uwielbiają – mówi. Córka ma trzy lata, pamięta jej twarz niespełna rocznego malucha, mleko w proszku przygotowywał jej już „w ciemności”. Syn, sześć lat, uwielbia opowieści w rodzaju „jak to działa”, „jak jest zbudowane”. Dla Michała, inżyniera pochłaniającego w dzieciństwie telewizyjne serie o wynalazkach, instrukcjach obsługi i technologicznych mitach, takie prośby to woda na młyn. Gdy czegoś nie wie, zaimprovizuje na poczekaniu.

Po pierwszym szoku, wymagającym terapii i leków antydepresyjnych, obudził się w nim fighter. Dla bliskich, którzy stoją za nim murem, dla własnego poczucia sprawczości. – Żona pracuje, ale mamy potężny kredyt, jak większość ludzi z naszego pokolenia. Od biadolenia życie się nie zmienia, zresztą z domu wyniosłem przekonanie, że facet musi być zaradny, odpowiedzialny, twardy. Nie wyobrażałem sobie, że stanę się ciężarem, uzależnionym od pomocy innych i czekającym co miesiąc na zasiłek.

W bojowym nastawieniu utwierdzili go inni, podobnie doświadczeni przez los. – Magda Kokot mi zaimponowała. Pracuje jako psycholog, ma męża, trzyletniego syna, prowadzi fundację, jeździ na koncerty muzyki gotyckiej, którą uwielbia. Pomogła mi uformować tę sytuację w projekt. Jest jak jest, trzeba zrobić to i to, krok po kroku. Jej brat również stracił wzrok w wyniku tej samej choroby, pracuje jako programista. Krzysiek Sałapa z fundacji Światłownia przekonał mnie, że naukę chodzenia z laską muszę rozpocząć od razu, póki jeszcze cokolwiek widzę. Dzięki niemu zdążyłem się przystosować, synchronizując dotyk ze wzrokiem.

Magda Kokot: – Gdy pierwszy raz się ze mną skontaktował, był w rozsypce. Trudno się dziwić. Ale szybko się otrząsnął, zaczął szukać kontaktu ze środowiskiem ludzi niewidomych. Chciał się dowiedzieć, jak na nowo żyć, jak robić zakupy, jak poruszać się z psem przewodnikiem. Takie bardzo praktyczne, inżynierskie ►

REKLAMA

**WSPIERAJ
Z NAMI
KULTURĘ,
NAUKĘ
I RZETELNĄ
INFORMACJĘ**

PRZEKAŻ
FUNDACJI TYGODNIKA
POLITYKA

1,5%
PODATKU

KRS 0000104137



**Twoje 1,5% podatku
wesprze:**

popularyzację wiedzy
opartej na rzetelnych
badaniach i źródłach

•
przeciwdziałanie
dezinformacji i populizmowi

•
nagrody i stypendia
dla twórców kultury
i naukowców

► *podejście, charakterystyczne dla Michała. Ale nieraz spotkałam się z tym, że reakcją na postępującą chorobę jest wyparcie tego ze świadomości. Albo unikanie kontaktu z niewidomymi, jakby wejście między nich miało ściągnąć jakieś fatum, sprawić, że choroba nabierze rozpędu.*

Pies w kantynie

W pracy musiał grać w otwarte karty. Marcin Nadrowski, szef zespołu, w którym pracuje Michał: – *Jest inżynierem do spraw wdrażania nowych produktów w Dellu. Duża wiedza techniczna, błyskotliwy, ważny dla teamu. Gdy powiedział mi, co się dzieje, nasz pierwszy odruch w firmie był taki, żeby go wspomóc w kuracji, choćby za granicą. Ale szybko okazało się, że leczenie nie wchodzi w grę. Wtedy Michał powiedział: „Pozwól mi przemyśleć, do czego mogę się przydać, nie widząc”.*

Najpierw Michałowi wydawało się, że utrzymanie stanowiska jest niemożliwe. Zaczął rozważać opcje alternatywne: kurs masażu, udzielanie korepetycji z angielskiego, w ostateczności jakaś praca manualna, np. skręcanie długopisów. – *Gdybym doszedł do wniosku, że nie dam rady, uczciwie bym to przyznał. Kontrola wdrożeń w dużej części polega na obecności na produkcji i przyglądaniu się problemom oraz analizowaniu, jak je wyeliminować. Utrata wzroku oznaczała, że na produkcję wejść nie mogę.*

Zaproponował więc rozsadę zadań: koledzy z zespołu przejmą od niego obowiązki związane z kontrolą wizualną, a on zajmie się ich działką związaną ze wsparciem zza komputera: przygotowywaniem odpowiedzi na pytania z produkcji, rozwiązywaniem wyzwań technicznych, tworzeniem prezentacji, analizą dokumentacji. Marcin Nadrowski: – *Zespół nie miał z tym najmniejszego problemu. Zrobiliśmy listę zadań i okazało się, że jest z tego cały etat. Kierownictwo to zaakceptowało.*

Trzeba było jeszcze przebrnąć przez formalności: analizę ryzyka, tworzenie procedur, zgodność z przepisami ogólnymi i z regulaminem wewnętrznym. Nawet w tak dużej firmie, mającej zakłady na całym świecie, trudno było znaleźć analogiczny przypadek, który można potraktować jak punkt odniesienia. Biorąc pod uwagę skalę działalności zakładu, największym wyzwaniem były przepisy bhp. Na co dzień przezroczyście, ale stworzone z myślą o sytuacjach

nadzwyczajnych i kryzysowych, np. ewakuacji, która z niewidomym pracownikiem na pokładzie musi zostać przeciwczona i opanowana do perfekcji. W firmie mówią, że sprawne poukładanie tzw. procesów to zasługa odpowiadającej za HR Anny Szymorek.

Gdy Michał przyjeżdża do firmy ze swojego mieszkania w Łodzi, z przystanku tramwajowego za biurko jak po sznurku prowadzi go Arbuz, niespełna trzyletni labrador. Arbuz jest klasycznie po labradorsku uroczy, co sprawia, że aż się go chce pogłaskać. Ale Arbuza głaskać nie należy, gdyż nie powinien lgnąć do nieznajomych, tylko skupić się na byciu oczami Michała. – *Jego ruch to dla mnie informacja: idziemy, droga wolna. A jeśli, domagając się głaskania, pociągnie mnie na przejście dla pieszych w najbardziej nieodpowiednim momencie?* – pyta Michał.

Nagła potrzeba obecności psa na terenie firmy zrodziła wyzwania i problemy (co z pracownikami mającymi alergię na psa lub dogofobię, zwierzę w kantynie, co z kosztami na odchody), ale wszystko udało się poukładać. Rola Arbuza została doceniona poprzez przyznanie mu karty wejściowej, czyli można uznać, że stał się częścią załogi. Michał ma swoje zadania, Arbuz swoje, na legowisku pod ścianą tyłko pozornie odpoczywa, w rzeczywistości jest ważny i wyczulony na każdy ruch Michała, nie należy go brać za firmową maskotkę, a najlepiej traktować jak powietrze. Taka lekcja płynęła ze szkolenia dla pracowników prowadzonego przez Magdę Kokot: – *Była pełna sala, dużo pytań, szczere zainteresowanie tym, jak w tej nowej sytuacji należy postępować. Robię sporo szkoleń, ale rzadko spotykam się z taką empatią.*

Michał: – *Wyzwania i problemy wynikające ze zmian, jakie trzeba było w firmie stworzyć pode mnie, były duże. Wydawało mi się, że łatwiej będzie się mnie pozbyć. Magda Kokot mówi, że obawom Michała związanym z utratą pracy trudno się dziwić, ale też z drugiej strony firmy nie palą się do zwalniania osób dotkniętych taką życiową tragedią, żeby uniknąć oskarżeń o dyskryminację albo wykluczanie. – Co nie zmienia faktu, że utrzymanie przez niego tak odpowiedzialnego stanowiska było olbrzymim wyzwaniem.*

W zawodowej ciemności pomoc przyszła z dwóch stron. Technologicznej – to przede wszystkim programy

komputerowe, które zastępują Michałowi oczy: prowadzą go po monitorze i czytają zawartość plików, a skróty na klawiaturze uruchamiają konkretne funkcje. Ale też za sprawą kompetencji osobistych Michała, mieszanki jego inżynierskiej wiedzy i zmysłu do twórczego kombinowania. – *Wykorzystuję moją pamięć obrazową i wiedzę, jak co jest zbudowane, rozumiem schematy tworzące elementy konkretnego systemu. Słyszac pytanie albo problem, wiem, gdzie szukać odpowiedzi, ewentualnie do jakich narzędzi albo aplikacji wykorzystywanych w firmowym środowisku mogę się odwołać.*

Dell to jedna z większych firm technologicznych na świecie. W Europie ma jedną fabrykę, właśnie w Łodzi. Zarabia na tym, co sprzedaje (m.in. serwery, urządzenia do przechowywania i ochrony danych, sprzęt IT, oprogramowanie). Marcin Nadrowski: – *Na etapie wdrażania nowych produktów wszystko musi być dopięte na ostatni guzik. Jestem pod wrażeniem tego, jak Michał funkcjonuje.*

Nie widzę problemu

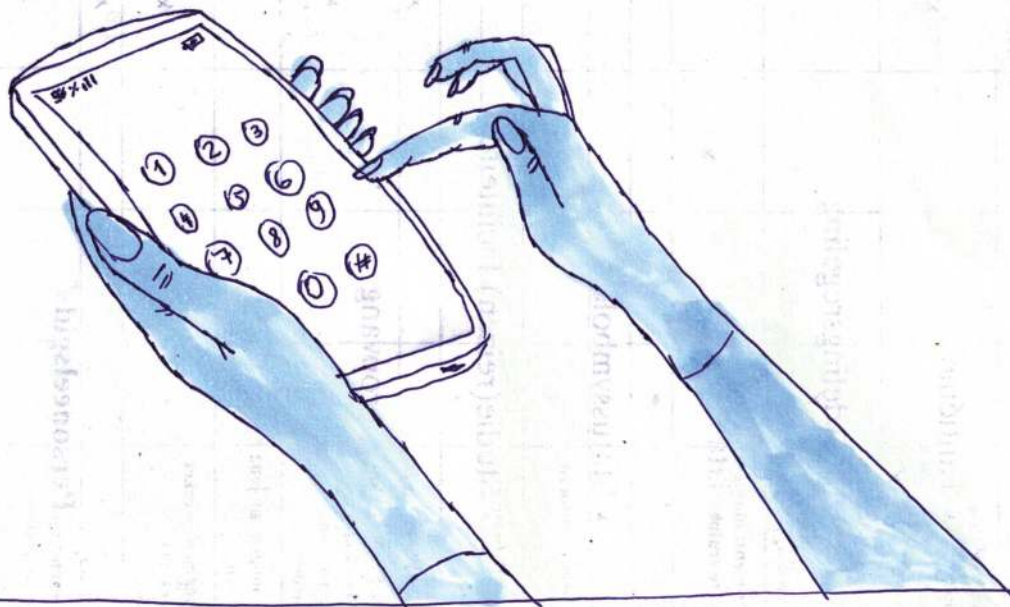
Po takim ciosie, uważa Michał, najważniejsze to zachować sprawczość, poczucie wartości i niezależności. Utwierdziwszy się w przekonaniu, że rolem ojca, męża, kumpla i inżyniera wciąż może sprostać, nabrał rezonu. – *Na razie wiem, że nie poprowadzę samochodu no i nie zostanę naocznym świadkiem – oznajmia ze śmiertelnie poważną miną. Zwyczajowa odpowiedź Michała na działowych zebraniach: „Nie widzę problemu”.*

Jak na twardo stąpającego po ziemi inżyniera przystało, bezceremonialnie rozprawia się z wiarą w moc niesprawdzonych terapii. A jest to często wiara rozpaczliwa, głucha na przestrogi. Magda Kokot mówi, że jako cudowne metody propaguje się leki na cukrzycę, komórki macierzyste, akupunkturę gałki ocznej. – *Pewnym można być tylko tego, że wyzyszczą portfel. Słyszysz się: 50 tysięcy, 60, 120. Skutki uboczne to rozwalona trzustka, wątroba. Jedna z dziewczyn w przypiływie desperacji poddała się akupunkturze oczu, połączonej elektryczną stymulacją. Wzroku oczywiście nie odzyskała, ale dołożyła sobie jaskrę i zespół suchego oka.*

To zazwyczaj odruch tonących, gotowych chwycić się każdej brzytwy. Którzy w swym nieszczęściu nie mają takiego szczęścia do ludzi jak Michał.

MARCIN PIĄTEK

ŻEBY USPRAWNIC PRACĘ PORODÓWEK
WPROWADZILIŚMY TELEFONICZNY
SYSTEM PORODÓW



TAM DAM DAM ♪♪♪
JEST PANI DWUDZIESTA PIĄTA
W KOLEJCE ♪♪ TAM DAM



Na każdy temat
z każdej strony

tokfm

JANEK KOZA DLA tokfm



Borys Szyc (po prawej z Michałem Żebrowskim) jest twarzą uniwersalną: jednego dnia wegediety, drugiego hamburgerów

Twarze rajstop,

**Ambasador marki to brzmi dumnie.
Dla marki i dla ambasadora.
No i ma brzmieć dumnie dla klientów.
A z tym bywa różnie.**

AGNIESZKA SOWA

Według definicji ambasador marki to osoba, która oficjalnie reprezentuje firmę, buduje zaufanie, pozytywny wizerunek oraz relacje z grupą docelową, utożsamia się z wartościami firmy i jej produktami. Nie tylko reklamuje je, lecz także używa ich na co dzień lub przynajmniej wiarygodnie udaje, że to robi, i relacjonuje to w mediach społecznościowych. Do tego wystąpienia na konferencjach prasowych, wywiady, teksty, spotkania z konsumentami. Udział w jednym spocie to za mało. A że termin ambasador, ambasadorka zrobił się modny, wiele firm i osób wykorzystuje go do zainteresowania swoją działalnością i poglądami.

Soda zdrowia doda

Tak robi np. „ambasadorka octu i sody” Sylwia Panek, chemiczka, autorka książki „Rok w zdrowym domu”. Prowadzi konto na Instagramie, gdzie promuje sprzątanie bez chemii i zachęca do używania w tym celu sody oczyszczonej, octu, kwasku cytrynowego i szarego mydła. Obserwuje ją 130 tys. internautek. Zdrowy dom to nie tylko sprzątanie bez chemii. Sylwia Panek obiecuje, że bazując na doświadczeniu i nauce, podpowie, jak dzięki drobnym zmianom w kuchni, łazience i garderobie zadbać o siebie i bliskich i żyć w domu wolnym od toksyn. Jak ograniczyć

ilość mikroplastiku, który codziennie trafia do ludzkiego organizmu, jak chronić dzieci przed niebezpiecznymi zabawkami. Wyjaśni, czy teflonowa patelnia powoduje raka i dlaczego powietrze w domu jest gorsze niż smog.

Ambasadorzy Zdrowia to sieć zrzeszająca rozpoznawalnych twórców treści medycznych, m.in. lekarzy, farmaceutów, pielęgniarki, dietetyków, jest nawet jeden ratownik medyczny, położna, dwie studentki medycyny i pacjentka z łuszczycą (Pani Łuska). Wszyscy są aktywni w internecie. Razem prowadzą kampanie edukacyjne, czasem we współpracy z jakąś marką, czasem z Ministerstwem Zdrowia. Na Instagramie mają 1 mln 390 tys. obserwujących, podobnie na FB, a na TikToku niemal 2 mln 400 tys.

Ale wróćmy do świata reklamy i marketingu. Od czasu, gdy pojawiły się social media, bardzo wiele osób monetyzuje w nich swoją popularność. Trwa to już kilkanaście lat i przez ten czas celebryci i influencerzy nauczyli się gry w socjale i w reklamę. Rzadziej zdarzają się spektakularne wpadki. Takie jak byłej żony Michała Koterskiego, Marceli Leszczak, modelki znanej z programu „Top Model”. Prawdziwą sławę przyniosła jej rola w kiczowatym serialu „Miłość na bogato”, w którym została „twarzą rajstop”. Szybko stała się ulubionym obiektem kpin całego show-biznesu. Przebiła ją Natalia Siwiec, modelka, reklamując w stroju topless serum i krem wybielający do miejsc intymnych, pach, sromu i odbytu. Szybko jednak okazało się, że Siwiec nie zgodziła się zostać twarzą kremu do wybielania odbytu. Producent tych kosmetyków kupił po prostu prawa do zdjęć modelki w serwisie photodune.net, płacąc podobno 3 dol. za sztukę. I wykorzystał rozebrane fotki modelki do reklam publikowanych głównie w internecie. Natalia Siwiec złożyła pozew o odszkodowanie, producent kosmetyków również, twierdząc, że szum wokół całej sprawy wpłynął negatywnie na wizerunek marki. Do tego stopnia, że zapadła decyzja o zakończeniu działalności, a na sprzedaż wystawiono kompleksowe zaplecze niszowego biznesu w bardzo atrakcyjnej cenie.



Sylwia Panek podpowiada, jak utrzymać zdrowy dom

ambasadorzy octu...

Dziś już takich historii nie ma. Raz, że celebryci i influencerzy bardziej uważają, a dwa, że samo zjawisko przestało być dziwne i bulwersować ze względu na swoją masowość. – *Dziś właściwie każdy młody człowiek może być przedsiębiorcą, a tym przedsięwzięciem jest jego twarz lub ciało* – mówi Kuba Wojewódzki. – *Pojawiły się na rynku duże pieniądze i każdy chce coś z tego uszczknąć dla siebie*. Trudno w środowisku influencerów i celebrytów znaleźć kogoś, kto nie byłby zaangażowany w reklamę, a im głośniejsze nazwisko, tym większe pieniądze. I trochę głupio wyśmiewać się z kolegi, jak samemu robi się to samo.

Borys Szyc od 2020 r. występuje w reklamach McDonald's, promując linię burgerów Maestro wraz z Michałem Żebrowskim. Szyc zajada się wołowym Maestro Grilled Mushrooms z grillowanymi pieczarkami. A w przerwie podpisuje kontrakt z firmą Alpro na reklamę roślinnego mleka. Dysonans? No nie do końca. Kampania Alpro była oparta na pomysle mięsożercy przechodzącego na dietę roślinną. W spotach reklamowych pojawiał się Borys Szyc w towarzystwie dotychczasowej ambasadorki marki Darii Ładochy, która wprowadza go w świat roślinnych specjałów. Mimo to rozpętała się wokół tej kampanii dyskusja na temat etyczności reklamowania produktów przez celebrytów oraz ich autentyczności w social mediach.

Słup reklamowy

Co chyba nie poprawiło wizerunku marki. Zwłaszcza że przy okazji Szyc zaliczył wpadkę. Omyłkowo opublikował na swoim profilu na Instagramie post reklamujący Alpro owsiane Barista, razem z wytycznymi, jakie dostał od firmy: „Wrzucamy: 1) instastories – ten filmik z robienia kawy, 2) post na walla – zdjęcie plus tekst”. Borys Szyc szybko edytował wpis, ale krążyły już print screeny pierwotnej wersji. Ostatecznie, na prośby rozbawionych internautów, aktor przywrócił poprzednią wersję wpisu.

Borysa Szyc przedstawiano jako ambasadora wegańskiej marki Alpro. I, niemal jednocześnie, był ambasadorem McDonald's. Ale

wielu bije go na głowę, kolekcjonując dziesiątki reklamowych kontraktów. Zapewne rozdrabnianie się polskich celebrytów w rozmaitych współpracach to kwestia pieniędzy. Gwiazdy, takie jak Robert Lewandowski, mają zagwarantowane lukratywne kontrakty (ma ich bardzo dużo), ale ci średniego kalibru walczą o każdą umowę. Co nie sprzyja ich wizerunkowi. Ale finansom już tak.

„Kiedy grasz w pierwszej lidze, nie rozmieniasz się na drobne” – pisze Lidia Lewandowska, redaktorka naczelna portalu wirtualnekosmetyki.pl. „Twarz aktorki czy sportowca staje się wówczas rzeczywiście twarzą marki. Jednej. Mocnej. Bo to też wyznacznik poziomu dla obu stron kontraktu. Globalne marki i światowe gwiazdy wiedzą, że ambasador to nie rola – to przedłużenie wizerunku. W Polsce wciąż zbyt często widzimy odwrotność tego obrazu. Gwiazdy, które nie tyle są ambasadorami co nośnikami reklamowymi. Raz jednej marki, raz drugiej”.

Co jest niebezpieczne zarówno dla marek, jak i dla celebryty, który użycza swojej twarzy, gdy reklamowane marki nie współgrają ze sobą, a są z zupełnie innej bajki. – *Nazwanie kogoś znanego ambasadorem jakiejś marki podnosi rangę tej współpracy reklamowej* – mówi Kuba Wojewódzki. – *Marek Kondrat nie jest ambasadorem ING Nationale-Nederlanden, tylko człowiekiem, który reklamuje ten bank. Ja jestem w Playu od 17 lat, co nie znaczy, że jestem ambasadorem Playa, tylko twarzą wynajętą do reklamy. Ambasador to coś więcej. To osoba, która w imieniu tej marki się wypowiada, reprezentuje ją.*

Kiedy Anna Mucha czy Filip Chajzer zostają ambasadorami Skody, to najczęściej oznacza, że lokalny dealer zaoferował im współpracę barterową, a sama firma może nawet nic o tym nie wiedzieć. Ale lepiej to sprzedawać jako ambasadorowanie.

Magda Mołek jeździ czerwonym BMW z napisem „Mój styl, mój kolor”. I tak relacjonowała w mediach społecznościowych: „Myślicie, że można się zakochać w dwa tygodnie? A w samochodzie można? Bo ja dochodzę właśnie do takiego wniosku. Mogłabym z TEGO auta nie wysiadać. Jest po prostu W MOIM ►

► **STYLU:** innowacyjny, ekologiczny, elegancki i z klasą, no i jest czerwony. Uważam, że byliśmy sobie pisani. Będę Wam zdawać na bieżąco relacje, jak nasze postępy w tej miłości, bo Dobrem trzeba się dzielić". Pod postem oznaczenie: współpraca barterowa. Ale ambasador czy ambasadorka lepiej się klika.

Jeżeli nie barter, to wynagrodzenie. O wysokości kontraktów obie strony (celebryci i firmy) mówią niechętnie. Holenderska panczenistka Jutta Leerdam uważana za jedną z najpiękniejszych sportswomen na świecie, niekwestionowana miss zimowych igrzysk olimpijskich 2026 w Mediolanie-Cortinie, gdzie zdobyła złoty medal na dystansie 1000 m, tuż po zwycięstwie jednym gestem zarobiła 850 tys. euro. Tyle ma wypłacić jej sponsor, firma Nike, za to, że rozpięta kostium i pokazała sportowy stanik tej firmy. Taka reklama jest bezcenna, Karta Olimpijska zakazuje wykorzystywania w celach komercyjnych symboli olimpijskich. Nike jest głównym sponsorem Jutte, która – jak twierdzi redaktor naczelny „Quote” Meindert Schut – za każdy spot reklamowy dostaje od firmy 65 tys. euro.

Transfery i dopasowanie

Polski kierowca rajdowy Krzysztof Hołowczyca przez lata reprezentował markę Orlen i jego wizerunek silnie wiązał się z firmą, zwłaszcza w kontekście promowania bezpieczeństwa na drogach. Orlen korzystał z autorytetu kierowcy, budując reputację firmy dbającej o bezpieczeństwo i odpowiedzialność społeczną. Przejście Hołowczyca do Lotosu, głównego konkurenta Orlenu, było jak trzęsienie ziemi i wywołało falę dyskusji na temat lojalności ambasadorów wobec marek, które reprezentują. Dla wielu odbiorców wizerunek Hołowczyca był nierozdzielnie związany z marką Orlen, a jego przejście do konkurencji wywołało w nich negatywne emocje.

Specjaliści od marketingu oceniają transfer Małgorzaty Rozenek-Majdan z firmy Avon do Clarins jako korzystny i dla celebrytki, i dla marki. Taki idealny przykład win-win. Rozenek została ambasadorką Avonu w 2018 r. Wielu jej followersów krytykowało tę decyzję, zauważając, że wcześniej nie polecała produktów tej marki, często wspominając o innych swoich ulubionych kosmetykach. Do tego doszedł aspekt testowania kosmetyków na zwierzętach, bo chociaż Avon deklaruje, że tego nie robi, to nadal działa na rynkach, gdzie testy są wymagane przez prawo (np. w Chinach), więc nie jest marką *cruelty free*. A Rozenek-Majdan wielokrotnie wypowiadała się przeciwko testowaniu na zwierzętach. To wszystko wywołało spore kontrowersje.

W rezultacie o marce i ambasadorce mówiono dużo, więc sprzedaż rosła. Jednak współpraca się skończyła, być może właśnie z powodu braku autentyczności. W 2023 r. Rozenek-Majdan została pierwszą w Polsce ambasadorką francuskiej marki Clarins.

Badania rynku pokazują, że 36 proc. polskich konsumentów podejmuje decyzje zakupowe pod wpływem rekomendacji z mediów społecznościowych, a wśród osób w wieku 18–29 lat odsetek ten rośnie nawet do 60 proc. Stąd coraz większą porcję



Magda Molek w socialach: „Mogłabym z TEGO auta nie wysiadać”

reklamowego tortu zgarniają mniejsi influencerzy.

– Jeżeli marka chce, żeby było o niej głośno, żeby osoby, które śledzą te social media, rzeczywiście widziały tę reklamę, wybór pada na celebrytę – mówi dr Magdalena Kolańska-Stronka z SWPS. – Taka popularna osoba zapewni rozpoznawalność, czy to marki, czy nowego produktu, który marka oferuje.

A dodatkowo, jeżeli ktoś, kogo podziwiamy, kupuje np. buty tej konkretnej marki, to kupując takie same, stajemy się trochę do naszego idola podobni. Celebryci zatem najczęściej są wybierani przez marki oferu-

jące dobra luksusowe, z wyższej półki. Produkty premium są prezentowane przez osoby, do których przeciętny Kowalski aspiruje, ale zapewne nigdy tego poziomu nie osiągnie.

– A jeszcze jest mechanizm transferu znaczeń – mówi Kolańska-Stronka. – Jeżeli obserwujemy jakiegoś influencera czy celebrytę, to najczęściej dlatego, że podoba nam się to, co robi i jak żyje. Igdy reklamuje jakiś produkt, to automatycznie cechy tego influencera będą się nam kojarzyć z tym produktem.

Mikroinfluencerzy kontra celebryci

Zupełnie inną strategię wybiera firma, jeżeli chce dotrzeć do wąskiej grupy konsumentów zainteresowanych konkretnym produktem. Do takich konsumenckich nisz precyzyjnie docierają nowi cyfrowi twórcy.

– Dziś twórcy są wybierani już nie tylko ze względu na zasięgi, lecz przede wszystkim pod kątem dopasowania do grupy docelowej, do której marka chce dotrzeć – mówi Kolańska-Stronka. – Jeśli marka oferuje kosmetyki dla noworodków, naturalnym wyborem będzie młoda mama polecająca je innym mamom. To mechanizm podobny do dawnego marketingu szeptanego – rekomendacji od koleżanki. Taka forma przekazu nie przypomina klasycznej reklamy telewizyjnej, lecz raczej opinię osoby nam bliskiej.

Taki mikroinfluencer to zwykły człowiek, ktoś taki jak my, borykający się z takimi samymi problemami. Zaletą mniej zasięgowych influencerów jest też to, że mając mniej osób, które ich obserwują, są w stanie budować z nimi bliższą relację. Odpowiadać na wiadomości i komentarze.

Niektórzy sądzą, że przyszłość należy do ambasadorów marek w skali mikro. – Myślę jednak, że ten rynek będzie rozwijał się dwutorowo – mówi dr Magdalena Kolańska-Stronka. – Z jednej strony nadal silną pozycję utrzymają celebryci, za którymi stoją duże budżety i szybki efekt rozpoznawalności. Z drugiej – coraz większą rolę będą odgrywać mikroambasadorzy i twórcy internetowi z TikToka czy Instagrama, bliżsi odbiorcom, budujący z nimi „autentyczne” relacje i cieszący się większym zaufaniem.

To właśnie oni generują dziś wyższe zaangażowanie, są postrzegani jako bardziej wiarygodni. Jedno jest pewne: dominacja mediów społecznościowych w reklamie będzie się pogłębiać.

AGNIESZKA SOWA

Na jednym silniku

Rozmowa z dr. Bogusławem Grabowskim, byłym członkiem Rady Polityki Pieniężnej, o tym, w jakim stanie jest naprawdę polska gospodarka.

Kosztowne inwestycje w energetykę (na fot. Elektrociepłownia Siekierki w Warszawie), są konieczne, ale PKB od tego nie wzrośnie



JOANNA SOLSKA: – **Zaproszenie Polski do G20, czyli klubu bilionerów, wygląda podejrzanie. Jeszcze w 2023 r. nasz PKB wynosił 809 mld dol., a nagle dwa lata później Międzynarodowy Fundusz Walutowy szacuje, że przekroczył bilion? Przecież nasza gospodarka tak szybko nie urosła.**

BOGUSŁAW GRABOWSKI: – Dobrobyt społeczeństwa też nie, jeśli mierzymy go w złotówkach. To, że trafiliśmy

do G20, jest głównie zasługą prezydenta Donalda Trumpa, który prowadzi politykę osłabiającą amerykańską walutę. Gdybyśmy liczyli w euro, do biliona byłoby nam jeszcze daleko. Numerem 1 w klubie są ciągle Stany Zjednoczone, ich PKB wynosi ok. 31 bln dol., my jesteśmy ostatni.

Gwałtownego wzrostu dobrobytu wprawdzie nie doświadczamy, ale dla ludzi 2025 r. także był niezły, średnie zarobki wzrosły o 6 proc.,

ceny rosły dużo wolniej, o niecałe 2,5 proc.

Ale odczucia sporej części społeczeństwa są inne. GUS porównuje koszyki cen rok do roku, a nawet miesiąc do miesiąca. Polacy patrzą inaczej, na dane makro reagujemy z opóźnieniem. Przez kilka lat, gdy gospodarka szorowała po dnie, a inflacja była dwucyfrowa, zaciskaliśmy pasa, rezygnując z dużych wydatków, takich jak remont mieszkania, kupno samochodu czy mebli, egzotyczny urlop. ►

► Teraz, gdy nam się poprawiło, już sobie pozwalamy na więcej. I widzimy, że za remont, którego koszt ocenialiśmy na jakąś sumę, musimy zapłacić o kilkadziesiąt procent więcej, podobnie jak za nowe auto czy meble. Ekonomści mówią „dobry rok”, a społeczeństwo...

...drożyzna!

W poprzednich latach szybko w górę szły ceny żywności, ale kupowaliśmy ją codziennie, jakoś się z tym oswoiliśmy. Dane z handlu pokazują, że na duże wydatki zaczęliśmy się decydować dopiero pod koniec 2025 r. I dopiero wtedy przeżyliśmy szok, że ceny wzrosły aż tak bardzo, że zakup nowych mebli, nie mówiąc o kredycie hipotecznym, znów się oddalił.

Chce pan powiedzieć, że statystyka oszukuje i wcale się ostatnio nie wzbogaciliśmy, nasz poziom życia nie wzrósł?

A czy bogatszy jest ktoś, kto na rękę dostaje 6 tys. zł, pożyczka każdego miesiąca kolejne 3 tys., a 1,5 tys. dostaje regularnie od... wujka Helmuta?

Od kogo?

Część z nas uważa, że Unią Europejską rządzą Niemcy, więc środki z UE nazywam przelewem od wujka Helmuta. Ale proszę zwrócić uwagę na proporcje: nasze państwo ma dochody wynoszące ok. 600 mld zł, wydatki prawie 900 mld, czyli 300 mld pożyczka, a te dodatkowe przelewy to środki unijne. Więc jako społeczeństwo bez wątplenia wydajemy dużo więcej, ale czy to znaczy, że się wzbogaciliśmy? Dług trzeba będzie kiedyś zwrócić.

Zadłużenie Polski zbliża się już do 2 bln zł i szybko rośnie, ale Polacy chyba nie odczuwają jego ciężaru.

Może pomogę naszej wyobraźni, jeśli powiem, że w tym roku same koszty obsługi długu, czyli odsetki od pożyczonych pieniędzy, wyniosą 115 mld zł, w przyszłym roku będą jeszcze wyższe. To więcej niż 800 plus, trzynastka i czternastka, renta wdowia i babciowe razem wzięte. Ta ogromna suma mogłaby trafić do publicznej ochrony zdrowia albo na badania i rozwój, które są finansowane w stopniu niedostatecznym.

Może żyjemy trochę ponad stan, jednak to dzięki wydatkom konsumpcyjnym gospodarka żwawo ruszyła do przodu, w 2025 r. urosła o ok. 3,6 proc., w czwartym kwartale o 4 proc. To rekord Europy, a obecny rok ma być jeszcze lepszy. To nie jest powód do radości?

Jest, ale ja się martwię na zapas – o to, co będzie za dwa, trzy lata.

Faktycznie, nieco słabnie eksport, drugi silnik napędzający gospodarkę. Dlaczego?

Częściowo z powodu wzmocnienia złotego, ale nie tylko. Także z powodu kłopotów gospodarki niemieckiej, głównego odbiorcy naszych towarów, stamtąd zamówienia na polskie towary i części są największe, ale maleją. Nie umiem sobie wytłumaczyć, dlaczego opozycja tak źle życzy Niemcom, bo w ten sposób źle życzy także polskiej gospodarce i rodzimym przedsiębiorcom.

W dyskusji o programie SAFE opozycja także martwi się głównie tym, żeby te pieniądze nie trafiły do firm zagranicznych, nawet tych obecnych w naszym kraju, a już w żadnym razie do niemieckich.

Ponad 60 proc. naszego eksportu, czyli towarów sprzedawanych za granicę, produkują firmy z kapitałem zagranicznym znajdujące się w Polsce. Mają 30-procentowy udział w naszym PKB, nie wyobrażam sobie naszej gospodarki bez nich. Kapitalizm zaczęliśmy budować bez własnego kapitału, a nowoczesne technologie były nam niezbędne. O to, żeby zachodnie firmy inwestowały u nich, konkurowały ze sobą wszystkie kraje posocjalistyczne. My bylibyśmy najbardziej atrakcyjni, mieliśmy najwięcej atutów.

Obecnie kapitał zachodni już tak chętnie u nas nie inwestuje. Straciliśmy dawne atuty?

Zacznijmy od tego, dlaczego odnieśliśmy sukces. Polska była atrakcyjnym krajem dla zagranicznych inwestycji: mieliśmy duży rynek, głodny towarów i nowoczesnych usług, np. finansowych, wykwalifikowanych pracowników i niskie koszty pracy. Po wejściu do UE w Polsce obowiązywało takie samo prawo jak w pozostałych krajach Wspólnoty, a to dla biznesu jest szalenie istotne, bo zmniejsza ryzyko. Obecnie nie mamy już żadnego z tych atutów. Koszty pracy należą do najwyższych we wspólnocie.

Wbrew temu, co twierdził przed laty Mateusz Morawiecki, Polacy nie chcą już pracować za miskę ryżu.

To oczywiście, ale patrzymy bez emocji. Przez wiele lat wydajność pracy w Polsce szybko rosła, trzy razy szybciej niż w Europie Zachodniej. Zawdzięczaliśmy to nie tylko nowym technologiom, lepszej organizacji pracy, ale także wielkiej rzeszy

młodych pracowników, na rynek wchodził wyżej demograficzny przełom lat 70. i 80. W połowie lat 90. połowa młodych na europejskim rynku pracy to byli Polacy. Niestety teraz Polaków ubywa, zwłaszcza młodych. Liczba pracujących topnieje o ok. 180 tys. osób rocznie. Jesteśmy krajem szybko się starzejącym. Gdyby nie Ukraińcy, odczuwalibyśmy to o wiele boleśniej. Polityki migracyjnej nadal jednak nie mamy, a obcych nie lubimy. Straciliśmy ważny atut przyciągający do Polski inwestorów.

Rodzimy biznes prywatny

też mało inwestuje. Dlaczego?

Boi się. W obecnym chaosie prawnym przedsiębiorcy nie zaryzykują prywatnych pieniędzy, jeśli nie wiedzą, jakim prawem będzie kierował się sąd w razie sporu np. z państwem albo z innym przedsiębiorcą, zaprzyjaźnionym z politykiem partii rządzącej.

Gospodarka jest zdrowa, kiedy napędzają ją trzy silniki: konsumpcja, eksport i inwestycje. Nasza na razie napędzana jest tylko przez ten pierwszy. Jak długo możemy liczyć na szybki wzrost PKB, lecąc na jednym silniku?

Wzrost wydajności zależy nie tylko od liczby pracujących, ale także od nowych technologii, robotyzacji, czyli najważniejszej są nowe inwestycje.

Dostaliśmy na to ogromne środki z KPO.

Prywatny biznes na robotyzację otrzymał z tego niewielką część. Olbrzymia większość trafiła do przedsiębiorstw państwowych. Musimy przecież przebudować cały system energetyczny. Elektrownie oparte na węglu zamienić na inne źródła produkcji energii. Prąd z węgla powstawał głównie na Śląsku, elektrownia atomowa powstanie na północy kraju, nad morzem. A farmy wiatrowe budujemy na Bałtyku. To potrwa, ale system przesyłania energii trzeba budować już teraz, to wielka inwestycja.

KPO dało nadzieję na tańszy prąd, a ciągle jest drogi.

Najszybciej by staniał, gdyby prezydent nie zawetował ustawy wiatrakowej. Najtańszy prąd w Unii mają Francuzi, zbudowali elektrownie atomowe jeszcze w latach 60., już się zamortyzowały, czyli koszty inwestycji im się zwróciły, teraz mają niskie ceny. My mieliśmy budować Żarnowiec, do tej pory straszą jego betonowe szczątki. Nasze nowe elektrownie gazowe czy farmy wiatrowe na Bałtyku

Bogusław Grabowski (ur. 1959 r.)
– ekonomista związany z Uniwersytetem Łódzkim,
były wicewojewoda łódzki, członek Rady Polityki
Pieniężnej w latach 1998–2004, w 2010 r. wszedł
w skład powołanej przez ówczesnego premiera
Donalda Tuska Rady Gospodarczej.



dopiero będą się musiały zamortyzować. To znaczy, że do ceny energii przez lata będą wpisywane koszty inwestycji. Na szybkie obniżenie cen energii bym więc nie liczył, zapłacimy za lata zaniechań. Znaczenie ma także to, że w naszym kraju prąd produkują tylko państwowe molochy, energetyka jest zmonopolizowana, nie ma konkurencji.

Pieniądze z Unii miały pójść także na inne inwestycje, nie tylko na energetykę.

Dużo środków dostała ochrona zdrowia. Szpitale stary sprzęt wymieniają na nowoczesny. Jest potrzebny, ale na wzrost wydajności nie ma wpływu, raczej na wyniki leczenia. Podobnie jak szeroki strumień, który popłynął do samorządów. Jeździmy wygodnymi elektrycznymi tramwajami czy autobusami, wyraźnie poprawił się stan publicznej komunikacji, a więc także komfort naszego życia, ale to też nie ma bezpośredniego wpływu na wydajność. Od poprawy komfortu naszego życia PKB nie rośnie.

A od czego rośnie?

Od inwestycji, dzięki którym rośnie produkcja dóbr i usług rynkowych. Takich inwestycji nam nie przybywa. Mnóstwo pieniędzy inwestujemy w obronność, kupujemy czołgi, drony, SAFE spowoduje, że wiele zaczniemy produkować w Polsce. One są konieczne, wzmacniają naszą obronność, podobnie jak systemy cyberbezpieczeństwa, ale nie sprawią, że nasz rynek produktów konsumenckich stanie się bogatszy w atrakcyjne produkty wyprodukowane w kraju.

Nowe modele czołgów, karabinów czy nawet drony, choć konieczne, to nie jest

produkcja rynkowa, bez której zwiększenia nasza gospodarka zacznie hamować. Chciałbym przy okazji przypomnieć, że przyczyną kryzysu Grecji były nie tylko rozdęte wydatki socjalne, ale także obronne. Ten kraj ma 300 samolotów F16! Nie można powiedzieć, że jego wydatki obronne były nieracjonalne, konflikt z Turcją trwa od lat. Trzeba jednak pamiętać o skutkach.

Mnóstwo pieniędzy pochłonie termomodernizacja, dzięki niej mniej energii zużyjemy na ogrzewanie budynków, od tego oferta rynkowa też się jednak nie wzbogaci. Jeszcze większy kłopot będziemy mieli z elektrociepłowniami, nieznanymi na Zachodzie. Tzw. centralne ogrzewanie to wymysł gospodarki socjalistycznej, nieliczącej się z kosztami. Są nieefektywne, ciepło w drodze z takich Siekierok do mieszkań ucieka, bo ta droga przesyłania jest długa.

Przecież w tamtych krajach też jest centralne ogrzewanie.

Ogrzewanie tak, ale nie ciepłą wodą z odległej elektrociepłowni. Prywatni właściciele domów zapewniają im ogrzewanie w taki sposób, żeby po drodze marnowało się jak najmniej, czyli żeby droga jego przesyłania była jak najkrótsza. U nas tzw. centralne, dostarczane z elektrociepłowni, mają niemal wszystkie bloki w miastach. Spowodowanie, żeby straty były mniejsze, będzie bardzo kosztowne, a PKB też od tego nie urośnie.

Premier Donald Tusk powiedział, że 2026 będzie rokiem inwestycji.

W zeszłym roku też tak mówił. Powtarzam: chodzi o inwestycje prywatne, których produkty czy usługi wzbogacają

rynek. Mówiąc prościej, gdyby powstały np. nowoczesne fabryki rowerów czy armatury łazienkowej, nie mówiąc o nowej generacji smartfonów, czyli towarów, którymi jesteśmy zainteresowani jako konsumenci, to ja bym się o PKB nie martwił. To pilne, ponieważ wykorzystanie mocy wytwórczych w naszym przemyśle niepokojąco przekroczyło 90 proc. A nasze zarobki, za sprawą ciągle wielkich transferów z pożyczek i z UE, nadal będą rosły, będziemy chcieli i mogli kupować coraz więcej. Chodzi o to, żeby to były towary wyprodukowane u nas, nie gorsze, a może lepsze niż w innych krajach. Inaczej konsumenci będą kupować więcej rzeczy z importu. I najważniejszy silnik napędzający nasz rozwój zacznie słabnąć, a ceny zaczęną rosnąć.

Niektóre firmy z kapitałem zagranicznym, których tak nie lubi opozycja, już teraz ograniczają produkcję w naszym kraju. Także z powodu szybko rosnących kosztów pracy i drogiej energii. Pułapka średniego rozwoju?

Ma pomóc z niej wyjść powołana przez premiera Rada Przyszłości. Ekspertcy, przedsiębiorcy i naukowcy mają wskazać recepty na rozwój, głównie w sektorach zaawansowanych technologicznie.

Nie ma w niej ani jednego ekonomisty, chociaż przewodniczącym został Andrzej Domański, minister finansów i rozwoju.

Premier doskonale wie, co powiedzieliby ekonomiści i że w obecnym układzie politycznym jest to nierealne, nic mu po nas. Ale prawdą jest, że wyjściem z pułapki może być tylko innowacyjność. Polacy są w stanie to zrobić, sami członkowie Rady są przykładem. Myślę jednak, że to może się nie udać, jeśli młody naukowiec nadal będzie zarabiał na poziomie płacy minimalnej, a jego zwierzchnik, profesor belwederski, ledwie dociąga do średniej krajowej.

Tegoroczny wzrost płac w budżetówce nie przekroczy 3 proc. Ale nie może być wyższy, bo mamy przecież gigantyczny deficyt!

A prezydent zawetuje wszystkie ustawy, które mogą umożliwić wzrost wpływów do budżetu, sam zaś zgłosi własne projekty, które ten deficyt powiększą. I będzie krzyczał: „Po pierwsze, Polska, po pierwsze, Polacy!”. Niestety, politykom nie chodzi o rozwój, ale o władzę.

ROZMAWIAŁA JOANNA SOLSKA

Ryczące rakiet

Izrael znów żyje w cieniu wojny, tym razem tej, którą sam wywołał razem z Ameryką. Zdecydowana większość jego obywateli popiera jednak operację „Ryczący lew”.

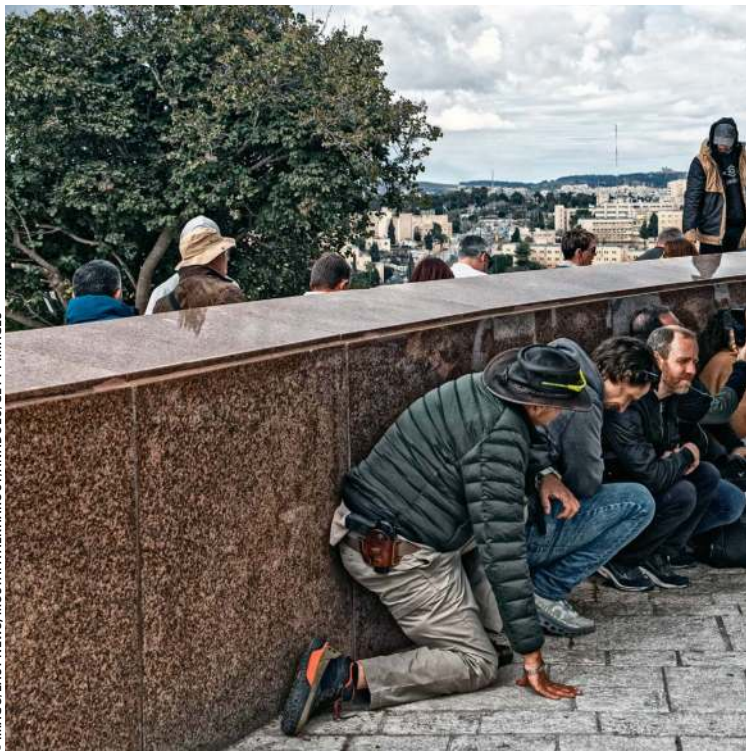
AGNIESZKA ZAGNER Z JEROZOLIMY

O ile Tel Awiw wygląda jak wymarłe miasto, o tyle w Jerozolimie jest ruch. Owszem, zamknięto wejścia pod Ścianę Płaczu, Wzgórze Świątynne czy do Bazyliki Grobu Pańskiego, a na Starym Mieście niemal wszystkie sklepiki i punkty usługowe, ale Jerozolimczycy jakby mniej przejmują się alarmami. Tu najpierw dociera tzw. wczesne ostrzeżenie od Dowództwa Frontu Wewnętrznego (Home Front Command) o spodziewanym w ciągu kilku minut alarmie. Kiedy zaczynają wyc syreny, na dotarcie do schronu jest tylko 1,5 minuty.

Na ulicach nie widać nie tylko paniki, ale choćby oznak niepokoju. Ludzie spokojnie spacerują po głównej ulicy Jafo, siedzą w kawiarnianych ogródkach. Jest ich mniej niż zwykle, ale wciąż sporo. W schronie na podziemnym parkingu podczas alarmu ukrywa się tylko dwóch Jerozolimczyków i chrześcijańska turystka z Holandii Miriam, emerytowana pracowniczka socjalna. – *Wierzę, że Bóg mnie ochroni, ale jeśli mam zginąć, to taka widocznie jego wola* – mówi, dziarskim krokiem schodząc na coraz niższe kondygnacje parkingu. – *Nasz rząd organizuje loty ewakuacyjne dla swoich obywateli, ale postanowiłam zostać.*

Niewykluczone, że to wyraz jerozolimskiego przekonania, że tu działają inne prawa, a rakiety nie dotrą. – *Kiedy lecą rakiety, wychodzę na balkon i patrzę w niebo. Nie wierzę, że cokolwiek złego mi się stanie* – mówi jeden z mieszkańców miasta. Jakby na przekór wojnie Jerozolimczycy nie zrezygnowali też z huczno obchodzenia żydowskiego święta Purim – po ulicach przeczały się grupy poprzebieranych młodych ludzi ze słodyczami i butelką wina w rękę (to tradycja tego święta, by zatrzeć imię złego perskiego urzędnika Hamana, który chciał zgładzić naród żydowski).

Na zakończenie święta urządzono nawet tradycyjną paradę ulicami miasta, choć Dowództwo Frontu Wewnętrznego informowało, że wszelkie zgromadzenia są zakazane. Kiedy po południu rozległ się tu alarm, piąty tego dnia, uczestnicy parady i przebierańcy, w okolicy targu Machane Jehuda, wyszli na ulicę Jafo i skandowali na widok zestrzelonej nad ich głowami rakiet. Dla porządku trzeba jedynie odnotować, że w tej okolicy właściwie



© IMAGO/EAST NEWS, MOSTAFA ALKHAROUF/ANADOLU/GETTY IMAGES

nie ma gdzie się schronić. – *Tak jak pokonaliśmy Hamana, tak pokonamy Iran* – wykrzykiwał starszy mężczyzna przy wejściu na bazar, wokół którego trwała uliczna impreza.

Od alarmu do alarmu

Według najnowszego sondażu obecną wojnę popiera 82 proc. Izraelczyków (93 proc. Żydów i 26 proc. izraelskich Arabów). Zdaniem większości (57 proc.) Żydów powinna być kontynuowana do czasu osiągnięcia celów wojskowych, a także politycznych, czyli obalenia irańskiego reżimu, jedna trzecia zadowoliliby się wyłącznie sukcesami militarnymi. Izraelczycy uważają, że będą



Zniszczony przez irańską rakietę budynek w Tel Awiwie. Poniżej: mieszkańcy Jerozolimy jakby mniej przejmują się alarmami.



bezpieczniejsi. – Obalenie reżimu, co jest kluczowe, zmieniliby równowagę sił na Bliskim Wschodzie. Pozostałoby wprowadzić ogromne państwo muzułmańskie, ale nie ekstremistyczne i nie dążące do konfrontacji z Zachodem i Izraelem. Izraelczykom taka wizja bardzo się podoba – wyjaśnia mjr rez. Alexander Grinberg, w przeszłości pracownik wydziału badań wywiadu wojskowego izraelskiej armii, a także ekspert ds. Iranu w Jerozolimskim Instytucie Strategii i Bezpieczeństwa.

Dlatego Izraelczycy są w stanie bez szemrania znosić uciążliwości dnia codziennego, jak zamknięte szkoły, zakłady pracy, mniej pociągów czy autobusów, zamknięte kasy biletowe

na dworcach, a przede wszystkim alarmy bombowe, które są tu na porządku dziennym i nocnym. – Ostatniej nocy mieliśmy 12 alarmów – mówi Robby z północnego Tel Awiwu, który w pierwszych dniach całkowicie opustoszał. Wraz z rodziną mieszka w kilkunastopiętrowym nowoczesnym budynku na północy miasta, wyposażonym w prywatne mamady, bezpieczne pokoje w mieszkaniu.

Mieszkańcy starszych budynków muszą szukać schronów publicznych (miklaty) lub niewielkich przenośnych, jakie często można spotkać w miejscowościach przy granicy ze Strefą Gazy lub Libanem (miguniot). Czasem jednak alarm zastaje człowieka w miejscu, gdzie kompletnie nie ma jak się schronić. – Kilka dni temu byłem w pizzerii na plaży, nie był to żaden budynek, po prostu kilka stolików i parasoli. Sprawdziłem szybko kierunek, ustawiłem się za ścianą budynku, mając nadzieję, że pocisk nadleci z drugiej strony i ta ściana mnie ochroni – opowiada Robby.

To całkowicie iluzoryczne poczucie bezpieczeństwa, ponieważ niebezpieczne jest nie tylko bezpośrednie uderzenie, jak w Bet Szemesz, ale także przechwycenie rakiety, co polega na trafieniu jej specjalnym pociskiem – szczątki spadają czasem w promieniu kilkuset metrów. – Niedawno sąsiad znalazł na balkonie wielki kawał żelastwa, szczątki jakiejś rakiety – mówi Moses, napotkany w schronie w jednym z hoteli w Jerozolimie. „Święte miasto” w oczach armii Iranu jest celem jak każde inne. W pierwszym tygodniu wojny były dni, kiedy kilkakrotnie wyły alarmy.

Atak na Bet Szemesz

Jakieś 30 km od Jerozolimy leży średniej wielkości miasto Bet Szemesz. Ogromna większość spośród jego 170 tys. mieszkańców to ultraortodoksi lub osoby religijne – wierzą, że czuwa nad nimi siła najwyższa. Drugiego dnia wojny ta wiara okazała się niewystarczająca, gdy na spokojną dzielnicę mieszkalną spadła 500-kiłogramowa rakietka, uderzając w synagogę. Siła rażenia była tak duża, że dziewięć osób zginęło na miejscu, w tym dwie w schronie pod synagogą, a ponad 40 zostało rannych. Wśród zabitych jest troje nastoletniego rodzeństwa, matka z dorosłą córką, matka z dorosłym synem, 16-latek oraz mężczyzna, który zginął, gdy zamykał drzwi schronu.

Trudno uwierzyć, że jeszcze kilka dni temu stały tu domy z ogródkami z widokiem na pobliskie wzgórza, dziś miejsce zieleń pustką, kilka całkowicie spalonych i poprzewracanych samochodów wskazuje, że musiała tu być kiedyś ulica albo miejsce parkingowe. – Zniszczonych zostało 250 domów, musieliśmy ewakuować 800 mieszkańców – mówi Shmuel Greenberg, tutejszy burmistrz. – To bardzo trudny moment dla mieszkańców, będziemy optakiwać ofiary, ale wiemy, że to dla lepszej przyszłości. Dla dobra naszych dzieci i ich dzieci znosimy te zniszczenia. Burmistrz zapowiada, że ta część miasta zostanie odbudowana, z całej diaspory już zaczynają spływać potrzebne na to środki.

Trwa postępowanie, które ma wyjaśnić, dlaczego pocisk nie został przechwycony przez izraelską obronę powietrzną, a także dlaczego zginęły osoby ukrywające się w schronie. Wiadomo, że izraelska Żelazna Kopuła i inne systemy nie mają stuprocentowej skuteczności, ale ten schron jest co najmniej zagadkowy. – Pojawiała się teoria, że doszło do splotu nieszczęśliwych okoliczności, pocisk wypadł pod takim kątem, że dostał się do środka. To sytuacja jedna na milion – mówi jeden z pracowników izraelskiej firmy produkującej przenośne schrony. ►

► – *Mamy ok. 99-procentową skuteczność w przechwytywaniu dronów, co do rakiet wciąż to szacujemy. W porównaniu z wojną w czerwcu zeszłego roku jest mniej pocisków odpalanych z terytorium Iranu* – podkreśla ppłk Nadav Shoshani z wydziału prasowego izraelskiej armii. To „mniej” nie jest jednak mniej uciążliwe, zarówno dla wojska, jak i obywateli. W ciągu pierwszych dni wojny samo zamknięcie zakładów pracy kosztowało izraelską gospodarkę co najmniej kilka miliardów dolarów. Po rozciągnięciu wojny na Liban zdarza się, że dochodzi do symultanicznych ataków z obu kierunków.

Wojskowi podkreślają, że ich zasadniczym priorytetem jest niszczenie wyrzutni. Nie wiadomo jednak, ile z nich zostało – podczas czerwcowej wojny zniszczono ponad połowę z ok. 400 irańskich stanowisk, chociaż w ciągu ostatnich miesięcy Teheran znacząco przyspieszył tempo odtwarzania swojego potencjału.

Lew tu, lew tam

Wielu Izraelczykom skojarzenia historyczne nasuwają się same. – *Kochamy symbole, zobaczysz, wojna wybuchnie akurat podczas Purim* – mówił mi przed kilkoma tygodniami Omer, znajomy z Jerozolimy. – *A nie mówiłem?* – wita się ze mną w pierwszych dniach wojny.

Nie można mu całkowicie odmówić racji. Choćby kryptonim obecnej operacji „Ryczący lew”. Nadając taką, a nie inną nazwę Benjamin Netanjahu miał swoje powody. Izraelczycy nie mają większych kłopotów z jej rozszyfrowaniem. – *Nawiązuje do „Powstającego lwa”, kryptonimu działań zbrojnych po 7 października. Co z kolei miało prosty związek z biblijnym proroctwem, że lud Izraela podniesie się z przeciwności losu jak lwy* – mówi dr Barak Bouks, ekspert ds. Bliskiego Wschodu z Uniwersytetu Bar-Ilan.

Niektórzy twierdzą, że „Ryczący lew” to nawiązanie do flagi „imperialnego Iranu”, na której widniał lew. Inni, jak dr Bouks, zwracają uwagę, że wojna z Iranem rozpoczęła się 28 lutego, według żydowskiego kalendarza 11. dnia miesiąca adar, dokładnie w rocznicę śmierci syjonistycznego bohatera Josefa Trumpledora, który zginął w 1920 r. w obronie żydowskiej osady Tel Chaj w północnej Galilei. Upamiętnia to dziś posąg ryczącego lwa, symbolizującego odwagę i męstwo. – *Jesteśmy jak lwy!* – mówi ni to do siebie, ni do ludzi wokół starszy mężczyzna pod bazarem Machane Jehuda.

– *Jesteśmy chyba jedynym narodem na świecie, który na wieść o wojnie w kraju chce jak najszybciej do niego wrócić* – słyszę od Izraelczyka wracającego z synem z krótkich wakacji z Gruzji na przejściu granicznym Taba/Ejlat. W pierwszych dniach wojny to jedyna możliwość powrotu, choć wkrótce lotnisko Ben Guriona ma zacząć przyjmować samoloty z ewakuowanymi ze wsząd Izraelczykami. Poza granicami Izraela jest jakieś 120 tys. obywateli, a ok. 20 tys. udało się już wrócić. – *Alarmy, schrony, wojna – to dla nas nienormalna normalność* – dodaje spotkany na granicy Izraelczyk.

Wojna regionalna

Wielu mieszkańców Jerozolimy zadaje sobie jednak pytanie, dlaczego irański reżim w odwecie atakuje „święte miasto”, w którym przecież mieszkają też muzułmanie. Zdecydowana większość z 370 tys. Arabów – czy jak część z nich się określa, Palestyńczyków – to jednak wyznawcy islamu. – Nie

mamy poczucia, że to w jakimkolwiek stopniu nas dotyczy, to nie jest nasza wojna, o nas i tak wszyscy już zapomnieli, i o Gazie, i o Zachodnim Brzegu – mówi Mahdi, mieszkaniec Wschodniej Jerozolimy.

Tu ze względu na ramadan życie też płynie nieco innym rytmem, dopiero po zachodzie słońca uliczni sprzedawcy rozpalają grille, ludzie wychodzą na ulice, ale jest ich zdecydowanie mniej niż zwykle. Podobne nastroje są na Zachodnim Brzegu, gdzie nowa wojna tylko pogłębia problemy Palestyńczyków, głównie ekonomiczne. – *Ramadan jest zwykle okresem największej sprzedaży, teraz prawie nie ma klientów* – mówi jeden ze sprzedawców z Ramallah. Też uważa, że to nie jego wojna, tylko konflikt, który rozpoczął Izrael, i to na niego spada odpowiedzialność za konsekwencje, jakie wywołuje.

Omer z Jerozolimy widzi to inaczej. Jego zdaniem Iran specjalnie tak manewruje, aby wywołać na całym świecie wojnę religijną. Stąd ataki na samą Jerozolimę – trzecie, najważniejsze po Mekce i Medynie, miasto islamu – czy ataki na muzułmańskie kraje regionu. W tym Arabię Saudyjską czy Katar, z którymi w ostatnich latach próbowały budować silne relacje. – *Ostro atakując w tylu miejscach, Iran próbuje wyrzucić presję na jak najszybsze zakończenie tej wojny* – uważa Sima Shine, wcześniej w Mosadzie, obecnie ekspertka ds. Iranu w Instytucie Studiów nad Bezpieczeństwem Narodowym w Tel Awiwie (INSS). – *Reżim walczy o przetrwanie, więc wszystkie chwytły są dozwolone, w tym ataki na święte miejsca*.

W zgodnej opinii to nie jest już konflikt lokalny, ale wojna regionalna. I trudno przewidzieć, czym i na jakich warunkach może się skończyć. Wygląda na to, że planem minimum jest znaczące osłabienie irańskiego reżimu, z opcją jego obalenia. Jak długo to potrwa? Eksperci ostrożnie mówią o kilku tygodniach. – *Co najmniej dwa, trzy tygodnie, zanim Trump ogłosi „boskie zwycięstwo” i się wycofa. Trudno uwierzyć, że to naprawdę obali reżim. Być może jedynie stworzy do tego warunki* – mówi izraelski generał w rezerwie. W jego przekonaniu atak ma wytrącić reżim z równowagi. Nie ma też złudzeń, że zabicie najwyższego przywódcy wystarczy do obalenia silnego systemu, opartego na kontrolujących każdą dziedzinę życia służbach.

– *Iran zainwestował wiele setek milionów w swoich sojuszników w Libanie, Jemenie, Iraku, teraz nadszedł czas odpłaty. Dlatego Hezbollah dołączył do wojny* – wyjaśnia dr Bouks. Silniejszy od libańskiej armii Hezbollah przez lata był państwem w państwie. Po ogłoszonym w listopadzie 2024 r. zawieszeniu broni z Izraelem jego bojownicy mieli odsunąć się od granicy z państwem żydowskim i stopniowo rozbrajać się pod kontrolą libańskiej armii. – *To trudne, kiedy w libańskiej armii też służą szyci, którzy nie wyobrażają sobie walk z szzytami z Hezbollahu* – dodaje dr Bouks. Ale Izraelczykom sprzyja rząd w Bejrucie, blisko współpracujący z Amerykanami, a także rozczarowanie Hezbollahem nawet wśród libańskich szzytów, którzy mają już dość „ideowych” ataków na Izrael, które sieją tylko zniszczenie i gospodarczą degrengoladę.

Izrael walczy w tej chwili na kilku frontach, już pierwszego dnia wojny zmobilizowano 100 tys. rezerwistów, których posłano na granicę z Syrią, Libanem, Gazą i na Zachodni Brzeg. – *W porównaniu z poprzednią wojną widzę, jak dobrze jesteśmy przygotowani, żeby dokończyć dzieła* – mówi mi jeden ze zmobilizowanych w pierwszych godzinach wojny żołnierzy.

AGNIESZKA ZAGNER



Jezus nas odblokuje

Młodzi uciekają z Kuby. W ciągu ostatnich sześciu lat wyjechała stąd jedna piąta całej populacji kraju.

Jeśli Kuba, jak mówią, znajduje się w przededniu apokalipsy, to będzie ona chyba wyjątkowo spokojna, wręcz leniwa.

MATEUSZ MAZZINI Z HAWANY

Nie czuć atmosfery buntu, społecznego niezadowolenia. Jest raczej oczekiwanie na zmianę, która zdaniem Kubańczyków tym razem się wydarzy, bo już nie ma innego wyjścia. Odchodzą ci, którzy walczyli o rewolucję i którzy jej coś zawdzięczają, a młodzi umierają za socjalizm nie chcą. Ten zwykle energiczny, optymistycznie nastawiony do świata naród stał się bierny, zniechęcony, rzucający się

sam na pastwę kaprysów amerykańskiego prezydenta.

Tylko Alejandro zachowuje się, jakby nie było mu wszystko jedno. Motywuje swoich wiernych, by zmianę zaczęli od siebie. – *Musisz uwierzyć, że wszystko zależy od ciebie! Jeśli nie będziesz się starać, On do ciebie nigdy nie przyjdzie! Nie uzyskasz bogactwa, nie unikniesz chorób! On musi zobaczyć, jak bardzo ci na nim zależy!*

Eksklamacje prowadzącego nabożeństwo Alejandra słysząc z odległości kilkudziesięciu metrów. Co też nie powinno nikogo dziwić, bo wierni modlą się w kuchni jego mieszkania, na parterze zniszczonej kamienicy w starej Hawanie. Jest leniwe niedzielne popołudnie, dochodzi godz. 16. Zamilkli nawet uliczni grajkowie, którzy wieczorną rundę koncertów na starówce zaczną mniej więcej za godzinę. Tymczasem energiczny mężczyzna w średnim wieku, którego oglądam z ulicy zza białych krat umieszczonych w oknach, dopiero się rozkręca. Słucha go kilkanaście osób, na ich twarzach maluje się cały szereg różnych emocji. Jedni są skupieni, inni wyglądają ►

► wręcz na przerażonych. O taką reakcję nietrudno przy krzykach pastora, ubranego w kraciatą koszulę z krótkimi rękawami i jasne płóciennie spodnie. Nieznajomieni z kontekstem mogliby uznać, że to jakiś akt rodzinnej czy sąsiedzkiej przemocy, bo zarówno ton, jak i treść uwag wygłaszanych przez Alejandra do miłych nie należą. Tutaj jednak nikt się nie obraża, nie czuje prześladowany. Efekt ma być wręcz odwrotny – mobilizacja do jeszcze głębszej wiary, jeszcze bardziej zagorzałej służby Bogu.

Ten czy podobne obrazki, jeszcze kilkanaście lat temu abstrakcyjne, egzotyczne, dzisiaj na Kubie spotkać można coraz częściej. Alejandro jest bowiem pastorem w jednym z małych, często dzielnicowych kościołów neoprotestantkich. W Europie częściej kojarzy się ich wiernych pod zbiorczą nazwą *evangelicals* – głęboko wierzących chrześcijan z południa USA, którzy od lat 70. XX w. coraz mocniej rozpychają się w tamtejszej polityce. Początkowo byli głównie konserwatywnym ruchem społecznym, potem pojawili się na uniwersyteckich kampusach, dziś stanowią jeden z najważniejszych komponentów koalicji MAGA, która dwukrotnie wyniosła do prezydentury Donalda Trumpa. Są doskonale zorganizowani, mają wieloletnie, długofalowe plany. A przede wszystkim gigantyczne zasoby finansowe, których nie szczędzą, by wspierać swoje oddziały w innych krajach. Od wielu lat prowadzą zakrojoną na szeroką skalę ekspansję we wszystkich państwach Ameryki Łacińskiej.

Podczas gdy Kościół rzymskokatolicki, tradycyjny religijny hegemon tych ziem, znajduje się w ciągle pogłębiającym się kryzysie, neoproteستانی różnych odmian: adwentyści dnia siódmego, zielonoświątkowcy i przedstawiciele innych Kościołów z roku na rok rozkwitają. U katolików problemem jest spadek powołań, laicyzacja wiernych i problemy wizerunkowe, wynikające ze skandali pedofilskich czy brudnego dziedzictwa współpracy z tamtejszymi dyktatorami. Tymczasem nowe wspólnoty oferują to, co społecznie bardzo modne. Indywidualny przekaz, życie opisane jako skuteczną przedsiębiorczość, modlitwę jako usługę i wiarę jako inwestycję.

Potrafia przy tym zaoferować znacznie więcej niż katolicy, chociażby w Brazylii doskonale znane są przykłady misjonarzy,

którzy potrafią przebyć setki, tysiące kilometrów dla rozmowy z małą grupą wiernych. Szerzą wśród nich ewangelie sukcesu: pseudoreligijną nowomowę, brzmiącą często jak wypowiedzi akwizytorów zachęcających do inwestycji w piramidy finansowe. Pieniądz jest tam kluczowy, bo pozwala pomnażać bogactwo: to materialne i to duchowe. Wierni często oddają więc swoje mikre oszczędności pastorowi, który od księdza katolickiego różni się tym, że autentycznie obiecuje zwrot z inwestycji na ziemi, a nie tylko życie wieczne w niebie.

Ważnych przykładów politycznego wpływu neoprotestantów na Amerykę Łacińską nie brakuje. Jair Bolsonaro, określany mianem „Trumpa tropików” narodowy populistą, był prezydentem Brazylii, obecnie prześladowany za krętami z powodu oskarżeń o próbę zbrojnego przewrotu cztery lata temu, jest tu jedną z najciekawszych historii. Wprawdzie formalnie pozostaje katolikiem, ale jego żona i jeden z synów są już ewangelikami, a on sam często chodził na nabożeństwa do baptystów.

Petra Costa, wybitna brazylijska dokumentalistka, autorka świetnego (dostępnego w Polsce na Netflixie) serialu „Apokalipsa w tropikach”, zilustrowała w nim właśnie skuteczny flirt Bolsonaro z nowymi Kościołami Brazylii, które napędziły jego kampanię wyborczą i którym odwdzińczył się konserwatywną retoryką i reformami. Według badań prowadzonych przez amerykański ośrodek Pew Research Centre trendy są jednoznaczne: niemal w każdym kraju Ameryki Łacińskiej systematycznie rośnie liczba protestantów ogólnie i członków Kościołów neoprotestantkich jako osobnej podgrupy. Spada natomiast odsetek katolików w całej populacji kraju, w Meksyku, Peru, Kolumbii czy Brazylii nawet o kilkanaście punktów procentowych przez ostatnie 15 lat.

Kuba nie jest pod tym względem wyjątkiem, choć akurat tu kontekst jest jeszcze bardziej skomplikowany. Od 1959 r. rządzą tu komuniści, którym laickie zasady marksizmu udało się zakorzenić w społeczeństwie skuteczniej niż w innych krajach regionu. Kościoła rzymskokatolickiego nigdy do końca nie usunęli, a Fidel Castro, sam wykształcony przez jezuitów, potrafił wielokrotnie wyciągać do duchownych rękę. Nieraz wyrażał np. szacunek do Jana Pawła II,

chwaląc m.in. jego krytykę wojny w Iraku czy imperializmu zachodnich mocarstw. Jednocześnie jednak systematycznie utrudniał życie księżom na wyspie, odmawiając im możliwości nauczania w szkołach, prowadzenia akcji społecznych, a często też wiz wjazdowych dla nowych zakonników i siostr, w tej sprawie zresztą w 2003 r. interweniować osobiście musiał właśnie Karol Wojtyła. Z czasem jednak katolicy i komuniści nauczyli się trudnego współistnienia, a stare, kolonialne kościoły Hawany nigdy do końca nie świeciły pustkami. Nie świecą też i dzisiaj, choć z nieco innych powodów. Kuba przeżywa teraz jeden z najcięższych okresów w swojej najnowszej historii, porównywalny ze słynnym „specjalnym okresem” z 1992 r. Wówczas upadek Związku Radzieckiego – głównego sponsora ideologicznego i dostawcy dóbr na wyspę – wywołał zapaść gospodarczą oraz kryzys w produkcji żywności, a protesty na słynnej promenadzie Malecón uspokajać musiał osobiście Fidel.

Dziś sytuacja w wielu miejscach jest podobna, choć reakcje społeczne są inne. W interiorze kraju brakuje prądu i wody, bo na wyspę nie dociera paliwo. Zablokował je Donald Trump, aresztując Nicolása Maduro i wymuszając wstrzymanie dostaw na meksykańskiej prezydent Claudii Sheinbaum. Bez ropy nie ma prądu, bez prądu nie działają pompy, bez nich z kolei nie ma wody pitnej, więc sparaliżowane są też szpitale i szkoły. Na ulicach biedniejszych dzielnic Hawany mieszkańcy wieczorami palą śmieci – dla światła i ciepła, bo pod koniec lutego temperatury były tu wręcz szokująco niskie. 25 lutego odczuwalna temperatura w stolicy kraju wynosiła 9 stopni w środku dnia, a na to gotów nie był tutaj nikt.

Tyle tylko, że dzisiejsza Kuba to już nie jest przykład „plażowego socjalizmu”, gdzie dla wiary w ideę socjalizmu i dziedzictwo rewolucji naród był w stanie wytrzymać prawie wszystko. Marksistowska władza, zbudowana przez Fidela, Raula czy Ernesto Che Guevarę, została zastąpiona ohydą, kleptokratyczną strukturą, w której partyni dygnitarze uwłaszczyli się na państwowych zasobach. Czerpią zyski z działalności prywatnych sieciowych hoteli, kontrolują transport, sklepy walutowe, turystykę.

Dlatego w trzech najważniejszych dla tego sektora dzielnicach miasta – nowej, starej i centralnej Hawanie – prądu nie



W Hawanie działa wiele małych, często dzielnicowych kościołów neoprotestantycznych

brakuje nigdy. Tak samo internetu, jedzenia czy leków. Oficjalnie chodzi o to, by nie odstraszać i tak spłoszonych turystów, choć miejscowi mówią, już wcale nie szepcemy, że prąd potrzebny jest tylko do ładowania elektrycznych SUV-ów elit i utrzymywania miejskiej sieci monitoringu.

Kamer na ulicach Hawany rzeczywiście jest dziś dużo, znacznie więcej niż jeszcze kilka lat temu, przed pandemią koronawirusa. Mniej jest za to wiernych, np. w pięknej, najstarszej na wyspie Archikatedrze pw. Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny. Podczas niedzielnej mszy drzwi są otwarte na oścież. W środku mniej więcej setka osób, ale głównie starszych. Nieliczne młodsze rodziny z trudem opanowują biegające po chłodnym budynku pociechy.

Dzisiaj akurat chrzest dorosłych, więc msza jest nieco dłuższa. Pięcioro z nich staje przed ołtarzem, wygłasza formułę o obietnicy życia zgodnie z nauczaniem Kościoła. Ognia wiary jednak tutaj nie ma ani wśród nich, ani starszych członków wspólnoty. Wszystko wygląda na wyciszone, niemal wygasłe. Kiedy w trakcie ogłoszeń duszpasterskich ksiądz pyta, kto się zgłosi do przygotowania Wielkiego Tygodnia, podnoszą się, i to dość niemrawo, zaledwie cztery ręce. Znacznie więcej dzieje się już po mszy,

kiedy kapłan schodzi do wiernych, a w innych częściach katedry ustawiają się siostry zakonne. Wierni ustawiają się do nich w kolejkach – jedni po błogosławieństwo, ale więcej jest takich, którzy od sióstr odbierają małe woreczki obklejone karteczkami z nazwiskami. To podstawowe leki: przeciwbólowe, na katar, nadciśnienie. W normalnym obiegu nie da się ich dostać, jedyne otwarte apteki handlują w obecnej walucie, a Kuba swoich medykamentów nie produkuje. Lokalne zakłady farmaceutyczne, położone w dzielnicy rządowej, niedaleko słynnego placu Rewolucji z podobiznami Che Guevary i Camillo Cienfuegos, są zamknięte na cztery spusty – jak wszystko, co państwowe, i w czym nowe elity nie znalazły jeszcze źródła zarobku.

Kościół rzymskokatolicki jest dziś więc na Kubie instytucją charytatywną, innych funkcji specjalnie nie pełni. Do katedry co rusz wchodzi pojedynczy turysta z aparatem, choć obecnie są to już wyłącznie Chińczycy, czasem trafi się zbłąkana grupa Rosjan czy Serbów. Przybyszów z państw Unii prawie tu nie ma, Trump skutecznie ich wystraszył.

Tymczasem u Alejandra głośno i energicznie, aż trzeszczy w uszach. Jeszcze niedawno protestantów wszystkich odmian było na wyspie niecałe pół miliona,

dzisiaj Pew Research szacuje ich liczbę na ponad dwa razy więcej. I nawet taka anegdotyczna analiza porównawcza pokazuje, dlaczego tak jest. Kościół rzymskokatolicki wielu młodym Kubańczykom nie ma wiele do zaoferowania, bo jego tożsamość jest tu mocno upolityczniona, związana z przepychankami z komunistyczną władzą. Tymczasem młodsze pokolenia mówią wprost, że to już nie jest ich opowieść.

Na wyspie, w centralnie planowanej gospodarce, bez możliwości swobodnego podróżowania zwyczajnie się duszą. I coraz częściej decydują na ucieczkę przy byle okazji – statystyki ONZ wskazują, że w ciągu ostatnich sześciu lat z Kuby wyjechała jedna piąta całej populacji kraju, najczęściej poprzez małżeństwa z obcokrajowcami, zdobycie europejskiego paszportu albo po prostu wyjazd na rządowym kontrakcie, z którego uciekli.

Alejandro chce, żeby młodzież tu została i budowała nową Kubę. Ale do tego potrzeba samozaparcia, energii i przede wszystkim zmiany politycznej. Jego ewangelia sukcesu jest przecież niczym innym jak przyspieszonym kursem przedsiębiorczości, a tę można tu uprawiać w bardzo ograniczonym zakresie. Wprawdzie prezydent Miguel Díaz-Canel zezwolił na działalność tzw. cuentapropistas, co dosłownie oznacza robienie rzeczy „na własny rachunek”, ale jakie rzeczy można tu robić? Sprzedawać piwo, jajka i podrabiane cygara w zaimprovizowanych domowych sklepach? Wozić turystów w rozpadających się rikszach? Rysować karykatury na rynku w Hawanie? Nie jest to specjalnie atrakcyjna gama zawodów, a na tym z grubsza możliwości młodych kubańskich prywaciarzy się kończą, zwłaszcza w czasie blokady Trumpa.

Przez okno, na brukowanej, tonącej w śmieciach, ale i słońcu uliczce starej Hawany słychać, jak Alejandro wykrzykuje, że nie chce słyszeć wymówek. – *Co z tego, że brakuje prądu. Bez prądu, bez internetu, bez durnych rozrywek da się żyć. A bez wiary już nie! Musicie pokazać Mu, że za służujecie na jego pomoc, na jego przyjsię. Poświęćcie się dla rodziny, dla naszej wspólnoty. Pracujcie, inwestujcie pieniądze, a to wszystko do was wróci po dziesięciokroć. Nie ma sensu martwić się blokadą, bo jeśli będziecie wierzyć wystarczająco mocno, Jezus nas wszystkich odblokuje.*

MATEUSZ MAZZINI

Trwa wyścig o dominację w Arktyce. Na czele jest Rosja, a Chiny i państwa NATO gonią ją w tempie 5 km/godz. Z taką prędkością arktyczny lód kruszą lodołamacze, najpilniej dziś poszukiwane statki na świecie.



Rydwany lodu

„50 Let Pobedy” – największy rosyjski lodołamacz klasy Arktyka, zwodowany w 2007 r.

JĘDRZEJ WINIECKI

Jazda starym pikapem po szutrowej drodze – tak pływanie lodołamaczami opisuje jeden z branżowych ekspertów. Trzeszczą, warczą, podskakują. Poza tym mają prawie same zalety. Przecierają szlaki żeglugi morskiej. Wożą naukowców, niektóre turystów. Mogą szukać i ratować rozbitków. Da się je uzbroić. Teraz też stają się taranami geopolityki, które wraz z lodem miażdżą resztki arktycznej solidarności.

Arktyczna garda

W lutym w norweskim Tromsø wspomnianą arktyczną solidarność symbolicznie żegnała Mary Simon, gubernatorka generalna Kanady, czyli namiestniczka brytyjskiego monarchy, mająca po matce korzenie inuickie. Uczestnikom dorocznej konferencji o stanie regionu opowiadała o swoim dzieciństwie. Łowiła łososie i podróżowała psimi zaprzęgami. Jej babcia przez radio słuchała tradycyjnych pieśni. Simons przypominała, że zimna wojna omijała Arktykę. Na tyle, że jej kanadyjska wspólnota utrzymywała kontakty z Inuitami z radzieckiej Czukotki. Nostalgia w słowach generalnej gubernatorki jest

o tyle zrozumiała, że mit arktycznej wyjątkowości właśnie przemija.

Niewiele zabrakło, żeby ten mit doczekał 40. urodzin. Stworzył go Michaił Gorbaczow, który 1 października 1987 r. pojawił się w Murmańsku. Ogłosił tam, że słabnący Związek Radziecki opuszcza w Arktyce gardę, zaproponował „radikalne obniżenie poziomu konfrontacji militarnej” na Północy i stworzenie „strefy pokoju”: bez broni jądrowej, z mniejszym ruchem okrętów, za to z ochroną środowiska, badaniami, koordynowaną i racjonalną eksploatacją bogactw oraz z otwartą dla zagranicznych statków Północną Drogą Morską, utrzymywaną przez sowieckie lodołamacze.

I faktycznie, przez kolejne dziesięciolecie tak to funkcjonowało. Północną drogą można było pływać, ale tylko na pewnych odcinkach – na więcej nie pozwalały ekstremalne warunki. Tyle że odizolowane peryferie stopniowo zaczęły nabierać znaczenia. Rozpędziła się zmiana klimatu, która sprawia, że obecnie to Arktyka ociepla się najszybciej. Równolegle opracowano technologie pozwalające w opłacalny sposób dobrać się do ryb, owoców zimnego morza i tego, co pod jego dnem – ropy naftowej i gazu ziemnego. A także skracać rejsy z Azji do Europy i na wschodnie wybrzeże Ameryki.

Wczesną jesienią 2025 r., czyli w okresie najmniejszego zlodzenia, do Europy – w tym do Gdańska – dopłynął 294-metrowy kontenerowiec „Istanbul Bridge”. Wiózł m.in. prezenty świąteczne i inaugurował – tak stwierdził jego chiński armator – uruchomienie Polarnego Jedwabnego Szlaku. Trasę z Ningbo-Zhoushan pokonał o tydzień szybciej, niż zajmuje rejs tradycyjnym szlakiem przez Kanał Sueski. Zmiana jest i taka, że „Most Szybki” to zwykły statek handlowy – nie przygotowany go na arktyczne warunki. Można tak pływać i przez resztę roku, ale wtedy potrzebna jest asysta lodołamaczy.

Obecna atmosfera wokół biegun północnego przypomina wyścig mocarstw z czasów kolonialnych. Na zagospodarowanie czeka teren wyglądający na dziewiczy. Owszem, ma jakichś mieszkańców, Nieńców czy Inuitów, ale ci nie mają dość siły, by przeciwstawić się napływowi firm wydobywczych, rybaków, wojska i polityków. I tak jak przed pierwszą wojną światową ścigano się na liczbę pancerników, tak teraz skrupulatnie liczy się lodołamacze.

Są konieczne, by zabezpieczyć własne strefy ekonomiczne i pilnować rywali na wodach międzynarodowych. Potrzeba ich tym więcej, im robi się cieplej i im bardziej topnieje czapa lodowa. Nie wypada

też zapominać, że te same statki mogą służyć do opanowania Antarktydy. Jej status zabezpieczony jest jedynie traktatami, które przy złej woli kluczowych potęg będą miały wartość makulatury.

Atomowe Leniny

Od zawsze liderem w lodołamaczach są Rosjanie. Pierwszy z nich zwodowali w 1899 r., nosił imię kozackiego zdobywcy Syberii „Jermaka”. Co prawda zbudowano go w Newcastle, ale według rosyjskiego projektu konsultowanego z Dmitrijem Mendelejewem. Do lat 60. XX w. na tym parowcu wychowały się pokolenia rosyjskich i sowieckich kapitanów lodołamaczy.

Po drugiej wojnie światowej przyszła era jednostek napędzanych reaktorami jądrowymi. Już w latach 50. „Jermaka” na Północy zastąpił atomowy „Lenin”. Po trzech dekadach pracy i z niebezpiecznie pościeranym kadłubem stał się statkiem-muzeum, cumującym dziś w Murmańsku. Wcześniej, w latach 70., dołączyła do niego długa na 148 m „Arktyka”, która jako pierwsza przebiła się na biegun północny.

Rosjanie jako jedyni mają lodołamacze z reaktorami, których zasięg i czas rejsu ogranicza jedynie konieczność uzupełniania zapasów i przeglądy techniczne. Dwa 152-metrowe, zbudowane na przełomie lat 80. i 90., przystosowane są do działań na płytszych wodach, głównie w ujściach syberyjskich rzek, Obu i Jeniseju. Dwa reprezentują klasę Stara Arktyka z przełomu tysiącleci. Do tego cztery z Nowej Arktyki – ostatnia dołączyła ukończona w zeszłym roku 173-metrowa Jakucja.

Powstają kolejne trzy jednostki klasy Nowa Arktyka. W tym roku wodowana miała być Czukotka, ale jest opóźniona. Znacznie mniej zaawansowany jest Stalingrad. Stępkę pod Leningrad położono w listopadzie. A w grudniu – podobno pierwszy raz w historii – w morze wyszła cała ósemka czynnych atomowych lodołamaczy, z zadaniem utrzymania żeglowności zachodniej części rosyjskiej północy.

To dla Moskwy nieograniczone zachodnimi sankcjami okno na świat. Dlatego Rosjanie liczą na wejście do służby budowanego we Władywostoku 209-metrowego superlodołamacza „Rossija”. Dawne plany przewidywały, że da on początek serii zdolnej do pływania po Morzu Wschodniosyberyjskim i Czukockim, czyli tam, gdzie lód jest najgrubszy,

sięga 3,5 m. Napędzać go będą jedne z największych pływających reaktorów, potężniejsze mają tylko amerykańskie lotniskowce. Ma prowadzić konwoje kontenerowców, tankowców i gazowców, co pozwoliłoby na zwiększenie eksportu rosyjskiego gazu skroplonego do portów w Azji.

Na razie zamiast trzech superlodołamaczy zakontraktowano tylko „Rossiję”, a i tak trapi ją pasmo niepowodzeń. Koszty szybują, trzeba było szukać nowego dostawcy elementów kadłuba – poprzednie zamówiono w hucie z ukraińskiego Kramatorska. Około wojenne sankcje zablokowały dostawy zagranicznego wyposażenia.

Fińska kolejka

Mimo to Rosja wyprzedza resztę świata o wiele długości. Chiny, które od lat uważają się za państwo prawie arktyczne, mocno trzymają kciuki za udrożnienie wód wokół bieguna. Inwestują w porty wzdłuż północnych wybrzeży Rosji i budują własne lodołamacze klasy Śnieżny Smok. I o ile ten z numerem 1 to jednostka odkupiona od Ukrainy i przebudowana, o tyle jego następca jest już konstrukcją własną. Na deskach kreślarskich rodzi się nr 3.

Co jakiś czas pojawiają się informacje, że w którejś ze stocznii Państwa Środka przystąpiono do spawania pierwszych blach lodołamacza o napędzie atomowym. W grudniu China State Shipbuilding Corp., największe na świecie przedsiębiorstwo budujące statki, przedstawiło luźną koncepcję atomowego lodołamacza pasażersko-towarowego. Trzysta kontenerów, stu członków załogi, 150 pasażerów w luksusowych kajutach i na tyle mocny kadłub, by Północną Drogą Morską pływać okrągły rok.

Brak dużych lodołamaczy, dających zdolność do nieskrępowanych działań w Arktyce, jest natomiast ewidentną słabością Sojuszu Północnoatlantyckiego. To paradoks, bo teoretycznie to NATO, a zwłaszcza jedno z jego nowych państw, ma mnóstwo atutów. 60 proc. wszystkich lodołamaczy, także tych mniejszych, zbudowano w którejś z fińskich stocznii. Finowie zaprojektowali także 80 proc. wszystkich istniejących jednostek kruszących lody, w tym gronie jest choćby chiński Śnieżny Smok nr 2.

Finowie lodołamaczami różnego kalibru spłacali ZSRR wysokie reparacje wojenne. Rosjanie byli na tyle zadowoleni,

że po uregulowaniu rachunków kupowali dalej. Teraz do zakładów w Helsinkach i w Raumie ustawiła się kolejka chętnych z innych stron. Fińscy specjaliści wspierają m.in. Kanadę, która kosztem 2,8 mld dol. buduje pierwszy od pół wieku lodołamacz zdolny do pracy wokół bieguna przez cały rok.

Jesienią do fińskiej kolejki dołączył prezydent USA Donald Trump, który dość późno się zorientował, że jego polarnych ambicji – w tym wyhamowania postępów Rosjan i Chińczyków oraz zamachu na Grenlandię – nie uda się zrealizować bez lodołamaczy. Te amerykańskie są nieliczne i coraz starsze. A okazuje się, że zmiana klimatu wpływa na strukturę lodu i współczesny pracuje inaczej niż dawny.

Straż Przybrzeżna USA dysponuje ledwie jednym ciężkim lodołamaczem „Polar Star”. Bliźniacza jednostka pozostaje niesprawna od 2010 r., naprawę zepsutego silnika uznano za nieopłacalną. Więc gdy Chińczycy regularnie wpływają do amerykańskiej Arktyki, Amerykanie mogą wysłać im naprzeciw niewielki lodołamacz badawczy „Healy”.

Jesienią Trump ustalił ze swoim fińskim odpowiednikiem Alexandrem Stubbem dostawę 11 lodołamaczy, 140-metrowych i nadal z napędem konwencjonalnym. Cztery zostaną zbudowane w Europie, siódemka w USA, osobiście w Teksasie i Luizjanie, stanach z klimatem subtropikalnym. Dostawy ruszą w 2028 r.

Trump był wyjątkowo miły. Powiedział Stubbowi, że skoro Finowie mają prawie monopol na budowę takich jednostek, to będą wdrażać Amerykanów w arkana lodołamaczowego biznesu. Prezydent USA snuje wizję 30 kolejnych statków. Umowę zawarto w październiku, chwilę później zagęściło się wokół Grenlandii. Finów postawiło to w kłopotliwym położeniu. Bo co, jeśli zbudowane przez nich lodołamacze posłużą do ataku na terytorium podległe siostrzanej Danii?

Jakimś śladem tych niezręczności były wyważone uwagi Stubba o Trumpie w czasie bardzo nerwowego forum ekonomicznego w Davos. Z drugiej strony po Davos o Grenlandii zrobiło się cicho. Chociaż John Bolton, dawny doradca Trumpa ds. bezpieczeństwa narodowego, teraz skłócony z byłym szefem, przestrzega, że Trump o Grenlandii absolutnie nie zapomni i z pewnością do niej wróci. Niedługo będzie miał czym. ■



Tsunami strachu

Z Przed 15 laty doszło do **awarii elektrowni jądrowej w Fukushima**. Jednak to nie promieniowanie okazało się zabójcze, lecz pochopna ewakuacja ludzi oraz nakręcona przez media histeria.

MARCIN ROTKIEWICZ

egar wskazywał godz. 14.46 miejscowego czasu, gdy w piątek 11 marca 2011 r. zadrżało dno Oceanu Spokojnego u wschodnich wybrzeży japońskiego regionu Tōhoku. Wstrząs był tak potężny, że w ciągu zaledwie trzech minut główne wyspy Japonii przesunęły się o ponad dwa metry w kierunku Kalifornii i zapadły w ocean o niemal metr. Wibracje dna morskiego dotarły aż na Antarktydę, gdzie od lodowców z hukiem odrywały się gigantyczne bloki. A po drugiej stronie Pacyfiku, u wybrzeży Chile, powstały fale o wysokości dwóch metrów. Ponadto dzień na całym globie uległ skróceniu o ok. 1,4 mikrosekundy (milionowej części

sekundy). Było to następstwem przemieszczenia ogromnych mas skał względem osi obrotu planety. Podobnie jak łyżwiarz, który przyciąga ramiona do ciała podczas piruetu i kręci się szybciej, Ziemia zaczęła się obracać z minimalnie większą prędkością.

Polityczny chaos

Czujniki w elektrowni jądrowej Fukushima Daiichi w nadmorskim miasteczku Ōkuma natychmiast odnotowały potężne wstrząsy. Trzy z sześciu reaktorów, które w tamtej chwili pracowały, zachowały się zgodnie z procedurami i automatycznie

wyłączyły. Wskutek uszkodzeń sieci energetycznej uruchomiły się awaryjne dieslowskie generatory, mające dostarczać prąd do potężnych pomp chłodzących, bo uranowe pręty paliwowe nadal wytwarzały duże ilości ciepła. Trzeba też było utrzymywać temperaturę w basenach ze zużytym paliwem jądrowym.

Początkowo wydawało się, że wszystko znajduje się pod kontrolą, ale ok. 50 min po trzęsieniu ziemi w japońskie wybrzeże uderzyła gigantyczna fala tsunami, która w paru miejscach na wschodnim wybrzeżu piętrzyła się na wysokość nawet 40 m. Samą elektrownię zalała ok. 15-metrowa ściana wody. Mur ochronny przygotowany został „tylko” na 5,6-metrowe tsunami, dlatego fala z łatwością przelała się przez tę barierę, niszcząc pompy wody morskiej na linii brzegowej, i wdarła do budynków reaktorów i maszynowni. To tam, w piwnicach ulokowanych 7–8 m poniżej poziomu gruntu, znajdowała się większość awaryjnych generatorów. Tsunami zatopiło 12 z 13 tych urządzeń. Jedyne ocalało w bloku nr 6, umieszczone wyżej niż pozostałe.

Bloki nr 1, 2 i 3 pogrążyły się w mroku, ale kryzys w każdym z nich rozwijał się w innym tempie. W pierwszym układy chłodzenia stanęły niemal natychmiast. Blok nr 3 zdołał przeżyć na zasilanie akumulatorowe, dzięki czemu awaryjne chłodzenie działało jeszcze przez ponad 20 godz. Z kolei w bloku nr 2 układ chłodzenia napędzany parą kontynuował pracę w znacznej mierze autonomicznie, choć operatorzy dokonali co najmniej jednej interwencji (zmiana źródła wody) przez kolejne 68 godz. Ostatecznie jednak we wszystkich trzech systemy awaryjne przestały działać, więc woda odbierająca ciepło z paliwa jądrowego zaczęła gwałtownie wrzeć i zamieniać się w parę.

Pracownicy Tokyo Electric Power Company (TEPCO) – właściciela i operatora m.in. elektrowni w Fukushima – rozpoczęli desperacki wyścig z czasem. Ściągnięto wozy strażackie, by wtłoczyć do rdzeni najpierw słodką wodę, a później morską. Jednak ich słabsze pompy nie potrafiły sprostać zadaniu. Konieczny był też szybki zrzut nagromadzonej pary przez zawory bezpieczeństwa. One też wymagały prądu do działania, więc zdesperowani pracownicy wymontowywali akumulatory z samochodów.

Sytuacja zaczęła się wymykać spod kontroli. Temperatura rosła, powodując parowanie wody i odsłonięcie prętów paliwowych z uranem. Powłoka paliwa, wykonana ze stopu cyrkonu, zaczęła wchodzić w reakcję z przegrzaną parą wodną, generując znaczne ilości wodoru, który tworzy z tlenem mieszaninę wybuchową. Gaz ten, gromadząc się wewnątrz budynków, doprowadził do eksplozji w blokach nr 1 (12 marca) i 3 (14 marca). Nawet w niepracującym wówczas bloku nr 4 doszło 15 marca do wybuchu wodoru, który przedostał się tam z reaktora nr 3 poprzez wspólne instalacje. Wypuszczanie pary wodnej (w celu obniżenia ciśnienia) oraz zniszczenia spowodowane eksplozjami uwolniły do atmosfery substancje radioaktywne, przede wszystkim izotopy jodu i cesu. Mniej uszkodzone bloki nr 5 i 6 udało się schłodzić i bezpiecznie doprowadzić do tzw. stanu zimnego wyłączenia stosunkowo szybko, bo już 20 marca, ale walka o kontrolę nad stopionymi w dużym stopniu rdzeniami reaktorów w blokach 1, 2 i 3 trwała miesiącami.

Katastrofa w Fukushima wywołała polityczny chaos w położonym 200 km dalej Tokio. Ówczesny premier Japonii Naoto Kan w swoim pierwszym telewizyjnym wystąpieniu 11 marca o godz. 17.00 złożył kondolencje ofiarom żywiołu, a następnie zdawkowo wspominał, że część reaktorów jądrowych automatycznie wstrzymała pracę. Poprosił też wszystkich o zachowanie

spokoju. Za kulisami był jednak daleki od opanowania – jeden z bliskich współpracowników zapisał nawet w służbowej notatce, że szef rządu „potrzebuje schłodzenia”, podobnie jak reaktory. Jeszcze tego samego wieczoru Kan oficjalnie ogłosił stan zagrożenia nuklearnego, a w następnych dniach z jego gabinetu wysyłano kolejne nakazy ewakuacji ludności: najpierw w promieniu 2, potem 10, a ostatecznie 20 km od zniszczonej elektrowni. W 2016 r., już jako były japoński premier, ujawnił, że rozważał wprowadzenie stanu wojennego w całym kraju oraz ewakuację ludności w promieniu aż 250 km, co objęłoby wielomilionową metropolię tokijską. Obawiał się wówczas, że na szali leży istnienie całej Japonii.

Zarządzona w pośpiechu i na masową skalę ewakuacja okazała się brzemenna w skutki, a z perspektywy wiedzy naukowej – w dużej mierze błędna. Rząd zdecydował się na wysiedlenie ludności z obszarów, na których dawki promieniowania były takie, jakie otrzymują z naturalnych źródeł (np. skał) mieszkańcy wielu regionów na całym świecie, od Finlandii po Brazylię. Prof. Philip Thomas, ekspert w dziedzinie zarządzania ryzykiem z University of Bristol, na podstawie wyników badań przeprowadzonych pod jego kierownictwem przez kilka uczelni stwierdził na łamach dziennika „Financial Times”, że uzasadnienie miało jedynie wysiedlenie na kilka tygodni ludności w promieniu kilku kilometrów wokół elektrowni.

Skutki społeczne i zdrowotne ewakuacji, która objęła 160 tys. osób, okazały się druzgocące. Liczba bezpośrednich ofiar śmiertelnych promieniowania wyniosła zero. Tymczasem relokacja ludności zabiła bezpośrednio lub pośrednio 2313 osób. W chaosie ucieczki umierali pacjenci szpitali oraz osoby starsze, pozostawione w ośrodkach bez leków i opieki. Rozpacz i utrata sensu życia zbierały tragiczne żniwo w kolejnych latach – do 2017 r. odnotowano aż 99 samobójstw związanych z opuszczeniem strefy wokół Fukushimy.

Podsycana panika

Dla ewakuowanych największym zagrożeniem okazało się zatem nie promieniowanie, lecz utrata domów, perspektywy zawodowych i całkowity rozpad lokalnych więzi społecznych. Przesiedleńcy borykali się z narastającym stresem pourazowym, głęboką depresją, alkoholizmem oraz wyższym wskaźnikiem otyłości i cukrzycy. Uderzało w nich też okrutne piętno społeczne – w nowych miejscach zamieszkania byli wręcz unikani przez sąsiadów z irracjonalnego lęku przed rzekomą chorobą popromienną. A dzieci uchodźców z Fukushimy doznawały przemocy i były wykluczane w nowych szkołach jako „radioaktywne”. Ponad 40 proc. młodych matek odczuwało silny niepokój za sprawą stygmatyzacji, obawiając się m.in. zachodzenia w ciążę.

Tymczasem, jak wykazały raporty Komitetu Naukowego ONZ ds. Skutków Promieniowania Atomowego (UNSCEAR) z 2014 i 2022 r., nie zaobserwowano wzrostu wad wrodzonych u dzieci, raka tarczycy, białaczki ani żadnego innego nowotworu, który można by przypisać działaniu promieniowania jonizującego. Ewakuowani mieszkańcy byli bowiem narażeni średnio na dawkę promieniowania mniejszą niż otrzymywaną podczas tomografii komputerowej miednicy.

Szkokujące jest również to, że skutki gigantycznego tsunami zostały zepchnięte przez wydarzenia w Fukushima na daleki plan, mimo iż pochłonęło ono niemal 20 tys. ofiar i zniszczyło bądź uszkodzyło ok. 1 mln budynków. Światowe media odegrały wyjątkowo negatywną rolę, porzucając rzetelne informowanie ►

► na rzecz produkowania przerażających nagłówków, siania paniki i braku weryfikacji faktów. Tabloid „The Sun”, najlepiej wówczas sprzedający się dziennik w Wielkiej Brytanii, na pierwszej stronie jednego z wydań gazety umieścił charakterystyczny żółto-czarny symbol radioaktywności z nagłówkiem: „Exodus z Tokio – tysiące ludzi ucieka przed trującą chmurą”. A redakcje telewizyjne zapraszały pseudoekspertów wieszczących „największą przemysłową katastrofę w historii”, nierzadko pomijając głosy naukowców, którzy spokojnie tłumaczyli, jaki jest rzeczywisty poziom zagrożenia.

Późniejsze badania wykazały absurdalną i ponurą dysproporcję – np. w dziesiątkach przeanalizowanych artykułów prasowych reporterzy rozmawiali wyłącznie z osobami ewakuowanymi z bezpiecznych terenów wokół Fukushima, niemal całkowicie ignorując cierpienie ludzi, którzy w wyniku tsunami bezpowrotnie stracili bliskich i dorobek życia. Podsycany przez media irracjonalny lęk przed promieniowaniem okazał się o wiele większym zagrożeniem dla zdrowia publicznego niż substancje radioaktywne z uszkodzonych reaktorów.

Drugi Czarnobyl

Wszystko to nasuwało porównania z katastrofą w Czarnobylu, której 40. rocznica będzie obchodzona pod koniec kwietnia. Premier Kan miał już na samym początku katastrofy mamrotać pod nosem: „To jest jak Czarnobyl! To będzie dokładnie jak Czarnobyl!”. Te skojarzenia wzmocniły się, gdy katastrofa w Fukushima została oceniona według międzynarodowej skali zdarzeń jądrowych i radiologicznych (INES) na maksymalne 7 stopni. Co oznaczało „wielką awarię z rozległymi skutkami dla ludzi, środowiska i gospodarki”. Czarnobyl też otrzymał 7. Na tym jednak podobieństwa się kończyły.

Przed wszystkim zupełnie inna była geneza obu katastrof i ich skutki. W Japonii zawiła głównie siła natury, choć też popełniono pewne błędy, a przed katastrofą – zaniedbania. Natomiast wydarzenia w Czarnobylu to w stu procentach wynik arogancji, ludzkich pomyłek oraz wad konstrukcyjnych reaktorów typu RBMK, których nikt poza ZSRR nie budował. Dla oszczędności zrezygnowano np. z dodatkowej betonowej kopuły ochronnej. Gdy w wyniku rażących błędów obsługi (podczas testu bezpieczeństwa!) reaktor nr 4 eksplodował (na skutek niekontrolowanego wzrostu mocy i wybuchu pary wodnej), rozerwał betonowy dach i wyrzucił na zewnątrz zawartość, głównie uran i grafit.

Ogromne różnice widać także w bezpośrednich skutkach zdrowotnych. W Czarnobylu sama eksplozja, jak i ogromne dawki promieniowania zabiły łącznie 31 osób (pracowników elektrowni i strażaków). W Fukushima nie zginął nikt. Odmiennie wyglądał również przepływ kluczowych informacji. Czarnobyl został przez władze sowieckie natychmiast odcięty od reszty ZSRR i świata. Fukushima była zaś pierwszym wypadkiem nuklearnym w erze telewizji nadających serwisy informacyjne przez całą dobę. Stacje TV miały więc natychmiastowy dostęp m.in. do widowiskowych kadrów eksplozji wodoru w blokach elektrowni.

Takie sceny dostarczyły nowego paliwa przeciwnikom energetyki jądrowej. Przed 11 marca 2011 r. coraz śміiej mówiło się o „nuklearnym renesansie”. Ze względu na rosnące zagrożenie zmianami klimatycznymi, atom – jako stabilne i praktycznie bezemisyjne źródło energii – zaczął wracać do łask. Katastrofa w Japonii brutalnie zatrzymała ten proces.

Najbardziej drastyczny zwrot akcji nastąpił u naszych niemieckich sąsiadów, czyli w największej gospodarce Europy. Kanclerz Angela Merkel – pod presją masowych protestów, w których na ulice wyszło ok. 200 tys. obywateli – zdecydowała o zamknięciu siedmiu reaktorów. Co więcej, powołując się na dawne polityczne obietnice, ogłosiła całkowite odejście Niemiec od atomu do 2022 r. (w związku z wojną w Ukrainie proces ten wydłużył się do kwietnia 2023 r.). Był to radykalny krok, jako że elektrownie jądrowe dostarczały wówczas ponad jedną czwartą całej energii elektrycznej u naszych zachodnich sąsiadów. Czym zostały zastąpione? Częściowo elektrowniami węglowymi (niektóre reaktywowano), gazowymi oraz importem energii m.in. z Francji, czyli z... siłowni jądrowych. Rozszerzono też wydobycie w odkrywkowej kopalni węgla brunatnego Garzweiler, likwidując znajdujące się tam turbiny wiatrowe.

Niemcy nie byli w swojej antyatomowej postawie osamotnieni. Rząd Szwajcarii ogłosił, że nie wybuduje już żadnej nowej siłowni jądrowej. Włosi zaś po raz kolejny odrzucili w ogólnonarodowym referendum pomysł wznoszenia reaktorów w granicach swojego państwa, preferując import prądu z Francji i Szwajcarii. O planach stopniowego wygaszania atomu poinformowały także władze Korei Południowej i Tajwanu. Wreszcie sama Japonia wyłączyła wszystkie swoje reaktory, co z dnia na dzień zamieniło ten kraj w jednego z największych na świecie importerów węgla i gazu ziemnego (później jednak stopniowo wracała do energetyki jądrowej – obecnie czynnych jest tam 15 spośród 33 zdolnych do pracy reaktorów).

Zaniedbane ocieplenie

Te polityczne decyzje, motywowane głównie strachem przed promieniowaniem, uderzyły rykoszetem w globalną walkę z ociepleniem klimatu. Zamykane przedwcześnie, w pełni sprawne i niskoemisyjne elektrownie jądrowe trzeba było przecież czymś zastąpić, gdyż odnawialne źródła energii, takie jak słońce i wiatr, są niestabilne. Tę lukę wypełnił przemysł paliw kopalnych (m.in. rosyjski), co bezpośrednio przełożyło się na zanieczyszczenie środowiska i wzrost emisji gazów cieplarnianych.

Dlatego można spotkać się z opiniami, że to nie Czarnobyl, lecz Fukushima odcisnęła największe piętno na publicznej debacie o energii jądrowej. Choć pojawiały się również zaskakujące, ale nieliczne głosy takich osób, jak wpływowy brytyjski dziennikarz, publicysta i działacz ekologiczny George Monbiot. W 2011 r. na łamach dziennika „The Guardian” pisał, że stara elektrownia z nieodpowiednimi systemami bezpieczeństwa została uderzona przez potężne trzęsienie ziemi i tsunami, ale nikt nie zginął od promieniowania, co dowodzi fundamentalnego bezpieczeństwa tej technologii.

Co ciekawe i z pozoru paradoksalne, podobną opinię można by też sformułować o Czarnobylu. Najgorsza możliwa do wyobrażenia katastrofa źle skonstruowanej potężnej elektrowni jądrowej w rzeczywistości przyniosła straty nieporównanie mniejsze, niż głoszą mity i wyobrażenia na jej temat.

MARCIN ROTKIEWICZ

Korzystałem z książek:

R. Partanen, J. Korhonen „**Czarny koń. Energetyka jądrowa a zmiany klimatyczne**” (wyd. polskie 2022 r.)
M. Visscher „**The Power Of Nuclear. The Rise, Fall and Return of Our Mightiest Energy Source**” (wyd. po angielsku 2024 r.)



1. Historia pisma zaczęła się od jednodniówki z września 1910 r.
2. Jako miesięcznik „Wiedza i Życie” ukazuje się od 1926 r.
3. Numer 1000. pojawił się na rynku w kwietniu 2018 r.
4. A pierwszy numer wydany przez POLITYKĘ – we wrześniu 2020 r.

Sto lat między wiedzą a życiem

Wydawany przez POLITYKĘ miesięcznik „Wiedza i Życie” kończy właśnie 100 lat. I jest najstarszym czasopismem w Polsce. Jego losy pokazują, jak zmieniało się miejsce nauki w społeczeństwie.

Dziś, w czasach internetowych kłamstw i kryzysu rozumu, „Wiedza i Życie” jest wciąż potrzebna.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

We wrześniu 1910 r. w Wilnie ukazała się jednodniówka „Wiedza i Życie”. Wydał ją Tadeusz Rechniewski – socjalista, zesłaniec syberyjski, jeden z organizatorów Uniwersytetu dla Wszystkich i redaktor związanych z nim pism, regularnie zamykanych przez cesarskie władze. Sposobem na oszukanie cenzury były nieustające zmiany tytułów – gdy znikła „Wiedza”, pojawiała się „Światło”, a potem „Nowe Życie”. Ta ciuciubabka z zaborcą była dla wydawcy walką o „zbliżenie między wiedzą i życiem”, które – jak sądził – jest jedną z najpilniejszych potrzeb społecznych. Rechniewski był przekonany, że znajomość praw przyrody czy ekonomii nie powinna

być cechą wyłącznie akademii i salonów, tylko narzędziem zmiany i fundamentem wolności.

Ekscentrycy od faktów

„Wiedza i Życie” nie pojawiła się w próżni. Europa i Ameryka Północna przeżywały okres, w którym zamknięta dotąd w aulach uniwersytetów nauka wyszła na ulicę. Za oceanem od 1845 r. „Scientific American” (jego polska wersja „Świat Nauki” jest również wydawana przez POLITYKĘ SKA) tłumaczył wszystkim, na czym polega ewolucja i jak stał oraz para zmieniają życie; w Londynie od 1869 r. robiło to „Nature”, a we Francji cztery lata później zaczęła się ukazywać bogato ilustrowana „La Nature”.

Powstawały towarzystwa naukowe, które powoływały do życia własne periodyki.

Polska była pod zaborami, ale we Lwowie już w 1876 r. Polskie Towarzystwo Przyrodników im. Kopernika zaczęło wydawać „Kosmos”, a w Warszawie od 1882 r. zaczął wychodzić „Wszechświat” – założony przez wychowanków Szkoły Głównej. Bolesław Prus nazywał ich ekscentrykami dopłacającymi do interesu, byle tylko budzić w ziomkach „zmysł do natury i wiedzy”. Podobny cel postawiła sobie „Wiedza i Życie”. O ile jednak na Zachodzie proces powstawania pism o nauce był zazwyczaj wynikiem rosnącego bogactwa oraz istnienia stabilnych instytucji, nad Wisłą rodziła się z głodu, braku i ogromnej potrzeby edukacji.

Gdy w marcu 1926 r. „Wiedza i Życie” zaczęła ukazywać się jako regularny miesięcznik, Polska była państwem młodym, biednym, ale ambitnym. Redaktor naczelny Janusz Jędrzejewicz zapowiadał, że pismo będzie „specjalną opieką otaczać samouków”. To słowo – samouk – brzmi dziś archaicznie, ale wtedy było programem cywilizacyjnym. Kraj, który wyszedł z zaborów, miał poważny problem z alfabetyzmem i potrzebował przewodników. Dlatego już pierwszy numer był małym kompendium nowoczesności. Obszerny reportaż z sensacyjnego odkopania grobu Tutanchamona zaspokajał ciekawość, ale tekst o walce z chorobami zakaźnymi był w kraju szalejącego tyfusu i gruźlicy instruktażem przetrwania. W innych artykułach analizowano mechanizmy ►

► marzeń sennych i zastanawiano się nad rozumem zwierząt, co było świeże i odważne. A zainteresowani kosmosem mogli zbudować sobie lunetę z tektury. Doniesienia ze świata nauki miały być dostępne, łatwe w odbiorze i namacalne.

W kolejnych latach miesięcznik stał się oknem na świat. Opowiadał o radioodbiornikach kryształkowych, demokratyzujących informację. Drukowano teksty o higienie i owadach roznoszących zarazki, gdy kultura sanitarna dopiero się rodziła. Uczono, jak rozumieć budżet państwa i czym są pożyczki publiczne. Jednocześnie pismo było lustrem epoki, dlatego w latach 30. pojawiały się w nim teksty o szkodliwej maskulinizacji kobiet w nauce. Wówczas był to główny nurt publicznej debaty, dziś oburzający i zaprzeczający światowym trendom.

Nauka uwikłana

Powojnie uwikłanie stało się systemowe. W 1948 r. wydawcą zostało Towarzystwo Wiedzy Powszechnej, a dwa lata później pierwszy numer otwierał kilkunastostronnicowy tekst o Stalinie jako „wodzu bloku pokoju”. Nauka miała służyć budowie socjalizmu, choć w tekstach wyraźna była wielka fascynacja postępem – po kilku stronach propagandy można było przeczytać szczegółowy opis projektu atomowego parowozu, pisano też o „mózgach elektronowych” i biologii komórki. „Wiedza i Życie” może i pełniła funkcję domowego uniwersytetu, ale miała ograniczenia – niemal przemilczała np. lądowanie człowieka na Księżycu w 1969 r., ponieważ był to sukces amerykańskiej, a nie bratniej nauki.

„Wiedza i Życie” miała też swój epizod opozycyjny, kiedy na przełomie lat 70. i 80. redakcja była konspiracyjnym zapleczem organizacyjnym Konwersatorium Doświadczenie i Przyszłość. Dyskutowano tam o problemach politycznych, społecznych i gospodarczych Polski i o jej naprawie.

Pismo z kolejnych kryzysów wyciągał upór ludzi, którzy w naukę wierzyli bardziej niż w systemy polityczne. Poza czasem drugiej wojny światowej, kiedy wstrzymano jego wydawanie, prawdziwy test przetrwania przyszedł w latach 80. – Kiedy trafiłam do redakcji, było to pismo cienkie, czarno-białe, na papierze gazetowym. Dominowały tematy społeczne i kulturalne oraz porady prawne. Nauki nie było prawie wcale – wspomina Joanna Zimakowska.

Koncern RSW rozważał likwidację tytułu jako nierentownego. Zimakowska z byłymi kolegami z „Życia Warszawy” – Janem Rurańskim i Andrzejem Gorzymem – postanowili uratować pismo. Redakcję, które założyły spółdzielnię dziennikarską, mogły ubiegać się o przejęcie tytułu. I tak „Wiedza i Życie” stała się własnością ludzi, którzy pod starym tytułem przekształcili miesięcznik w kolorowy magazyn o nauce. Jako jeden z pierwszych w Polsce był w całości składany komputerowo. – To na naszych łamach Alek Bartnik, profesor fizyki, prowadził elementarny kurs obsługi e-maila i korzystania z internetu – wspomina Andrzej Gorzym.

Wiedza: reaktywacja

Miesięcznik, który w nowej odsłonie wyszedł w styczniu 1989 r., czytano na potęgę. Przyczynił się do tego nie tylko wolny rynek, ale też zjawisko dziś trudne do wyobrażenia: nauka w atrakcyjnym wydaniu okazała się pożądanym towarem. Wydany przez spółdzielnię na kredowym papierze „Atlas zwierząt świata”, którym bukiński handlowali z łózek polowych, rozszedł się w prawie 200 tys. egzemplarzy, a głodni wiedzy i zachodnich standardów Polacy wywindowali nakłady pisma do 180 tys. egzemplarzy.

Wolny rynek okazał się polem minowym. Kilka chybionych decyzji inwestycyjnych sprawiło, że spółdzielnia znalazła się pod ścianą. Gdy w 1991 r. widmo zniknięcia z rynku stało się realne, dr Mieczysław Prószyński, astrofizyk, który budował swoje wydawnictwo, przejął „Wiedzę i Życie” nie tylko jako biznesmen, ale też popularyzator. Miesięcznik znów rozkwitł i zaangażował się w organizację takich imprez jak Festiwal Nauki i Piknik Naukowy. Na jedną z nich w 1998 r. udało się sprowadzić z NASA kawałek skały Księżyca z misji Apollo 15. Andrzej Gorzym wspomina: – „Teleexpress” ogłosił, że ten kamień wart jest ponoć 5 mln dol., więc zatrudniliśmy dwóch uzbrojonych ochroniarzy, a na noc woziliśmy go do bankowego sejfów.

„Wiedza i Życie” stała się drogowską dla zainteresowanych nauką. Ankieta z tamtego okresu wykazała, że aż 90 proc. studentów prestiżowych Międzywydziałowych Indywidualnych Studiów Humanistycznych na Uniwersytecie Warszawskim wychowywało się na lekturze miesięcznika. Dzięki Radzie Naukowej, w której skład wchodził rozpoznawalni badacze, czytelnik miał gwarancję jakości wiedzy.

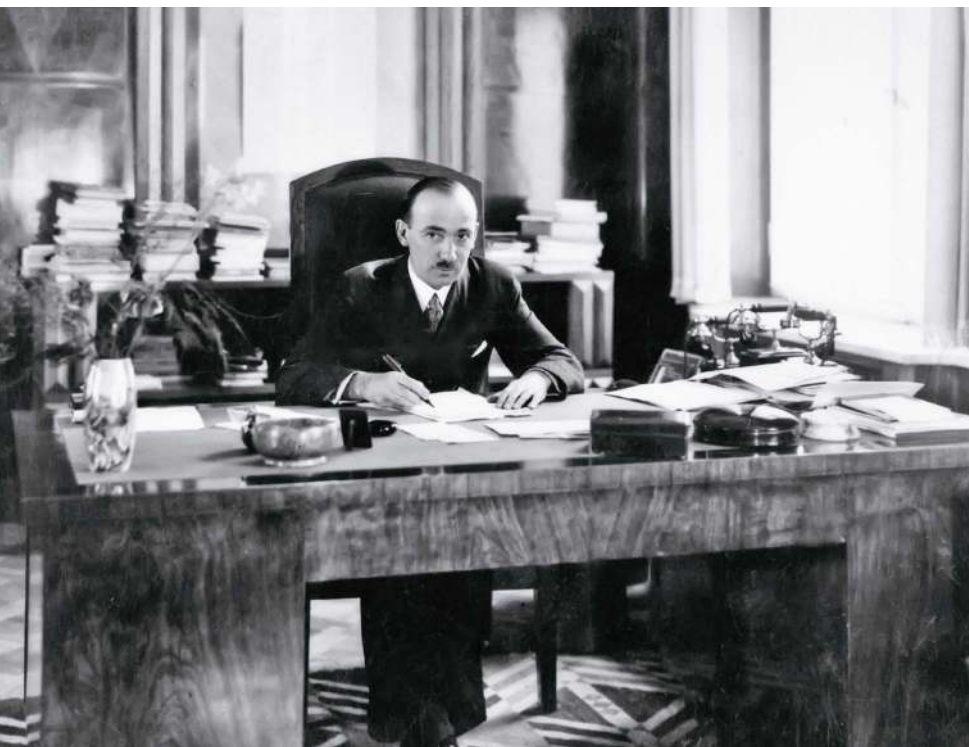
– Pisywali do nas biolog prof. Leszek Kuźnicki, fizycy prof. Andrzej Kajetan Wróblewski i prof. Łukasz Turski, genetyczki prof. Magdalena Fikus oraz prof. Ewa Bartnik. Prof. Jerzy Vetulani prowokował esejami o mózgu, a prof. Michał Różyczka prowadził rubrykę astronomiczną. Wielu wertowało kolejne numery, szukając artykułów o dinozaurach paleontologa Karola Sabatha – przypomina Andrzej Gorzym, ówczesny naczelny. Ambicją redakcji było wprowadzanie najnowszych osiągnięć nauki pod strzechy, dlatego do zadań redaktorów należało przekształcanie hermetycznych tekstów w przystępniejsze dla czytelnika.

Początek XXI w. przyniósł zmianę cywilizacyjną – czytelnicy, zwłaszcza ci młodszy, zaczęli masowo emigrować do internetu. Wiedza, dawniej elitarna i reglamentowana, nagle stała się darmowa, szybka i podawana w formie krótkich, często powierzchownych newsów. Tradycyjne pismo popularnonaukowe stanęło przed konkurencją darmowej Wikipedii i YouTube’a. Choć szata graficzna „Wiedzy i Życia” piękniała, a artykuły trzymały poziom, ekonomiczna rzeczywistość była nieubłagana. Spadek sprzedaży i zmieniające się nawyki czytelnicze sprawiły, że wydawca podjął trudną decyzję o rozstaniu z tytułem. We wrześniu 2020 r. miesięcznik trafił do portfolio POLITYKI, co uznaliśmy za najbardziej naturalny sojusz – w końcu od dekad tłumaczmy meandry życia politycznego i społecznego, a bez zrozumienia zmian w nauce ten obraz jest niepełny.

Ewolucja zdumienia

W pierwszym historycznym numerze z 1926 r. redaktorzy postawili odważne pytanie: „Ileż jest prawd, których dziś nie przeczuwamy nawet w marzeniach sennych, a które będą zdobyczą dopiero naszych wnuków?”. Przeglądanie roczników pisma pokazuje, że niemal co dekadę zmieniały się naukowe mody i trendy, które wpływały na masową wyobraźnię i obiecywały nową erę ludzkości. Od zainteresowania archeologią po odkrycie grobu Tutanchamona, przez zachłystnięcie się światem technologii, po fascynację atomem i podbojem kosmosu. Najciekawszy był jednak moment, gdy „marzenia sennie” zaczęły stawać się codziennością.

Kiedy w latach 80. „Wiedza i Życie” jako pierwsza w polskiej prasie popularnej donosiła o klonowaniu, brzmiało to jak czysta fantastyka naukowa. Redakcja pisała o in vitro, gdy w Polsce nie istniał jeszcze



Janusz Jędrzejewicz, pierwszy redaktor naczelny „Wiedzy i Życia”, później minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego, w latach 1933–34 premier. Misję pisma widział w „opiece nad samoukami”.

język publicznej debaty bioetycznej, i tłumaczyła genetykę molekularną, zanim ta stała się medialnym skrótem. To, co pozostaje niezmiennie od stu lat, to owa „ewolucja zdumienia”. Przed wojną dziwił się, że głos można przesłać kablem; my dziwimy się, że algorytm potrafi imitować ludzką inteligencję. Cały czas też nasza wiedza o świecie się zmienia, więc to, co w jednym roczniku ogłaszano przełomem, w kolejnym bywało już tylko przypisem. Wyjaśnianie, jak zmiany wpisane są w rozwój nauki, pozostaje jednym z większych wyzwań dla jej popularyzatorów.

Sto lat temu największą barierą były analfabetyzm i brak środków masowego przekazu. Dziś wyzwaniem jest nadmiar. Kiedyś problemem był niedostatek wiedzy, potem jej zideologizowanie, dziś – rozproszenie. Autorytet przestał wynikać z marki instytucji czy tytułu naukowego, zaczął z zasięgu i algorytmicznej popularności. Czy w świecie, w którym każdy może mówić o nauce, ktoś jeszcze chce słuchać uważnie, co ma do powiedzenia?

Epoka algorytmów

Gdy spoglądamy na „Wiedzę i Życie” po stu latach, widać, że misja Jędrzejewicza („opieka nad samoukami”) zyskała

zupełnie nowy kontekst. Dziś, gdy informacja nas osacza, tracimy umiejętność odróżniania ziarna od plew. W świecie zdominowanym przez sztuczną inteligencję, która potrafi wygenerować odpowiedź na każde pytanie w ułamku sekundy, pismo popularnonaukowe staje przed największym wyzwaniem w swojej historii.

Olga Orzyłowska-Śliwińska, obecna redaktorka naczelna, nazywa rzecz po imieniu: – *AI kradnie owoce dziennikarskiej pracy, żeruje na twórczości artystów, dlatego w redakcji świadomie pomijamy obrazy generowane przez algorytmy. Nie chcemy uczestniczyć w tym procederze.* Walka o rzetelność przeniosła się na pole bitwy z „halucynacjami” maszyn, internetową dezinformacją i pseudonaukowymi „fake newsami”. W takim świecie redakcja staje się ostatnim filtrem sensu.

To filtrowanie bywa jednak zajęciem wysokiego ryzyka, bo nauka, choć aspiruje do obiektywizmu, coraz częściej staje się polem zaciekłych wojen kulturowych. Paradoksalnie, to nie skomplikowane wzory fizyczne budzą największe emocje, ale ideologiczne okopy, w których lądują tematy szczepionek, klimatu czy ewolucji. – *Kiedyś „Wiedza i Życie” miała trafić*

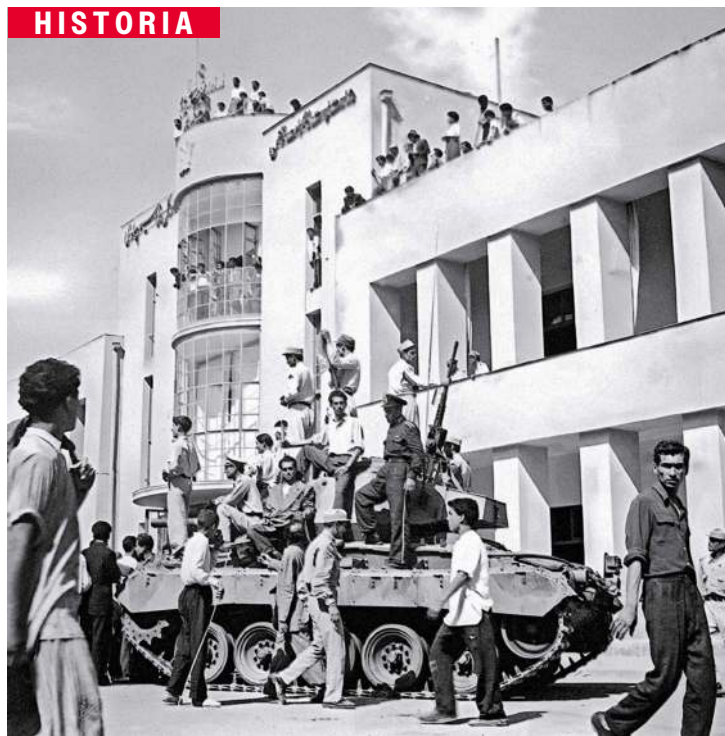
do szkół jako zalecana prenumerata, ale pojawiły się problemy, bo nie promowała wartości chrześcijańskich. Ja z kolei dostałam maila z zarzutami, że składając czytelnikom życzenia z okazji Bożego Narodzenia, napisałam tylko „wesołych świąt” – mówi naczelna. Hejt i niezrozumienie potrafią uderzyć z najmniej oczekiwanej strony: od czytelniczki oskarżającej o demoralizację młodzieży fragmentem kobiecej piersi na wiekowej pocztówce, po oburzenie za stwierdzenie, że skoro dzielimy wspólnego małpiego przodka ze współczesnymi szympanсами, to musimy się pogodzić z faktem, skąd pochodzimy. To pokazuje, że edukacja potrzebna jest nie mniej niż 100 lat temu.

Najtrudniejszym zadaniem pozostaje tłumaczenie złożoności świata, niedające się zastąpić algorytmem. – *Często spotykałam się z tym, że naukowcy nie umieją wytłumaczyć własnej dziedziny. Zakładają, że wszystko jest proste, a gdy wskazuję im zagmatwane fragmenty, nie potrafią ich uprościć – przyznaje naczelna. Rozwiązaniem jest „złoty środek”: naukowiec z darem narracji lub dociekliwy dziennikarz, który nie boi się dążyć. Tylko takie osoby stworzą tekst, który nie oszukuje czytelnika płytką sensacją, ale też nie zniechęca go hermetycznym murem terminologii.*

Czy w świecie suplementów diety, płaskoziemców, antyszczepionkowców i populizmu „Wiedza” jest nam jeszcze potrzebna, by mądrzej żyć? Według Olgi Orzyłowskiej-Śliwińskiej mądry człowiek zawsze szuka źródła: – *Warto poszerzać wiedzę, żeby nikt nas nie oszukiwał. Żeby nie dawać się łapać na obietnice bez pokrycia.*

„Wiedza i Życie” po stu latach nie jest już tylko pismem. Jest treningiem krytycznego myślenia (w naszym wydawnictwie także częścią nowoczesnego portalu popularnonaukowego pulsar: projekt-pulsar.pl). Jej historia nie sprzawia się do opowieści o przetrwaniu jednego tytułu prasowego. To kronika nieustannej walki o to, byśmy nie stracili z oczu faktów. Bo choć w epoce algorytmów odpowiedzi mamy na wyciągnięcie ręki, to umiejętność zadawania krytycznych pytań pozostaje naszą jedyną linią obrony. Cel pisma na kolejne 100 lat powinien pozostawać taki sam: działać niczym filtr, który pozwala odróżnić wiedzę od ideologicznego lub cyfrowego złudzenia.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA



Od lewej: Teheran podczas zamachu stanu, w którym władzę objął Reza Pahlawi, 1953 r. Obalony podczas rewolucji irańskiej pomnik Pahlawiego, 1979 r.

Najlepsi wrogowie

Spiralę konfliktu między Stanami Zjednoczonymi i Iranem od dekad nakręcają historyczne zaszłości, mity i półprawdy, które w dużej mierze doprowadziły do obecnej wojny.

TOMASZ TARGAŃSKI

Pierwszym elementem irańskiej narracji o Stanach Zjednoczonych jako „odwiecznym wrogu” jest rok 1953 i zamach stanu, w którym CIA pomogło obalić premiera Mohammada Mosaddegha. Wydarzenie to bywa określane jako „grzech pierworodny” Ameryki wobec Iranu i do dziś służy jako powód fundamentalnej nieufności wobec USA.

Skrótowny opis ówczesnych wydarzeń zdaje się potwierdzać te uprzedzenia. 19 sierpnia 1953 r. brytyjski i amerykański wywiad zorganizowały zamach stanu, który obalił demokratycznie wybranego Mosaddegha, który dwa lata wcześniej podjął decyzję o nacjonalizacji irańskiej ropy. Agent CIA Kermit Roosevelt – wnuk prezydenta Theodore’a Roosevelta – przyjechał do Teheranu z walizkami pieniędzy, aby „nakłonić” wojskowych do wystąpienia przeciwko premierowi. Roosevelt przymusił młodego szacha Rezę Pahlawiego do podpisania dekretu o dymisji Mosaddegha. Na ulicach wybuchły zamieszki. Premier wylądował

w więzieniu, a potem do końca życia przebywał w areszcie domowym. Odtąd szach sprawował w kraju władzę absolutną i przez kolejne 25 lat Irańczycy żyli pod rządami człowieka uznawanego za „amerykańską marionetkę”.

Po obaleniu szacha w 1979 r. ajatollah Chomeini i władze Republiki Islamskiej podkreślały, że wszelkie niepowodzenia Irańczyków mają swoje źródło w „skradzionej” przez Amerykanów demokracji. W 2009 r. Barack Obama publicznie uznał rolę Stanów Zjednoczonych „w obaleniu demokratycznie wybranego rządu Iranu” i zasugerował, że ten ciężar moralny wciąż kształtuje napięcia między oboma państwami.

W rzeczywistości historia zamachu stanu jest bardziej zniuansowana. To nie Amerykanie, lecz Brytyjczycy byli pomysłodawcami usunięcia Mosaddegha. Operacja Ajax została przeprowadzona w obronie interesów Brytyjczyków, którzy chcieli odzyskać wpływ z irańskiej ropy. Przez długi czas Białe Dobre nie chciał słyszeć o żadnym puczu. Amerykanie dołączyli do operacji z oportunistycznym, aby ich firmy naftowe dostały udział w irańskim



Strażnicy rewolucji islamskiej pilnują bramy okupowanej ambasady USA, 1979 r. Poniżej: Mohammad Mosaddegh i Reza Pahlawi.

rynku. Mimo wszystko dla Irańczyków rok 1953 stał się bolesną lekcją, że Ameryka chce bronić demokracji tylko wtedy, gdy odpowiada to jej interesom. Co więcej, Chomeini i szyicki duchowni sprytnie przemilczeli swoją rolę w całej sprawie. Liberalne reformy premiera były im nie w smak. A sam Chomeini – który później odwoływał się do 1953 r. jako dowodu na amerykański imperializm – poparł obalenie Mosaddegha. Historyk CIA Scott A. Koch stwierdził nawet, że zamach nie byłby możliwy bez aktywnego udziału szyickich duchownych, którzy użyli swojego autorytetu, by wyprowadzić ludzi na ulice przeciwko urzędującemu premierowi.

Drugi wielki mit w stosunkach USA–Iran dotyczy rewolucji islamskiej w 1979 r. Oficjalna wersja wydarzeń mówi o heroicznej walce szyickich duchownych, szczególnie Chomeiniego, z krwawym reżimem szacha, który do końca popierany był przez swoich amerykańskich popleczników. W rzeczywistości to polityka administracji Jimmy'ego Cartera walczyła przyczyniła się do obalenia szacha. Naciski Cartera na liberalizację reżimu, zwalnianie więźniów politycznych oraz większą swobodę prasy stworzyły przestrzeń dla bardziej odważnej krytyki monarchii Pahlawich. W październiku 1978 r., gdy irańskie miasta zalała fala protestów, ambasador USA w Teheranie William Sullivan wprost ostrzegł irańskich generałów przed przeprowadzeniem puczu wojskowego. Z kolei gen. Robert Huyser, wysłany przez Cartera do Teheranu, namawiał szacha do powściągliwości i wejścia w dialog z opozycją.

Sam Chomeini długo przed rewolucją, gdy przebywał na emigracji, podjął z Amerykanami podwójną grę. Już w listopadzie 1963 r. za pomocą zaufanego pośrednika przesłał im informację, że nie jest przeciwnikiem wpływów USA w Iranie. W 1978 r. CIA uznało, że dobrze byłoby ustanowić bezpośredni



kanal komunikacji z przebywającym wówczas we Francji ajatollahem, który wyrósł na niekwestionowanego lidera ulicznych protestów. Okazało się, że obie strony są sobie potrzebne: Chomeini sprawował rządy nad zrewoltowaną ulicą, Amerykanie zaś kontrolowali irańskie wojsko i tylko oni mogli nakłonić generałów, by pozwolili ajatollahowi na ewentualny powrót.

16 stycznia 1979 r. światowe media obiegała wiadomość, że szach wyjechał z Iranu. Negocjacje Amerykanów ze świętą ajatollahą wkroczyły w kluczową fazę. W końcu Waszyngton potwierdził swoją elastyczność w kwestii zmiany irańskiego systemu politycznego: „nie sprzeciwiamy się z góry zmianom w konstytucji” (czytaj: zniesieniu monarchii i ustanowieniu republiki), pod warunkiem że odbędą się w sposób „uporządkowany”. 19 stycznia Chomeini zrewanżował się wiadomością, w której zapewniał, że żywotne interesy Ameryki nie zostaną naruszone,

a po ewentualnym ustanowieniu republiki eksport ropy będzie się odbywał bez przeszkód. Imam obiecywał również, że „eksport rewolucji” nie jest jego celem.

27 stycznia Ebrahim Yazdi, lekarz, a zarazem najbliższy doradca Chomeiniego, przekazał Warrenowi Zimmermannowi, pracownikowi amerykańskiej ambasady w Paryżu, napisaną w pierwszej osobie wiadomość od ajatollaha do amerykańskiego rządu. Zawierała ona osobiste zapewnienie, że Chomeini nie widzi w USA wroga – w zamian duchowny żądał jedynie gwarancji bezpiecznego powrotu do kraju. Irańska przestrzeń powietrzna została otwarta, a 1 lutego 1979 r. samolot z Chomeinim na pokładzie wylądował na lotnisku w Teheranie. Reszta jest historią. Ajatollah cieszył się tak wielką popularnością, że szybko przejął całkowitą kontrolę nad wydarzeniami ►

► w kraju. Wszelkie obietnice, jakie poczynił Amerykanom, uznał za nieważne.

Ale nawet wówczas nie było rzeczą przesadzoną, że Iran i USA staną się zaprzysięgłymi wrogami. To, co wydarzyło się w ciągu kolejnych miesięcy, było serią błędów, zaniechań, fałszywych sądów i zwykłej ignorancji. Waszyngton przymykał oczy na hasła, jakie wyniosły Chomeiniego do władzy. Nawet kiedy jesienią 1979 r. doszło do pierwszego ataku irańskich studentów na amerykańską ambasadę w Teheranie (byli oni przekonani, że jest to centrum operacji szpiegowskich CIA wymierzonych w rewolucję), Biały Dom wciąż liczył na nawiązanie normalnych relacji z nowymi władzami. Aż do października 1979 r. rząd tymczasowy wciąż otrzymywał amerykańskie raporty wywiadowcze, ostrzegające o ruchach wojsk irańskich na granicy z Iranem.

Wydarzeniem, które okazało się punktem zwrotnym w relacjach amerykańsko-irańskich i które legło u źródeł długofalowego konfliktu między nimi, stał się atak na ambasadę w Teheranie. Po opuszczeniu Iranu przez szacha prezydent Carter zgodził się na jego przyjazd do USA na leczenie (szach chorował na raka). Na wieść o tym rozgorączkowani irańscy rewolucjoniści uznali, że Amerykanie chcą znów instalować Pahlawiego na tronie, na wzór operacji z 1953 r. Studenci ponownie wdarli się do ambasady 4 listopada 1979 r. Tym razem opanowali budynek i wzięli do niewoli 66 obywateli USA, dając początek jednemu z najdłuższych i najbardziej bolesnych kryzysów dyplomatycznych w dziejach Stanów Zjednoczonych. Chomeini nie wydał rozkazu do ataku, ale wykorzystał sytuację, aby umocnić swoją pozycję jako najwyższego przywódcy. Dzień po szturmie na ambasadę po raz pierwszy użył w odniesieniu do USA określenia Wielki Szatan. Odtąd stało się ono metaforą ostatecznego wroga i do dziś jest szeroko używane przez reżim ajatollahów.

Chomeini szybko zorientował się, że mając w ręku zakładników, może zdalnie sterować nastrojami amerykańskiej opinii publicznej, a nawet wpłynąć na amerykańską politykę. Od momentu szturmu na ambasadę przez kolejne 444 dni Iran nie zniknął z amerykańskich mediów. Stacje telewizyjne co wieczór nadawały relacje i wywiady z przerażonymi rodzinami zakładników. Organizowano publiczne modlitwy w intencji ich uwolnienia. Na znak pamięci o uwięzionych Amerykanach zaczęli wieszać przed domami i w miejscach publicznych żółte wstążki symbolizujące nadzieję na powrót do domów. Widok zakutych w kajdanki i brutalnie przesłuchiowanych rodaków sprawił, że Amerykanie po raz pierwszy od dawna poczuili smak narodowego upokorzenia. Odtąd to Iran stał się dla nich uosobieniem zła.

Dla prezydenta Cartera ten kryzys był wizerunkową tragedią. Atomowe supermocarstwo stało oto bezsilne wobec garstki irańskich studentów, a popularność samego Cartera topniała z każdym dniem. Z kolei Iran z anonimowego kraju, który nie zaprzęgał głowy przeciętnych Amerykanów, z miejsca stał się ich największym wrogiem. Po miesiącach wahania w kwietniu 1980 r. Carter dał zielone światło dla akcji zbrojnego odbicia zakładników. Operacja Orli Szpon okazała się jednak spektakularną porażką, w której zginęło kilku komandosów Delta Force, a Irańczycy zdobyli kilka amerykańskich śmigłowców (ich szczątki są do dziś eksponowane jako trofea i zdobią publiczne skwery oraz parki).

Konflikt z Iranem kosztował Cartera prezydenturę. Nawet wynegocjowany później układ, na podstawie którego Stany Zjednoczone zgadzały się nie ingerować w wewnętrzne sprawy

Teheranu i odblokować ponad 8 mld dol. irańskich aktywów zamrożonych na zagranicznych kontach w zamian za uwolnienie zakładników, nie przechrylił szali na korzyść prezydenta. W wyborach w listopadzie 1980 r. został on zmażdżony przez Ronalda Reagana. Irańczycy do końca nie chcieli dać Carterowi satysfakcji i przeciągali sprawę przekazania zakładników aż do ostatnich godzin jego urzędowania w Białym Domu. Ostatecznie uwolnili ich 20 stycznia 1981 r. w dniu zaprzysiężenia Reagana.

Dzięki kryzysowi zakładników Chomeini uczynił antyamerykanizm centralnym tematem rewolucji, choć przecież w jej trakcie nie była to dominująca emocja. Od tego momentu Iran i USA pograżyły się w rywalizacji, której areną stał się cały Bliski Wschód. Chomeini postanowił wyeksportować islamską rewolucję do innych państw w regionie, zwalczając w ten sposób amerykańskie wpływy. Teheran zaczął sponsorować radykalnych islamistów: Hezbollah w Libanie, a później Hamas w Palestynie. Stał się orędownikiem sprawy palestyńskiej, co pozwoliło mu atakować najbliższego sojusznika USA w regionie – Izrael (nazywany Małym Szatanem). W odpowiedzi administracja Reagana wpisała Iran na listę państw sponsorujących terroryzm, co stanowiło podstawę do nakładania na Teheran sankcji gospodarczych.

Po ataku na World Trade Center w 2001 r. Iran stał się wymarzoną celą dla amerykańskich konserwatystów marzących o zmianie mapy Bliskiego Wschodu. W 2002 r., prezydent George W. Bush zaliczył Iran – obok Iraku i Korei Północnej – do słynnej osi zła. Rok później amerykańskie uderzenie spadło na Irak. Paradoxs polegał na tym, że USA zaatakowały państwo, które (jak się później okazało) nie miało broni masowego rażenia. Tymczasem tuż za granicą Iran w tajemnicy rozwijał program wzbogacania uranu. Przez kolejną dekadę Amerykanie do spółki z Izraelczykami robili wszystko, aby zniszczyć irański program atomowy: nakładali sankcje gospodarcze, zastraszali i zabijali irańskich naukowców pracujących przy projekcie. W 2009 r. stworzyli nawet nową cyberbroń – robaka komputerowego o nazwie Stuxnet – aby sabotować irańskie ośrodki wzbogacające uran.

Wynegocjowane w 2015 r. porozumienie nuklearne okazało się krótkim przerywnikiem. Trzy lata później, po objęciu urzędu, Donald Trump jednostronnie je wypowiedział, co stanowiło kolejne potwierdzenie, że Amerykanom nie można ufać. Bombardowanie Iranu latem 2025 r., podczas którego celem były ośrodki atomowe, jawiło się jako nieunikniona konsekwencja nakręcanej od niemal pół wieku spirali konfliktu.

Mit Wielkiego Szatana, który czyha na zniszczenie Republiki Islamskiej, pozwalał ajatollahom tłumić demokratyczne ruchy w kraju, ponieważ w tej optyce każdy wróg reżimu był na usługach Waszyngtonu. Ekspansja wpływów Teheranu na Bliski Wschód, zaangażowanie Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej w Libanie, Syrii czy Jemenie przedstawiano jako budowanie osi oporu przeciw amerykańskiemu imperializmowi. Również irański program nuklearny wpisuje się w tę narrację, ponieważ stanowi tarczę przed zakusami kraju, który obalił Mosaddegha i wspierał szacha. Kolejna wojna nie daje nadziei, że konkurencyjne wizerunki Wielkiego Szatana i filaru osi zła odejdą do lamusa historii. Jeden bez drugiego nie istnieje i zbyt mocno się nawzajem potrzebują.

TOMASZ TARGAŃSKI

Bibliografia: Scott Anderson „King of Kings”; James Barr „Władcy pustyni”; Kim Ghattas „Czarna fala”



Kapitan Karol Cierpica u Donalda Trumpa
w Białym Domu, 2 marca br.

Siła eksplozji

Kręta droga kapitana Karola Cierpicy
do Jezusa wiodła przez Afganistan.
Tam spotkał anioła, który uratował mu życie.
O tym wszystkim opowiadał w Białym Domu,
stojąc koło Donalda Trumpa.

JULIUSZ CŹWIELUCH

To, o czym marzą polscy politycy, kapitan Karol Cierpica dostał niemalże z marszu. Nie dość, że Donald Trump oddał mu własny mikrofon, to jeszcze słuchał go w skupieniu i nie przeszkadzał. Dla polskiego weterana z Afganistanu sprawa jest jasna. Jezus, którego jest narzędziem, tak właśnie chciał. I o Bogu sporo było w czasie tego kilkuminutowego przemówienia. Ale w tej historii nie brakuje również demonów.

2010

Żeby zrozumieć, co wydarzyło się w Waszyngtonie, trzeba wrócić do Ghazni w Afganistanie. No i cofnąć się o 13 lat. Kto nie był w Ghazni, może mieć problem, żeby

poukładać to sobie w głowie. Ci, którzy tam byli, też mają z tym problemy. Zwłaszcza jeśli musieli walczyć o przetrwanie. A im dłużej polskie wojsko tam było, tym zacieklej musieli o to przetrwanie walczyć.

W grudniu 2010 r. autor tego tekstu też był w Afganistanie. W Ghazni stacjonowała VI zmiana polskiego kontyngentu wojskowego. Baza była już duża i okrzepła. Składała się głównie z Polaków. Ale był też komponent amerykański. Była jeszcze baza w bazie – swój własny teren mieli specjaliści. Ci nie ufali nikomu. Wewnętrzny mur. Wejście przez szlaban, na którym pełnili wartę z długą bronią. Nie zatrzymasz się, to dostaniesz kulę. To ważne w tej historii, bo już wówczas wszyscy szykowali się do ataku na bazę.

Tylko że talibowie byli jeszcze za słabi na bezpośredni atak.

W 2010 r. większość ludzi w bazie czuła się jeszcze bezpiecznie. Albo próbowała to sobie wmówić, bo kto mieszka w baraku ze sklejką o grubości 2 cm, tego chroni tylko wiara i nadzieja. Po bazie chodziło się w hełmach i kamizelkach kuloodpornych. Tyle że w 2010 r. ostrzałów było mało. Można było pójść na koszykówkę, jeśli ktoś miał kondycję, żeby rozegrać mecz na wysokości 2 tys. m n.p.m. Zresztą jak nie miał takiej kondycji, to szybko zdradzała go strużka krwi z nosa. Albo śmieszne, spowolnione ruchy.

Był też kościół prowadzony przez polskiego księdza, ale na msze przychodzili też Amerykanie. Stołówka obsługiwana przez Hindusów, których ściągnął amerykański kontraktor. Świetlica. Prysznic. A nawet lokalny targ. Jedyne miejsce, gdzie miejscowy świat w środy i soboty spotykał się z tym światem, który w Afganistanie wylądował jak gigantyczny statek kosmiczny. Od 2011 r. oba te światy coraz częściej wymieniały się również raketami i pociskami moździerzowymi.

Gdy rakieta trafiła w kościół, ucalała tylko figura Matki Boskiej, której ►

► otwarte zapraszające ramiona dla jednych były obietnicą ochrony. A dla innych abstrakcyjnym znakiem, że czekamy na więcej. Jeszcze bardziej abstrakcyjne było szukanie buta z fragmentem stopy jednej z polskich sanitariuszek. Afganistan staczał się w chaos. A wraz z nim polska baza w Ghazni. Tyle że było to na tyle daleko, że większość Polaków o tym nie wiedziała.

Kapitan Cierpica wiedział, bo do Afganistanu służył na trzech misjach. I sam był częścią tego chaosu. A jednak zgłaszał się na kolejne wyjazdy. Dwie pierwsze misje obsługiwał jako snajper. Ale o tym, co działo się w wizjerze jego karabinka Sako, dziś opowiada niechętnie. Punktem zwrotnym jego życia było to, co wydarzyło się 28 sierpnia 2013 r.

15.54

W sierpniu w Afganistanie jest gorąco. 28 sierpnia 2013 r. w Ghazni było gorąco podwójnie. – *Wiedzieliśmy, że będzie atak. Tylko nie wiedzieliśmy, kiedy i o jakiej sile* – wspomina po latach generał Marek „Sokół” Sokołowski, dowódca XIII zmiany w Afganistanie. A dziś dowódca generalny rodzajów wojsk, czyli szef wszystkich szefów w polskiej armii. – *Ale trzeba było normalnie funkcjonować. Ja na przykład poszedłem tego dnia do dentysty.*

Karol Cierpica pamięta, że korzystając z wolnego, robił to, co dla niego najważniejsze. Najpierw poszedł zadzwonić do domu, a później się przebiec. Na III zmianie nie brał już udziału w patrolach. Jego zadaniem była ich obsługa. Praca na TOC-u (Tactical Operation Center) to siedzenie za biurkiem i nadzorowanie, czy ludzie, którzy pojechali w teren, nie potrzebują pomocy. Kiedy przez 12 godzin siedzisz za biurkiem to albo tyjesz, albo biegasz. Cierpica biegał.

A chwilę później biegł do swojego kontenera po broń, kamizelkę i karabin. Nie pamięta natomiast tego, że syreny wyły *Incoming*, to najbardziej nielubiane słowo na misji – oznacza, że za chwilę ktoś będzie próbował cię zabić. A ty masz kilka sekund (które podarował ci radar artyleryjski), żeby się ukryć w schronie. Chyba że jesteś na pozycji, to wtedy możesz się co najwyżej zacząć modlić. Cierpica nie pamięta za bardzo, co myślał. Może nie myślał. Może działał automatycznie. Pamięta za to, jak biegnie z karabinem w kierunku miejsca, gdzie Amerykanie trzymali bezzałogowce, bo tam nastąpił atak.

Na XIII zmianie nie było miękkiej gry, jak mówią wojskowi. Amerykańskich MQ-9 Reaper nie tylko często używano, ale równie często odpalano z nich pociski. Materiały z działań są tajne. Ale jak ktoś umie czytać między wierszami, to wie, o co chodzi. Na XIII zmianie było ponad 60 postępowań prokuratorskich. Czyli mniej więcej tylu terrorystów wyeliminowano za pomocą dronów. Ale atak wcale nie był po to, żeby zniszczyć drony. Po prostu to miejsce było najsłabszym ogniwem w łańcuchu obrony. No i dawało największe szanse na spektakularny sukces, bo obok były bunkry dla cywili. Gdyby do któregoś wbiegł terrorysta samobójca, a tacy uczestniczyli w ataku, to liczba zabitych byłaby dwucyfrowa. Terrorysty to wiedzieli.

Atak był dobrze przygotowany i skoordynowany. Pierwszy atakował kierowca samobójca ciężarówką z materiałem wybuchowym. Jedni twierdzili, że to było 1300, a inni, że nawet 1500 kg. W sumie jakie to ma znaczenie, kiedy jeden kilogram wystarczy do doszczętnego zniszczenia samochodu osobowego. Fala uderzeniowa wyrwała z zawiasów większość drzwi.

30

Sierżant sztabowy Michael Ollis i jego ludzie potoczyli się po podłodze świetlicy, w której znajdowali się w czasie ataku. Ollis miał 24 lata. Niby mało, ale jego żołnierze byli dużo młodszy. Dlatego pierwsze, co zrobił, to kazał im biec do schronu. Ale sam nie zagrał w nim zbyt wiele czasu. W niezbyt dobrej książce Toma Sileo „Ocalę cię” scena ta jest mocno udramatyzowana. Jeden z podwładnych wręcz sprzeciwia się dowódcy swojej drużyny. I zakazuje mu wyjścia ze schronu. Może był to jakiś sposób na to, żeby wytłumaczyć przyszłego bohatera, dlaczego złamał wszelkie procedury, co przecież nie jest standardem w amerykańskiej armii. Ollis poszedł walczyć bez hełmu, kamizelki kuloodpornej i z jednym magazynkiem.

Z łamania procedur musiał się też tłumaczyć generał Sokołowski. Gdy podjechał pod stanowisko dowodzenia i usłyszał wybuch, nie poszedł do TOC-u, ale chwycił pierwszego lepszego przebiegającego żołnierza i wymienił się z nim na karabin za swój pistolet. Żołnierza wysłał do schronu, a sam poszedł walczyć z talibami. Ta historia pełna jest takich zwrotów akcji. Dlatego w pewnym momencie

do obrony bazy biegnie kilku ludzi, którzy nie znali się osobiście. A wszystko, co ich łączyło, to chęć obrony innych. No i każdy miał za mało amunicji. Dokładnie po 30 naboju w magazynku.

10

W bardzo dobrej dla odmiany książce „Ocalony”, którą napisał kapitan Cierpica, historia opisana jest niemal sekunda po sekundzie. Jest atak. Jest chaos. Nad bazą ciągle unosi się wielki czarny grzyb, jak po wybuchu bomby atomowej. Ludzie są ogłuszeni, bo fala dźwiękowa też robi swoje. Biegają z różnych kierunków. Ale w jednym kierunku. Tam, gdzie w murze bazy zieje czarna, szeroka na 30 m dziura po wybuchu ciężarówki z kierowcą samobójcą. Przez nią wbiegają kolejni samobójcy. Choć są ubrani w mundury afgańskiej policji, to dosyć łatwo można ich rozpoznać. Ich uniformy są nienaturalnie wybrzuszone przez kamizelki z ładunkami wybuchowymi. Jest ich dziesięciu. Są uzbrojeni w karabiny i granaty.

Jeden z takich granatów będzie się toczył koło nóg Cierpicy. Ale nie wybuchnie. W wywiadach po ataku Cierpica będzie mówił, że nie wie, dlaczego granat nie detonował. Kilka lat później zmieni wersję. Granat nie wybuchł, bo Jezus miał wobec niego inne plany. Ale nie wyprzedzajmy wydarzeń.

Ludzie biegną bronić bazy. Czas w takich sytuacjach wariuje. Rzeczy, które normalnie dzieją się w ułamku sekundy, nagle ciągną się jak serial na Netflixie. W pewnym momencie Cierpica zostaje ranny. Nawet nie wie, w jakich okolicznościach. Po prostu jego nogi są całe we krwi. Ma krótkie spodenki, bo wracał z bieganina. Orientuje się, że rany są powierzchowne, więc wraca do walki. Znowu biegnie. Gdzieś obok niego inni. Ale – jak wspomina – w takiej chwili jesteś sam. I wtedy poczuł, że on sam jednak nie jest. Za nim biegł młody amerykański żołnierz o przyjacielskim spojrzeniu niebieskich oczu. I dał mu tymi oczami znak: „Jestem tu, wszystko OK”.

Jedyne zdanie, jakie naprawdę padło, brzmiało: „Stary, lecimy!”. Wypowiedział je 24-letni Michael Ollis do 37-letniego Karola Cierpicy. Nigdy wcześniej nawet się nie dostrzegli. W bazie było ponad 3 tys. ludzi. Polacy trzymali się raczej z Polakami, Amerykanie z Amerykanami. A teraz walczyli ramię w ramię. Braterstwo – to słowo, które bardzo często pada w opowieści o tych dwóch ludziach.



Kpt. Cierpica twierdzi, że życie uratował mu śmiertelnie ranny sierżant sztabowy Michael Ollis. Jego rodziców, Roberta i Lindę, nazywa swoją rodziną.

Mt 22, 37–40

Pełny magazynek to fraza żart. Przy ogniu ciągłym kończy się w kilka sekund. Przy seryjnym – po trzy strzały – to kilka dodatkowych sekund. Sekundy szybko mijają. Cierpica się orientuje, że nie ma już amunicji, orientuje się również, że za późno się zorientował. W książce szczegółowo to wszystko tłumaczy. Tam, na miejscu, po prostu rzuca karabin. Jest bezbronny. Jednak ktoś koło niego strzela i daje mu szansę, żeby ratował życie. To jest ten promyk nadziei. Nadzieję zdmuchuje jednak fala eksplozji. Cierpica opisuje to tak: „Znow ruszam biegiem. W tym momencie za moimi plecami rozlega się donośny huk wybuchu. Jego siła pcha mnie do przodu, padam na ziemię. Mało co widzę, wokół unosi się mnóstwo pyłu. Czy żyję? Dlaczego nie umarłem? Ktoś mi pomógł? Co ja powiem żonie? Śmierć była tak blisko. Wtedy jeszcze nie widziałem, jak blisko”.

Kilka minut później kolega z TOC-u zabiera rannego i ogłuszonego Cierpicę do szpitala. Wybiera amerykański, bo bliżej. A może tak miało się stać. Po paru minutach na łóżko obok trafia amerykański żołnierz. Ten sam, który biegł obok Cierpicy. Tylko że teraz te niebieskie oczy są już zgaszone i nieobecne. Nie trzeba być medykiem, żeby się zorientować, że z chłopakiem jest źle. W książce Sileo opisany jest tok myślenia amerykańskich lekarzy, którzy uznali, że próba uratowania Ollisa pochłonie całą zgromadzoną krew dla ewentualnych innych rannych. Zresztą szanse były właściwie żadne, więc nie decydują się na operację. To Ollis wziął na siebie całą siłę eksplozji, która o mało co nie zabiła również polskiego żołnierza. A teraz w jednym szpitalu jeden umierał, a drugi zmartwychwstawał. Tylko jeszcze

o tym nie wiedział. Zdołał jednak powiedzieć, że Ollis uratował mu życie. Tak narodziła się ta legenda.

2

Dwa lata później Cierpicy urodził się drugi syn. Dostał na imię Michael, po chłopaku, który uratował życie jego ojcu. Ale Karol mówi, że wtedy rodził się też on. Nowy człowiek, nowe życie w starym opakowaniu. Człowiek bez alkoholu, bez uzależnień, bez lęków, które zatruwały jego życie. – *Jezus Chrystus działa w niezwyklej sposób. Wysłał do nas apostołów, wysłał do nas aniołów. Michael był takim właśnie aniołem, który uratował, ale też pomógł odmienić moje życie. Jego rodzice, Robert i Linda, też są takimi aniołami* – opowiada Karol.

Na jednym ze zdjęć koło małego Michaela leży miś w pikselowych barwach mundurów amerykańskiej armii. Jednak to nie szare, beżowe i zielone kwadraty przyciągają uwagę, ale znaczek z napisem Ollis. Misia przysłali Robert i Linda, rodzice Michaela. Ludzie, o których kapitan Cierpica powie w swoim przemówieniu w Białym Domu: „moja druga rodzina ze Staten Island”. Ludzie, których płot do dziś ozdobił jest 24 amerykańskimi flagami, bo tyle lat miał ich syn, kiedy oddał życie za ojczyznę, ale też za nieznanego żołnierza z nieznanego Polski, bo – jak mówi – Bóg tak chciał.

Dużo, według niektórych nawet za dużo, o Bogu mówi sam Cierpica. Część weteranów to nawet razi. – *Karolowi odkręciła się śrubka w głowie* – mówi jeden z nich, poproszony o rozmowę o koledze z armii, i ucina dalsze pytania.

Cierpica osobiście słyszał takie zdania na swój temat. Nawet w rodzinnej wsi pod

Włoszczową niektórzy tak o nim mówią. Ale on się tym nie przejmując. Każdego dnia jest na mszy. Dopiero po mszy o szóstej rano idzie do pracy. Ale już nie w armii. Z wojska odszedł 11 lat temu. Każdy dzień kończy czytaniem Biblii i wspólną modlitwą z synami. Mówi, że choć razem wtedy klęczą, czują, że daje im to siłę, żeby rano iść mocno wyprostowani.

Jego żarliwe nawrócenie zajmuje dużą część tej historii. Opisał je w swojej książce. Tyle że droga do Jezusa usłana była demonami. Po drodze były antydepresanty. Pobyt w wojskowym szpitalu psychiatrycznym, 10 miesięcy nieprzespanych nocy. Alkohol, używki. Wszystko, przez co przechodzi wielu żołnierzy, dla których PTSD to coś więcej niż formułka z książek albo armijnych pogadanek. – *Jezus Chrystus musiał mnie złamać, musiał mnie pokonać, żebym mógł wstać z kolan, żebym mógł strząsnąć z siebie to całe zło, w którym tkwiłem* – wspomina po latach.

Boga nie zabrakło też w Białym Domu. Cierpica został tam zaproszony z rodziną na uroczystość uhonorowania sierżanta sztabowego Michaela Ollisa najwyższym odznaczeniem – Medalem of Honor. W oficjalnym programie nie było takiego punktu jak przemówienie polskiego żołnierza, któremu Amerykanin uratował życie. Ale kapitan Cierpica przygotował się i na taką okoliczność. – *Kiedy już przeszliśmy przez trzy kordony kontroli, powiedziałem, że mam przemówienie i jestem gotowy, żeby je wygłosić. Ktoś z BBN wziął ode mnie kartkę i gdzieś ją zaniósł. Kiedy wrócił, poprosił tylko, żebym skrócił to, co mam do powiedzenia. Najważniejsze powiedziałem: bo Jezus tak chciał* – dodaje polski oficer.

Trump stał obok i słuchał z wyraźnym przejęciem. Może gdyby przeczytał książkę polskiego żołnierza, to przejąłby się dużo mocniej, bo spora część tej opowieści jest również o tym, że wojna to zło, że każda wojna jest porażką nie tylko dyplomacji, ale również człowieczeństwa, a właściwie jest wbrew Bogu. Tylko czy polski kapitan, na którego nazwisku Donald Trump o mało nie połamał sobie języka, będzie takim apostołem, który wytłumaczy prezydentowi USA, że wojna to grzech? Czy po prostu Polak był kolejnym argumentem na poparcie słów, że w Afganistanie sojusznicy chowali się za plecami amerykańskich żołnierzy? I że amerykańscy żołnierze czasem giną w dalekich wojnach, jak właśnie teraz po ataku na Iran.

JULIUSZ CWIELUCH



film

Amoralny humor 5/6

Bez wyjścia (Eojjeolsuga eobsda), reż. Park Chan-wook,
prod. Korea Południowa, 139 min

Nowy film Parka Chan-wooka jest perwersyjnie elegancym traktatem o zbędności istnienia człowieka w świecie późnego kapitalizmu. Adaptując powieść „Ax” Donalda Westlake’a (ekranizował ją wcześniej Francuz Costa-Gavras), koreański reżyser porzuca operowy tragizm „Podejrzanej” czy „Służącej” na rzecz makabrycznej farsy, w której ceniony specjalista nieoczekiwanie zwolniony z wysokopłatnej posady w koncernie papierniczym (ciekawa rola **Lee Byung-huna**) wpada na pomysł, że najlepszym sposobem odzyskania upragnionego etatu jest pozbycie się konkurencji. Bohater stara się to osiągnąć z takim samym poświęceniem, z jakim wcześniej zarządzał produkcją. Choć porównania do „Parasite” narzucają się same, „Bez wyjścia”

przypomina czarną groteskę, w której walka klas zostaje zastąpiona kanibalizmem klasy średniej. To już nie jest starcie biednych z bogatymi, lecz desperackie gryzienie się po kosztach menedżerów o identycznych aspiracjach wyrażonych liczbą kredytów do spłacenia. Siłą filmu tkwi w jego amoralnym humorze. Park Chan-wook z surrealistyczną konsekwencją wykazuje, że tytułowy brak wyboru to nie obiektywna konieczność, lecz psychologiczna pułapka, która w imię ambicji i ochrony domowego ogniska przerabia przyzwoitego człowieka w seryjnego mordercę. To wina współczesnego systemu pracy, w którym utrata zatrudnienia jest tożsama z symboliczną kastracją i śmiercią społeczną. Bohater nie zabija z nienawiści, lecz z „logicznej konieczności”, co czyni film przerażającym studium alienacji. To opowieść o tym, jak system zmusza przyzwoitych ludzi do stawiania się potworami w imię ochrony normalności (rodziny, statusu). To kino dotkliwe, lśniące od technicznej perfekcji i przerażająco aktualne w dobie lęku przed automatyzacją – horror ekonomiczny ubrany w garnitur od krawca. Desperacja podszyta rozpaczą rzadko bywa tak atrakcyjna w oglądaniu.

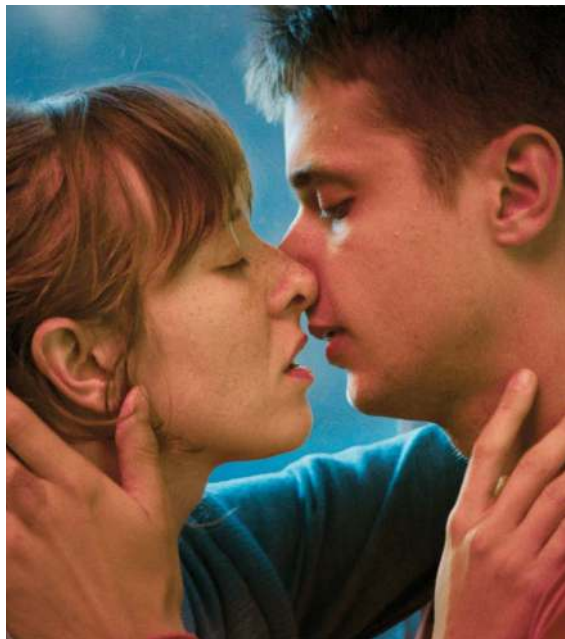
JANUSZ WRÓBLEWSKI

film

Zagubieni marzyciele 5/6

Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej, reż. Emi Buchwald,
prod. Polska, 90 min

Jeden z najciekawszych debiutów ostatnich lat, wprowadzający do polskiej kinematografii nowe spojrzenie na rodzinę, a jednocześnie badający zjawiska z pogranicza realizmu magicznego i etnograficznej baśni. Emi Buchwald określa go jako love story o rodzeństwie. To jednak nie wyjaśnia unikalnej estetyki, łączącej surową, niemal dokumentalną teksturę życia nowoczesnego miasta



i zagubionego w nim czworga młodych marzycieli ze światem pełnym głosów przeszłości i trudnych do wyrażenia pragnień. Niewątpliwie reżyserkę pociąga drapieżna współczesność, ale jeszcze bardziej nieprzystosowanie, emocjonalne splątanie bohaterów, którzy mimo prób uniezależnienia się od siebie nie potrafią albo nie chcą się uwolnić z sieci wspólnych doświadczeń, lęków i psychologicznego zakleszczenia. Film skupia się na postaciach o czystym sercu, swoją naiwnością i brakiem cynizmu obnażających okrucieństwo świata zewnętrznego. Zamiast klasycznej akcji otrzymujemy serię epizodów ukazujących dynamikę bratersko-siostrzanych relacji, która jest mieszkanką miłości, frustracji i nadopiekuńczości. Mądre, empatyczne kino z dojrzałymi kreacjami młodych aktorów, bez łatwych diagnoz. JW

Sherly Holmes 4/6

Młody Sherlock, reż. Guy Ritchie,
8 odc., Prime Video

Filmy Guya Ritchiego i serial z Benedictem Cumberbatchem okazały się wielkimi hitami, potem był więc m.in. Sherlock na emeryturze czy Sherlock jako starszy brat i mentor detektywki nastolatki. Czy „Młody Sherlock”, inspirowany powieściową serią Andrew Lane’a, którą na serial przełożyli Matthew Parkhill, Peter Harness i Guy Ritchie – ten ostatni rozwijał fabułę, jest producentem wykonawczym i reżyserem dwóch pierwszych odcinków – wnosi coś interesującego do uniwersum zapoczątkowanego przez Arthura Conan Doyle’a? Sherly (**Hero Fiennes Tiffin**) jest pyskатыm, stale pakującym się w kłopoty 19-latką o genialnym umyśle i z traumą z dzieciństwa. Żartów oduczyć ma go, jak ludzie się jego starszy brat Mycroft (Max Irons), pobyt w Oxfordzie, nie w charakterze studenta, tylko woźnego. Tam pozna m.in. przyszłego arcywroga Jamesa Moriarty’ego (**Dónal Finn**) – i ta relacja jest świetnie pomyślana i poprowadzona. Sherlock rozwiąże też swoją pierwszą sprawę, która zgodnie z regułami zacznie się od rzeczy z pozoru zwykłej – kradzieży chińskiego artefaktu, a okaże się mieć wielkie znaczenie: dla świata, dla rodziny Holmesów i przyszłości detektywa. A przy tym jest okazją do aktorskich popisów starszej generacji gwiazd, Colina Firtha i Josepha Fiennesa (prywatnie wujka Hero Fiennesa Tiffina). Ogląda się ten splot wątków i mieszaną tonów dramatycznych i komediowych z przyjemnością, akcja, choć ma nieco teatralny sznyt, trzyma tempo, a aktorstwo jest więcej niż przyzwoite.

ANETA KYZIOŁ



Teatr tempa 3/6

Stanisław Wyspiański, **Wyzwolenie**, reż. Maja Kleczewska,
Teatr im. Słowackiego w Krakowie

Krakowski „Słowak” i Maja Kleczewska zamykają tryptyk rocznicowy: „Dziady” miały premierę w 120-lecie prapremiery dramatu na tej scenie, „Wesele” i „Wyzwolenie” – w 123-lecie. Data symboliczna, na tyle lat Polska utraciła niepodległość. Niedawno w „Termopilach polskich” w Teatrze Narodowym Jan Klata lustro rozbiorów przystawiał dzisiejszej Polsce, równie skłóconej i zagrożonej działaniami Rosji. „Wyzwolenie” to podobne wezwanie do pobudki i podobnie ogólne. Chocholi taniec był motywem „Dziadów” i „Wesela”, w „Wyzwoleniu” bohaterowie – ta sama polska wspólnota podzielona, skłócona, skandująca i przekrzykująca się – jak w transie chodzą po olbrzymich schodach. Animacje wideo przywołują grobowce w podziemiach Wawelu i zdjęcia z różnych manifestacji. Konrada gra Mateusz Bieryt, ale jego kwestie wypowiada większość postaci i sens wielu gubi się w szybkim tempie (spektakl trwa niecałe dwie godziny). Wyspiański wykorzystał motyw teatru w teatrze do krytyki oswojonych konwencji, żądał teatru nowego, wyzwolonego i wyzwalającego. Kleczewskiej dobrze idzie krytyka: dużo w tym atrakcyjnie zrealizowanym spektaklu patetycznego śpiewania, które faktycznie dziś rządzi w teatrze, a reżyser – grany przez Krzysztofa Gluchowskiego, dyrektora „Słowaka”, w kostiumie Jokera, w którym był Stańczykiem w „Weselu” – swoją rolę kończy kwestią: „Mam dość teatru”. Co myśli reżyserka, jakiego teatru chce i jakiej wspólnoty – trudno odkryć. AK



Ile mistrza w uczniu 5/6

Przenikanie,
Witkacy Atelier,
Zakopane, do 31 marca

Przez wiele stuleci jedną z najważniejszych okoliczności definiujących artystyczne kariery było powiązanie malarza z mistrzem, który go kształtował, z pracownią, z której wyszedł. Stawiający na oryginalność wiek XX ową regułę niemal zatopił. Dziś można odnieść wrażenie, że absolwenci Akademii Sztuk Pięknych to bez wyjątku samouki, samodzielnie przechodzący cały proces edukacji. Rzadko też zdarzają się wystawy poświęcone relacjom uczeń–nauczyciel. Tym razem w roli



mistrza występuje prof. Maciej Świeszewski z gdańskiej ASP, pedagog od blisko pół wieku, uważany za jednego z najlepszych w kraju akademickich nauczycieli tajemnic malarzkiego warsztatu. Przy takiej wystawie łatwo byłoby się chwalić (wśród uczniów Świeszewskiego jest m.in. słynna Ewa Juszkiewicz) i jeszcze samemu zabłysnąć malarzką maestrią. W tym wypadku jednak głównym bohaterem jest blisko 20-osobowa grupa aktualnych podopiecznych artysty, a to, co zawisło na ścianach, uświadamia, jak

wiele z malarzkiego fachu – przy mądrym prowadzeniu – można nauczyć już studenta drugiego czy trzeciego roku. Ale czas studiów to także okres najbardziej intensywnego kształtowania się u młodych ludzi poglądów estetycznych, postaw wobec życia i sztuki. I to bodaj najciekawszy motyw wystawy: poszukiwanie owego tytułowego „przenikania”, ważenie, ile w tych obrazach własnej osobowości studentów, a ile charyzmy mistrza, ile uległości, a ile buntu.

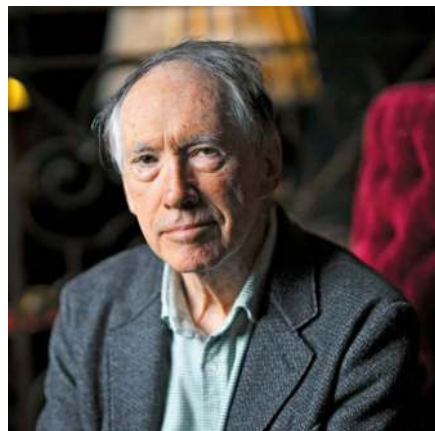
PIOTR SARZYŃSKI

książki Fragmenty książek na stronie: www.polityka.pl/czytelnia

Zagadka rękopisu 5/6

Ian McEwan, **Co możemy wiedzieć**, przeł. Andrzej Szulc, wyd. Albatros, Warszawa 2026, s. 415

Nowa powieść Iana McEwana pozostawia przestrzeń do przemyśleń o nas dzisiaj, o przyszłości i o związkach literatury i życia. Patrzmy tu na współczesność z przyszłości, z czasu po katastrofach, kiedy ludzkość mieszka już tylko na wyspach. Badacz literatury próbuje odnaleźć poemat, który w 2014 r. znany poeta Francis Blundy odczytał na urodziny żony. Słuchali ich przyjaciele, zbiór sonetów „Wieniec dla Vivien” istniał tylko w rękopisie, który autor podarował małżonce. Nie został opublikowany ani nikt go poza osobami obecnymi na kolacji nie przeczytał, mimo to zaczął obrastać legendą polityczną. Ów badacz z przyszłości zamienia się w biografa nieprzeczytanego poematu. A ma do dyspozycji gigantyczną dokumentację, bo wszystko, co trafiło do sieci,



Czuły i dosadny 4/6

Petr Šabach, **Ta kurewska miłość**, przeł. Julia Rózewicz, Wydawnictwo Afera, Wrocław 2026, s. 176

Wpisaniu krótkich próz najważniejszy jest dobry pomysł. A tych Petr Šabach zawsze miał co niemiara. Zbiór opowiadań „Ta kurewska miłość” dowodzi, że pod tym względem nic go nie ograniczało. Włamywacz natyka się w obrabianym mieszkaniu na małą dziewczynkę i czyta jej bajki. Motorniczcy bawi się z czekającym na przystanku pasażerem w kotka i myszkę. Najistotniejsze w opowiadaniach Šabacha jest to, że te zwykłe przygody mogłyby się przytrafić i nam. Siłą tych historii jest ich pozorna banalność, a także bohaterowie, zwyczajni i śmieszni w swojej nieporadności, ale zawsze idący przez życie z podniesioną głową. Nie da się ich nie lubić. Tytuł „Ta kurewska miłość” mówi w zasadzie wszystko. Pokazuje, że autor jak nikt inny potrafił łączyć to, co pozornie do siebie nie pasowało. Posiadał niezwykle rzadką umiejętność, która pozwalała mu w jednym opowiadaniu w wyjątkowy sposób spleść czułość i dosadność, żenit humor z tragizmem. Jego historyjki były zawsze czymś więcej niż anegdotą, przebiła z nich wyjątkowa mądrość. Jego teksty miały w sobie rubasznosc Haška, czuły liryzm Oty Pavla czy anegdotyczność wczesnego Hrabala. Ale też, niczym Kundera, potrafił zadziwić psychologicznym oglądem związków między dwojgiem ludzi. Bywał też cierpko nostalgiczny niczym Škvořecký, a nawet wykazywał kafkowską z ducha skłonność do alegorii. Na dodatek miał tak niebywałą lekkość takiego pisanie, że od razu chciało się to przenościć na ekran – to nie przypadek, że spora część czeskich filmów ostatnich dekad powstała w oparciu o prozę Šabacha. Ten zbiór pozwala więc zrozumieć, jak ogromną stratę poniosła czeska kultura wraz z przedwczesną śmiercią pisarza w 2017 r.

MACIEJ ROBERT



Przyszłość w przeszłości 5/6

Octavia E. Butler, **Dzikie nasienie**, przeł. Justyna Gardzińska, Wydawnictwo MAG, Warszawa 2026, s. 304

Jedna z najciekawszych autorek fantastyki naukowej Octavia E. Butler w Polsce ceniona jest za arcydzielną „Przypowieść o siewcy”, ale jej twórczość w znacznej mierze pozostaje u nas nieznana – ukazał się jeszcze zbiór „Xenogenesis” oraz kilka rozproszonych opowiadań. „Dzikie

nasienie”, otwierające (chronologicznie, powstało bowiem w 1980 r., czyli później niż inne części) sagę o Powiązanych, wypełnia zatem sporą lukę. I nie jest to lektura wyłącznie dla miłośników SF sprzed lat. Przeciwnie: Butler jawi się w niej jako pisarka w pełni ukształtowana – choć wtedy największe dzieła miała jeszcze przed sobą – a zarazem niedająca się zaszukadkować. W „Dzikim nasieniu” tematykę przynależną prozie fantastyczno-naukowej zamyka w kostiumie powieści historycznej. Losy dwojga ludzi obdarzonych wielkimi mocami – nieśmiertelnego Doro i zmiennokształtnej Anyanwu, połączonych trudną do rozerwania więzią wzajemnej miłości i nienawiści – rozpisuje na półtora stulecia, łącząc mitologię zachodnioafrykańskiego ludu Igbo z refleksjami na temat władzy i zależności, eugeniki, dystopijnych prób stworzenia społeczeństwa idealnego i ceny, jaką przychodzi za takie próby zapłacić. To proza, która wymyka się gatunkowym schematom, wciąż nowatorska, choć od premiery minęło ponad 40 lat.

JAKUB DEMIAŃCZUK

Lista obecności 5/6

Różni wykonawcy, **Help(2)**,
War Child Records

Za co cenić muzyczne projekty charytatywne? Nie zawsze za to, co realnie przynoszą ofiarom głodu i wojny, bo z efektywnością pomocy bywało różnie. Bardziej już za nagłaśnianie problemów i prezentację ducha czasów. „We Are The World” było historycznym portretem sceny muzycznej. Podobnie pierwsza część kompilacji „Help” z 1995 r. z Radiohead, Oasis i Portishead na pokładzie. Na jej kolejnej odsłonie „Help(2)” 21 lat później znajdziemy tych drugich, Beth Gibbons z Portishead, ale też grupę Pulp czy lidera Blur Damona Albarna, a do tego Arctic Monkeys, Fontaines D.C. i mnóstwo innych nazwisk, które pojawiły się między jedną a drugą składanką. Dominuje rock i folk, są covery – Depeche Mode ciekawie, na swoją modłę przerabiają klasyk Buffy Sainte-Marie „Universal Soldier” – ale kilkoro artystów prezentuje premierowe utwory. A przy okazji spotkania na liście obecności bardziej i mniej popularnych wykonawców ci drudzy – jak choćby grupa English Teacher – z powodzeniem wykorzystują szansę, by błysnąć. Ta podskórna rywalizacja to największa wartość wyjątkowego przedsięwzięcia, ale miejmy nadzieję, że dzieci w Sudanie, Gazie czy Ukrainie coś z tego będą miały.

BARTEK CHACIŃSKI

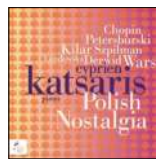


Starsi panowie dwaj 5/6

Cyprien Katsaris, **Polish Nostalgia**,
NIFI

Historia tej płyty nadaje się na opowieść: znany francuski wirtuoz o korzeniach cypryjskich zaprzyjaźnia się w Paryżu z cenionym polskim fizykiem (który wyjechał z Polski na fali antysemitkiej w 1968 r.), będącym w wolnych chwilach również znakomitym pianistą. Mają wspólną pasję: fortepianowe popisowe transkrypcje. Karol Penson pokazuje Cyprienowi Katsarisowi własne opracowania polskich przedwojennych piosenek. Katsaris doznaje olśnienia: przecież te piosenki, melodyjne i melancholijne, mają niemało wspólnego z Chopinem i tym, co kompozytor oddawał polskim słowem: żal. Obaj panowie skompletowali więc wspólnie płytę nie tylko z międzywojennych przebojów Petersburskiego czy Warsa, ale też z wywodzących się z tej estetyki powojennych piosenek Szpilmana, Sygietyńskiego czy Lutosławskiego (piszącego pod pseudonimem Derwid). W ten kontekst Katsaris wplotł młodzieńczy walc wielkiej klawesynistki Wandy Landowskiej, najsmutniejszą pieśń Chopina „Leci liście z drzewa” (także w opracowaniu Pensona), a kończy własną improwizacją na polskie tematy. Całość trochę jakby z luksusowej kawiarni, ale rozbija, a nawet wzrusza.

DOROTA SZWARCMAN



Pół słoika 3/6

Dżem, **Sobie potrzebni**,
S.C.L. Martinek i Wspólnicy

Jak na pierwszą od 15 lat nową płytę Dżemu, zespołu z ponad 50-letnią historią, „Sobie potrzebni” pojawiło się bez wielkiego szumu. A przełomów dla tego składu jest tu więcej, bo to pierwszy album z Sebastianem Riedlem – synem Ryszarda – przy mikrofonie, a przy okazji zestaw skomponowany przez różnych członków zespołu, ale do tekstów jednego autora – Mirosława Bochenka. Wbrew deklaracji o „zupełnie świeżym Dżemie” rzuconej przez Riedla, tym przełomom nie towarzyszy jednak żadna muzyczna wolta. Pierwsza część ma nieco bardziej rockowy charakter, mocne refrezy „Idzie lepsze” czy „Duszy” niosą bardzo schematyczne i dość ciężkie rytmiczne kompozycje. Część druga to więcej bluesowej lekkości i swobody, ale tu z kolei ceną jest przebojowość i brak świeżości na poziomie brzmienia. Może zabrakło odwagi albo zewnętrznej pomocy, ale granice konwencji boleśnie ograniczają to, co ze stylem Dżemu da się tu zrobić, mimo najlepszych chęci pozostałej w składzie zagłogi. Dla fanów oznacza to być może słoik do połowy pełny, dla niewtajemniczonych – do połowy pusty. Lub, co gorsza, zupełną niewidzialność. BCH



nie przegap



Zniknięcie, reż. George Sluizer,
już w kinach

Młody Holender latami poszukuje żony, która zaginęła podczas wakacji we Francji, aż wreszcie musi skonfrontować się z jej porwycazmem. Zrealizowany w 1988 r. film, którym holenderski reżyser George Sluizer zapewnił sobie stałe miejsce w historii kina, to nie tylko pierwszorzędnny thriller, lecz także przejmująca refleksja na temat banalności zła. Gatunkowy majstersztyk, w którym napięcie budowane jest nie poprzez mnożenie zagadek i gwałtownych zdarzeń, lecz dzięki mistrzowsko prowadzonej narracji. JD



Mariusz Kruk, Idzie Grzeź przez wieś...,
Galeria Artis, Poznań, do 15 maja

WPoznaniu **Mariusz Kruk** to artysta o statusie niemal kultowym, a wystawa ma charakter skondensowanej retrospektywy, rozciągającej się od pogodnych akryli z przełomu lat 80. i 90. XX w., po intrygujące instalacje z ostatnich dekad. Ktoś kiedyś zauważył, że jego prace nie dają żadnych odpowiedzi, ale zadają mnóstwo pytań. Dodać można: dostarczają wizualnych łamigłówek, za którymi mogą kryć się bunt i akceptacja, struktura i chaos, wszystko i nic. To zależy wyłącznie od wrażliwości odbiorcy. PSA



Paul McCartney: Man on the Run,
reż. Morgan Neville, Prime Video

Kto pierwszy odszedł z The Beatles? Od tego pytania rozpoczyna się ta dokumentalna próba spojrzenia na ścieżkę **Paula McCartneya** po rozpadzie słynnej czwórki. W jego wypadku próba usunięcia się w cień została dosłownie wzięta za śmierć, a kariera w latach 70., prowadzona trochę pod prąd show-biznesu, przyjmowana była bez euforii. Morgan Neville znajduje sposób, by tę historię opowiedzieć ciekawie i efektownie, bez dominacji ekranu przez „gadające głowy”. BCH

Trzęsienie ekranu



JAKUB DEMIAŃCZUK

Świat filmu czeka na rozdanie Oscarów, lecz z równym napięciem śledzi proces przejmowania studia Warner Bros. przez Paramount. Hollywood ery Trumpa przechodzi kontrrewolucję, tracąc dawny blask.

W przełomowych dla kultury momentach komentatorzy czasami odwołują się do piosenki „Video Killed the Radio Star” grupy The Buggles, przypominając, że warto poczekać na ostateczny efekt, bo przecież okazało się, że teledyski nie zabiły radiowych gwiazd, podobnie jak streaming nie zabił (jak dotąd) kina. Tyle że radykalne zmiany rzadko bywają w ten sposób zero-jedynkowe. MTV może zmieniła rynkowe reguły gry, ale nie zabiła radia – za to sama niedawno dokonała żywota jako nośnik muzycznych treści. Ani telewizja, ani łatwo dostępne nośniki fizyczne (od kaset VHS po płyty Blu-ray), ani nawet globalne serwisy streamingowe nie wykończyły Hollywood, ale każda z technologicznych rewolucji wymuszała na producentach i studiach daleko posunięte zmiany – nie mniejsze niż upowszechnienie filmu dźwiękowego w latach 20. ubiegłego wieku.

Reżyser Ryan Coogler (stoi) na planie „Grzeszników”. Film dostał 16 nominacji do Oscara.



Niewykluczone jednak, że Hollywood stoi właśnie u progu największych zmian od stulecia, a wszystko za sprawą splotu technologii, obyczajów, wielkiej polityki i jeszcze większych pieniędzy.

Oligarchowie kina

Przynajmniej od dekady kino przeżywa kolejne wstrząsy: wzrost konkurencji ze strony streamingu, kilkuletnia zapaść wywołana pandemią, wykorzystanie systemów generatywnej sztucznej inteligencji to problemy, z którymi muszą się mierzyć twórcy na całym świecie. Hollywood może do tej listy dopisać niedawne strajki scenarzystów i aktorów, a także polityczną niepewność prezydentury Donalda Trumpa.

Amerykańskie kino głównego nurtu było w ostatnim czasie kojarzone raczej z poglądami progresywno-liberalnymi (nawet jeśli w bezpiecznym, zachowawczym wydaniu), teraz jednak część

twórców zdecyduje się albo na skręt w prawo, albo w najlepszym razie na polityczną neutralność. Dotyczy to także aktorów: retoryka, którą producenci mogą uznać za zbyt skrajnie lewicową, może przecież zamknąć drzwi do produkcji studia MGM (należącego obecnie do Jeffa Bezosa) czy Paramount Skydance (którego szefem jest znany z pro-Trumpowskich sympatii David Ellison; o rodzinie Ellisonów pisaliśmy w POLITYCE 39/25).

Przesada? W żadnym wypadku: meksykańska aktorka Melissa Barrera została wyrzucona z planu horroru „Krzyk 7” za wypowiedzi oskarżające Izrael o ludobójstwo popełniane w Palestynie. Z podobnego powodu jedna z agencji aktorskich rozwiązała umowę z Susan Sarandon. Za krytykę poczynań prezydenta Trumpa swój talk-show w telewizji CBS stracił natomiast Stephen Colbert (ostatni odcinek zostanie wyemitowany w maju, gdy kończy się umowa showmana ze stacją) – program rzekomo został zdjęty ►

► z powodu niskiej oglądalności, ale to wytłumaczenie, w które w Stanach Zjednoczonych nie wierzy chyba nikt. Bardziej istotne jest to, że CBS należy obecnie do Paramountu, któremu zależy na przychylności Białego Domu w realizacji kolejnych zakupów. Gdy w ubiegłym roku zapadła decyzja o skasowaniu talk-show Colberta, Paramount toczył jeszcze z Netflixem walkę o Warner Bros. Discovery. Dziś wiadomo, że Netflix się z tego pojedynku wycofał.

Przejęcie WBD przez Paramount to teraz w Hollywood temat numer jeden, także w związku ze zmianami, jakie za sobą pociąganie. Do ostatecznej decyzji o połączeniu gigantów jeszcze daleka droga, zgodę muszą jeszcze wyrazić akcjonariusze WBD (z czym nie powinno być problemu) oraz organy regulacyjne, w tym Departament Sprawiedliwości USA oraz Komisja Europejska. Amerykańscy analitycy przewidują, że do ostatecznego połączenia powinno dojść najpóźniej za rok, choć sam Ellison wyznaczył termin wrześniowy, żeby zdążyć przed listopadowymi wyborami do Kongresu, które przy spadającym poparciu dla Trumpa – a co za tym idzie także dla Republikanów – mogą zmienić układ sił w Izbie Reprezentantów. To ważne, bo wraz ze studiem filmowym w ręce Ellisona trafi cały pakiet serwisów internetowych i stacji telewizyjnych, w tym jedna z największych: CNN.

Skarbiec Warnera

Nie po raz pierwszy jedno z największych hollywoodzkich studiów wchłonie inne. Podobne przejęcia zdarzały się w historii amerykańskiej rozrywki kilka razy. Koncern Disneya – który swoją drogą od 18 marca będzie zarządzany przez nowego szefa: Boba Igera zastąpi na tym stanowisku Josh D'Amato – po kolei zasysał wielkie marki (Lucasfilm, Marvel Entertainment), by w 2019 r. kupić studio 20th Century Fox. Gdy Netflix złożył swoją ofertę na kupno Warnera, głównym powodem do obaw była postępująca „streamingizacja” filmu jako rozrywki, choć szef serwisu Ted Sarandos obiecywał zachowanie Warnera jako osobnej marki, wyrażając też chęć rozszerzenia działalności kinowej (na ile były to wiarygodne obietnice, to już osobna sprawa). Fuzja Paramountu i Warnera budzi niepokój z innych powodów: zapowiadanych już masowych zwolnień (pracę w branży może stracić nawet kilka tysięcy osób), niepewnej przyszłości serwisów VOD (HBO Max, Paramount+ i kilku mniejszych), wreszcie widma politycznych nacisków ze strony Białego Domu i skrajnej prawicy.

Pozbycie się Colberta było tylko początkiem: CBS News pod kierownictwem Bari Weiss (niegdyś dziennikarki kulturalnej i politycznej „The Wall Street Journal”, „The New York Timesa” oraz „Die Welt”), odpowiadającej bezpośrednio przed Ellisonem, już zmieniło polityczny profil na bardziej przychylny Trumpowi. Wraz z WBD w rękach Ellisona znajdzie się m.in. bardzo krytyczna wobec obecnej administracji telewizja CNN, a także nasz TVN. Oczywiście nie można mieć pewności, jak mocno wpłynie to na linię polityczną konkretnych stacji, zwłaszcza tych nieamerykańskich. „Polska prawica już snuje na X fantazje o tym, jak nowi właściciele dokonują siłowego przestawienia ideologicznej zwrotnicy stacji i zmieniają jej sympatie na PiS-owskie. Wcale nie musi się tak jednak stać. O ile Ellisonowie mają interes w tym, by żyć dobrze z Trumpem, to niekoniecznie priorytetem będą dla nich dobre stosunki z Nowogrodzką. Tym bardziej że taki zwrot, zwłaszcza dokonany nagle i po bandzie, oznaczałby najpewniej odpływ widzów, dziennikarskich talentów i reklamodawców” – pisał na łamach Wirtualnej Polski Jakub Majmurek.

„Niewykluczone też, że nowy właściciel nie będzie w ogóle zainteresowany naszym regionem i sprzeda TVN komu innemu”.

Paramount, należący do piątki największych studiów filmowych w Hollywood, od kilku lat znajdował się w kryzysie. W ciągu ostatniej dekady tylko kilka produkcji studia trafiło do czołowej dziesiątki najbardziej dochodowych tytułów roku i były to kolejne części „Mission: Impossible” albo serii „Sonic: Szybki jak błyskawica” oraz jeden rzeczywiście chwalebny wyjątek, czyli „Top Gun: Maverick”, który po pandemicznej zapaści zarobił blisko 1,5 mld dol. Z niewielką jedynie przesadą można powiedzieć, że Paramount na swoich barkach dźwigał Tom Cruise do spółki z animowanym jeżem z gier wideo.

Podupadające studio kupił w 2024 r. Ellison, formalnie łącząc je ze swoją firmą producencką Skydance (która zresztą współpracowała z Paramountem od 2009 r.). Kosztowało go to 28 mld dol. Za przejęcie Warnera będzie musiał zapłacić ponad cztery razy więcej: 110 mld dol., do tego 2,8 mld dol. dla Netflixu za sam fakt odstąpienia od rywalizacji. Dla porównania produkcja (bez kosztów promocji) najdroższego filmu w historii – „Gwiezdne wojny: Skywalker. Odrodzenie” – pochłonięła ok. 490 mln dol. Za kwotę, jaką – w gotówce, nie w aktywach – ma zapłacić Ellison za przejęcie WBD, można byłoby go nakręcić 224 razy!

Davidowi Ellisonowi Warner jest jednak potrzebny nie tylko ze względów politycznych, lecz również dla prestiżu gwarantowanego przez bardzo bogaty katalog z dochodowymi franczyzami, takimi jak „Harry Potter”, „Władca Pierścieni” czy uniwersum superbohaterów z DC Comics, oraz z ponadczasową klasyką: od „Casablanki” po filmy Stanleya Kubricka. Filmy produkowane przez Warnera zgarnęły w tym roku 30 nominacji do Oscarów, czyli... dokładnie o 30 więcej niż produkcje Paramountu.

Hity, które już znamy

Tymczasem Hollywood, niezależnie od zamieszania wywołanego fuzją gigantów, coraz bardziej przypomina gigantyczną katarzynkę, która wygrywa wiecznie ten sam motyw muzyczny. Gdy patrzemy na rozdanie Oscarów, zachwycamy się 16 nominacjami dla „Grzeszników” czy sukcesami europejskiego bądź azjatyckiego kina, musimy pamiętać, że nagrody Akademii wciąż skupiają się na kinie w mniejszym lub większym stopniu autorskim i nawet zarobione przez „Grzeszników” imponujące 370 mln dol. to z punktu widzenia całego filmowego przemysłu w gruncie rzeczy niewiele. Bo Hollywood największe pieniądze zarabia na widzach, którzy niczym inżynier Mamoń lubią to, co już dobrze znają. W pierwszej dwudziestce najbardziej dochodowych filmów w dziejach kina tylko jeden – „Titanic” Jamesa Camerona – nie jest częścią serii albo rozrywkowej franczyzy. Oryginalność w amerykańskim kinie dawno przestała się opłacać.

Na dodatek wydaje się, że twórcy tacy jak Steven Spielberg, George Lucas, Robert Zemeckis czy Peter Jackson, którzy przez lata nadawali kształt hollywoodzkim blockbusterom, z powodzeniem łącząc komercyjne walory z autorskim podejściem do kina i autentyczną pasją, nie mają następców wśród młodszych pokoleń. Najlepsi albo na jakiś czas zniknęli z horyzontu (jak J.J. Abrams czy Taika Waititi, choć akurat obaj w tym roku wrócą do kin z nowymi produkcjami), albo nowe produkcje kręcą dla Netflixu (jak Greta Gerwig, Guillermo del Toro i Rian Johnson), albo wreszcie nie potrafią się uwolnić z okowów gatunku, w którym utknęli (jak James Gunn, już chyba na zawsze skazany na kręcenie filmów o superbohaterach) – zresztą o każdym z tych



Kadr z planu nagradzanego (m.in. Złotą Palmą w Cannes) filmu „To był zwykły przypadek” Irańczyka Jafara Panahiego – dwie nominacje do Oscara

reżyserów trudno mówić jako o nadziei Hollywoodu. Są na szczęście wyjątki: na jednego z najważniejszych twórców wyrósł Ryan Coogler, reżyser „Grzeszników”, który zaczynał w kinie niezależnym, a potem udowodnił, że jest w stanie nakręcić kasowy blockbuster, nie rezygnując z autorskiego stylu („Creed”, „Czarna Pantera”). Ewentualny oscarowy sukces „Grzeszników” mógłby przypieczętować jego wysoką pozycję. Ale i on nie może uniknąć hollywoodzkiej sequełozji: obecnie pracuje nad serialowym rebootem „Z archiwum X” oraz trzecią częścią „Czarnej Pantery”, oryginalne projekty odłożył na dalszą przyszłość.

W przebojowym serialu Apple TV „Studio” Seth Rogen gra producenta odpowiedzialnego za film o Kool-Aid Manie, maskotce reklamowej popularnego napoju. Celna satyra na hollywoodzką pazerność dostała swoisty – choć niepowiązany fabularnie – epilog. Ta sama Apple TV wyprodukowała film „Matchbox: The Movie”, którego premiera została zaplanowana na październik. Zbieżność tytułu z nazwą producenta resoraków nie jest oczywiście przypadkowa.

W prawo zwrot

Coraz wyraźniejszy staje się także konserwatywny zwrot Hollywoodu. Ci, którzy nie chcą drażnić Trumpa, wygaszają polityczne tematy, niewiele gwiazd decyduje się na krytykę Białego Domu (więcej na ten temat pisaliśmy w POLITYCE 35/25), a w nadchodzącym czasie można liczyć na wzrost liczby wysokobudżetowych filmów o tematyce patriotycznej, budujących morale wyznawców MAGA lub uzasadniających konieczność amerykańskiej interwencji w tym czy innym kraju. Bez wątpienia ktoś już pracuje nad scenariuszami o porwaniu prezydenta Wenezueli Nicolasa Maduro czy o bombardowaniu Iranu jako jedynym sposobie na rozwiązanie kryzysu bliskowschodniego.

Do łask wracają też filmowcy, których kariery zostały przerwane przez obyczajową rewolucję spod znaku #MeToo. Prawica zresztą zawsze uważała ich za ofiary *cancel culture*, więc ochoczo ich wspiera. Brett Ratner, wielokrotnie oskarżony o gwałt i molestowanie seksualne, mocno obecny także w udostępnionych do tej pory aktach Epsteina, zanotował już pierwszy sukces w postaci pracy nad dokumentem „Melania”, a obecnie przymierza

się do realizacji czwartej części sensacyjnej komedii „Godziny szczytu”. Perfidia losu sprawiła, że karierę Ratnera kilka lat temu zakończyło studio Warner Bros., które zerwało z nim kontrakt po oskarżeniach wysuwanych wobec reżysera przez kolejne ofiary. A teraz został do „Godzin szczytu” zatrudniony przez Paramount.

Konserwatywni przedstawiciele branży postanowili też przebaczyć scenarzyście Maxowi Landisowi, przez kilka kobiet oskarżanemu o gwałty, manipulację, przemoc fizyczną i psychiczną (do części zarzutów się przyznał). Po latach niebytu dostał niedawno zlecenie pracy nad nowym filmem z serii „G.I. Joe”. Produkcja ma powstać – tu chyba nie będzie zaskoczenia – dla studia Paramount.

Zbliżające się rozdanie Oscarów znów będzie okazją do celebracji kina. Może okaże się również platformą do wyrażenia politycznego sprzeciwu – łatwo sobie wyobrazić, co mogłoby się dziać, gdyby statuetkę otrzymał Irańczyk Jafar Panahi („To był zwykły przypadek”) albo słynący z antytrumpowskiej retoryki Brazylijczyk Kleber Mendonça Filho („Tajny agent”) – bardziej jednak prawdopodobne, że jak w poprzednich latach krytyczne głosy będą nieliczne i stonowane. Z pewnością jednak nie dowiemy się, w jakim kierunku ostatecznie pójdzie Fabryka Snów. A zmiany są nieuniknione: hollywoodzki pejzaż coraz bardziej przypomina starcie korporacyjnych behemotów okładających się nawzajem filmowymi franczyzami. Niewykluczone też, że samo Hollywood wkrótce przestanie być globalnym hegemonem: najbardziej kasowym filmem ubiegłego roku była przecież chińska animacja „Ne Zha 2. W krainie potworów”, która w światowym box office wyprzedziła drugą część „Zwierzogrodu” o blisko 500 mln dol. Taka sytuacja zdarzyła się dopiero drugi raz w historii (w 2020 r. na szczycie hitów było anime „Demon Slayer: Mugen Train”, lecz tamten sukces był przede wszystkim wynikiem covidowej zapaści rynku), a chińska kinematografia choćby ze względów demograficznych będzie w podobnych zestawieniach pojawiać się częściej.

Stulecie Oscarów, które będziemy obchodzić za dwa lata, może się więc odbywać w zupełnie innych okolicznościach.

JAKUB DEMIAŃCZUK



BARTEK CHACIŃSKI: – „Muzyka taneczna”
– jak to będzie brzmiało po podlasku?
NICZOS: – Muzyka tancioalna.
**Muzyka do zabawy, ale nastroje już
nie zawsze. Jak na was i na waszą pracę
wpływał kryzys uchodźczy na granicy
białoruskiej?**

SW@DA: – Na pewno mocno to nas dotknęło. Z jednej strony mamy przyjaciół, którzy pomagali uchodźcom w lesie, byli tacy, którzy dużo o tym pisali czy organizowali zbiórki, jak Mirek Miniszewski, ale wiem też o takich historiach, że ludzie z jednej strony pomagali, ale ich brat, siostra czy kuzynka pracowali w Straży Granicznej. I czasem dochodziło w jednej rodzinie do spotkań ludzi z dwóch różnych stron barykady. Więc na pewno wpływało to na nas – parę razy zostaliśmy poddani dodatkowej kontroli – choć nie wiem, czy na naszą muzykę. Jeśli tak, to podświadomie. Ale było to na Podlasiu jeden z mocnych tematów. Polska znalazła się w podobnym miejscu jak wcześniej Włochy czy Grecja. Tylko tamte przypadki oglądaliśmy w telewizji, a ten mieliśmy na własnym podwórku.

**Wasza muzyka jest z założenia
wielokulturowa, a tu pojawił się
mocniej temat wielokulturowości,
choć dotyczył ludzi przepychanych
przez białoruskie służby graniczne.**

S.: – Najmocniej dotknęliśmy tematu, kiedy Joanna Troc zaprosiła nas do napisania muzyki do spektaklu „Mały doktor wrócił” poświęconego dyrektorowi szpitala w Bielsku Podlaskim. Jest Kurdem, skończył medycynę w Białymstoku, pewnie w latach 80. czy 90., i nagle ta jego rzeczywistość, którą zostawił daleko ze sobą, zapukała mu do drzwi. Bardzo mocno wypowiadał się na temat tych działań zachęcających do przybycia tutaj. Pojawił się nawet w telewizji irackiej – z własnej inicjatywy apelował, żeby nie wierzyć

Wszystko smutne jak grecka tragedia,
ale co tam, wytańczysz to – mówią członkowie
duetu **Sw@da x Niczos**, laureaci Paszportu
POLITYKI w kategorii muzyka popularna

Po swojemu

Niczos (Nika Jurczuk) – wokalistka, raperka
i skrzypaczka. Urodzona w Bielsku Podlaskim.

Sw@da (Wiktor Szczygieł) – producent
muzyczny, także Podlasiak.
Płyta duetu Sw@da x Niczos „#InDaWoods”,
opublikowana późną jesienią 2024 r.,
została nominowana do Fryderyka,
a w lutym 2025 r. utwór „Lusterka”
w finale krajowych eliminacji
Konkursu Piosenki Eurowizji
przegrał tylko z piosenką
Justyny Steczkowskiej.



PARTNER KATEGORII



tym ludziom, którzy ściągaają przybyszów na granicę.

Odkrywacie na nowo zapomnianą historię Podlasia, trochę jak Aneta Prymaka-Oniszk, której POLITYKA przyznała Nagrodę Historyczną za książkę „Kamienie musiały polecieć”...

N.: – Znamy się, ostatnio nawet się przypadkowo spotkaliśmy w lesie.

S.: – Na przechadzce. Pozdrawiam! Ona na pewno należy do Podlasie Bounce Crew.

W wolnym tłumaczeniu: Podlaski Skład Taneczny. Temu środowisku dziękowaliście na Paszportach. Co się za tym kryje?

N.: – To ludzie, którzy wspierają nas przez całą naszą drogę. Niektórzy tylko czują się częścią tej załogi i to już bardzo dużo, ale mamy mnóstwo osób, które nam pomogły. Nawet zwykłym słowem, bo my tak naprawdę od początku robiliśmy wszystko sami, a wokół ludzi, którzy nam pomagali, wytworzyła się wspólnota.

W naszym podkaście historycznym Prymaka-Oniszk opowiadała o różnych wariantach mikrojęzyka podlaskiego – że w Sokółce mówią „po prostu”, a już pod Bielskiem Podlaskim „po swojemu”.

N.: – Myślę, że każdy powie chyba inaczej. W okolicach Bielska spotykam się z określeniem „po swojemu”. To jest najczęstsze i w ogóle tak się wychowywałam, a określeń typu „język podlaski” czy „mikrojęzyk podlaski” zaczęłam używać niedawno przy okazji Eurowizji i towarzyszących konkursowi wywiadów. Na pewno są różnice w samym języku, ale wszyscy są w stanie się dogadać.

Podczas eliminacji do Konkursu Piosenki Eurowizji mieliście świetny odbiór, zdobyliście utworem „Lusterka” drugie miejsce – tuż za Justyną Steczkowską – ale doczekaliście się też niechętnych komentarzy, włącznie z oskarżeniami o banderyzm. Dalej się pojawiają?

S.: – Na pewno w mniejszym stopniu, już tak tego nie odczuwamy. Wtedy było to związane z tym, że mieliśmy szansę na reprezentowanie Polski w konkursie, a posługujemy się językiem mniejszości. Gdy ktoś przy okazji naszego utworu przywoływał Bandere, był to totalny absurd. Tego, że takie strachy siedzą w ludziach, to nawet nie wiedziałem.

N.: – Ciągłe oczywiście zdarzają się komentarze typu „Co to za język?”, ale też zdecydowanie mniej.

Zaraz, ale Justyna Steczkowska, która wygrała, część tekstu śpiewa

po angielsku. Bliższa nam jest już kultura polsko-białoruskiego Podlasia!

S.: – To jest paradoks. Ostatecznie plusów tego zainteresowania sytuacją było więcej. Widzimy, jak wpływa na sam język.

N.: – Zaczęło się dużo dziać wokół niego. Powstają podkasty, spektakle i książki – choćby podlaskie wydanie „Małego Księcia” przełożonego przez Jana Maksymiuka jako „Mały Prync”. To są takie miłe rzeczy, które się wydarzyły w ciągu tego roku. Nie wiem, na ile my się do tego przyczyniliśmy, ale na pewno idzie to w fajną stronę.

Z drugiej strony białoruski reżim umieścił was na swojej liście ekstremistów.

S.: – Musieliśmy uprzedzać naszych słuchaczy z Białorusi, żeby nas przestali obserwować, bo mogą mieć z tego powodu choćby problemy na granicy. Oczywiście przy okazji dostaliśmy bardzo dużo głosów wsparcia od znajomych Białorusinów, którzy też są na tej liście: „Gratulacje, że też jesteście terrorystami, ekstremistami, witamy w klubie”.

N.: – Białorusini byli z nami i wspierali nas na TikToku od samego początku. Pojawiają się na koncertach, czasem stanowią połowę widowni. Ale nie możemy zagrać w Mińsku. A granicy też lepiej nie przekraczać z włączoną muzyką Sw@da x Niczows w samochodzie.

Sw@da, jesteście z rodziny polsko-kolumbijskiej, czy to pochodzenie miało wpływ na twoją muzykę?

S.: – To może nie tyle rodzina, ile raczej spadek genetyczny. Bo ja nigdy nie poznałem mojego biologicznego ojca, widziałem go tylko na zdjęciach. Muszę jednak przyznać, że nawet nie zauważyłem, kiedy poszedłem muzycznie w tę stronę, gdy tylko usłyszałem po raz pierwszy reggaeton czy baile funk. Ale to musiało być bardzo, bardzo wiele lat temu i pamiętam, że chłopaki grający hip-hop dogryzali mi, że „co ty tam wyciągasz”. To było jeszcze zanim TikTok sprawił, że brazylijski baile funk stał się po prostu globalnym nurtem. Nie wiem, czy geny miały tu znaczenie, ale okazało się to dla mnie bliskie.

A jak się poznaliście?

S.: – W 2019 r. wymyślałem już rzeczy z pogranicza szeroko rozumianej światowej muzyki tanecznej i naszego Podlasia. Spodobały się organizatorom festiwalu Polskiego Radia Nowa Tradycja i zaprosili mnie do wzięcia udziału w konkursie. Mogłem wystąpić z laptopem albo zrobić to w żywej formie. I odezwałem się

do naszej znajomej Magdy Pietruk, a ona poleciła mi właśnie Nikę i jeszcze Wiołę z zespołu Żemerwa. Zostałem wtedy laureatem tego konkursu. Od tego czasu zaczęliśmy się regularnie spotykać, żeby pracować, czy ja miałem do zrobienia ścieżkę dźwiękową do filmu, czy coś innego, do czego potrzebny był biały głos.

I wtedy pojawił się pomysł wykorzystania dialektu podlaskiego w muzyce?

S.: – Siedzieliśmy, słuchaliśmy, pracując nad nową muzyką, i zachwyciło mnie to, jak melodyjny jest to język i jak dobrze łączy się z baile funkiem. Dla Niki był zresztą naturalnym kierunkiem.

N.: – Ja to nawet nie pomyślałam, że mogę śpiewać tak zwyczajnie po polsku. Dla mnie biały śpiew kojarzy się automatycznie z językiem podlaskim.

W tym czasie występowałaś już z polsko-białoruskim zespołem Hajda Banda?

N.: – Ja wtedy siedziałam już w Warszawie, działałam z Hajdą Bandą, a do Białegostoku przyjeżdżałam co jakiś czas do studia do Sw@dy. Dla mnie wszystko się zaczęło od muzyki instrumentalnej, od skrzypiec, śpiewać białym głosem zaczęłam później. Po drodze było dużo różnych zespołów mniej lub bardziej tradycyjnych czy właśnie białoruskich i ukraińskich, ale kiedy wyjechałam na studia do Warszawy, nie chciałam stracić kontaktu z muzyką, stąd też współpraca z Hajdą Bandą. Występowałam z nimi do końca tamtego roku, właśnie grają pierwsze koncerty beze mnie.

Masz jeszcze dzienną pracę?

N.: – Zakończyłam ją w poprzednim roku. Właściwie to był taki rok finalizowania różnych rzeczy, jedynie ta magisterka dzisiaj. No i teraz poświęcam się już temu projektowi w 100 proc.

S.: – Paszporty POLITYKI raczej nie przyczyniły się do tego, żebyśmy brali urlop, raczej przyspieszyły nam tempo.

N.: – Więc na razie zostawiam to wszystko za sobą jak coś, do czego będzie można wrócić.

Jaki był temat tej pracy magisterskiej, którą obroniłaś?

N.: – Pisałam o systemach rekomendacyjnych, odnosząc się np. do Spotify, ale na podstawie wizualizacji muzyki. Czyli o tym, w jaki sposób algorytmy takich serwisów czerpią z historii innych użytkowników, ale poprzez analizę rozkładu muzycznych częstotliwości w czasie, a nie metadane dołączone do utworu. ►



► **Czyli zajmujesz się jako informatyczka kluczowym tematem dla środowiska muzycznego. Czy niedługo tylko sztuczna inteligencja będzie w stanie odróżniać muzykę stworzoną przez algorytmy od pracy ludzkiej?**

N.: – Na platformach streamingowych już w tej chwili sztuczna inteligencja pomaga oznaczać treści stworzone za pomocą AI. Ciekawe jest dla mnie to, czy ludzie dalej będą tej wygenerowanej muzyki chcieli słuchać.

S.: – I nie tylko muzyki. Zastanawiam się, czy za 10, 20 lat będziemy woleli obejrzeć serial, który stworzyli jacyś artyści i coś chcieli nam za jego pomocą powiedzieć, czy jednak wybierzemy serial wygenerowany w pięć minut, za to idealnie odpowiadający naszemu stanowi psychicznemu w danej chwili, odnoszący się do naszych przeżyć, korespondujący z tym, co się dzieje w naszym życiu.

Kiedy kontynuacja waszej płyty „#InDaWoods”?

N.: – Zamierzamy w tym roku skończyć kolejny album i mam nadzieję, że uda się go wydać jesienią. Chcemy zaprosić do współpracy innych artystów, a oprócz samego albumu stworzyć i dopracować coś bardziej jak performans, rytuał niż koncert.

A jaki będzie ten nowy materiał w stosunku do pierwszego?

N.: – Mnie się wydaje, że teraz szukamy czegoś w rodzaju płaczu przez taniec. Działa na nas to, gdy z jednej strony utwór jest, powiedzmy, taki bardziej z tych smutniejszych, ale ma w sobie coś takiego, że mimo wszystko chce się tańczyć.

S.: – Taniec ze łzami w oczach to chyba najlepsze, co można uzyskać na poziomie emocjonalnym. Takie pozornie rozbieżne emocje mogą być bardzo oczyszczające.

W kulturze latynoamerykańskiej rozpacz i euforia często ze sobą sąsiadują.

S.: – Tak. Ale to jest bardziej uniwersalne. W naszej tradycji również się pojawia. To powinno brzmieć tak, żebyś tańczył na weselu, chociaż tekst opowiada o jakichś straszliwych rzeczach, które się we wsi wydarzyły. Wszystko jest smutne jak grecka tragedia, ale co tam, wytańczysz to.

To prowadzi wprost do pytania, czy grałście już kiedyś na podlaskim weselu.

S.: – Byliśmy zaproszeni parę razy, ludzie zgłaszają się do nas na Instagramie. Ale jeśli chodzi o występy na weselach, to zagraliśmy tylko u brata Niki na weselu dwie piosenki.

N.: – Ale to nie było Podlasie, tylko Mazowsze.

Paszporty wręczaliśmy w tym roku w nowym studiu TVP im. Kory Olgi Sipowicz, według legendy budowanym dla Zenka Martyniuka. Jak się czujecie z tym cieniem Zenka unoszącym się nad Podlasiem?

S.: – Ja się czuję dobrze. Myślę, że na świecie jest dziś tyle problemów, że jak ktoś robi muzykę – taką czy inną – to i tak w jakimś sensie jest po stosunkowo jasnej stronie mocy. Kiedyś miałem jakiś większy problem z disco polo, ale dotarło do mnie, że to jest po prostu ważny element tego, co na Podlasiu się dzieje.

N.: – Na pewno też wyrosliśmy, przynajmniej ja właśnie, chcąc nie chcąc, na tych zabawach, weselach, prawdopodobnie też to jakoś wpływa na naszą twórczość.

S.: – Był taki moment mocnej ekspansji disco polo w Polsce i mocnego hejtu, wyśmiewania tego, co się tam dzieje – że jest to prosta muzyka. Ale jak sobie słucham

world music z różnych części świata, to mi się wydaje, że disco polo jest jakimś odpowiednikiem rzeczy, w które naturalnie się przekształcała scena etniczna w różnych częściach świata, ona nabierała tego elementu klubowości. No i w Polsce z jakichś powodów, nieznanych mi, bo etnograficznie tego nie badałem, to ewoluowało w tę właśnie stronę.

To chyba największe wyzwanie: odpowiedzieć na emocje szerokiej publiczności i przy okazji zostać sobą?

S.: – Tak. Myślę, że tacy artyści, którzy naprawdę grają dla szerokiej publiczności elektroniczną muzykę taneczną i zapełniają stadiony – jak choćby David Guetta – owszem, myślą, jak do tego miejsca dotrzeć, ale też szczerze lubią taką muzykę. To po prostu taki moment w historii, w czasoprzestrzeni, że ta muzyka koresponduje bardzo dobrze z emocjami bardzo dużej liczby ludzi. I że po prostu musi się na taki sukces złożyć wiele elementów. W naszym wypadku ważne okazało się to, że nasze utwory są w tym konkretnym języku, który wywołuje tak wielkie emocje, bo za wschodnią granicą toczy się wojna, bo w Polsce mieszka wielu Ukraińców, a także Białorusinów, którzy przenieśli się tu po wyborach prezydenckich. A to wszystko w połączeniu z tym językiem tworzy jakiś ferment. I kiedy w tych okolicznościach wrzucamy klip na TikToka i jest w opisie coś o języku podlaskim, to czekamy tylko na pierwszy komentarz, że „nie ma takiego języka”. O, jest – dobra, lecimy, jest dyskusja, zaraz ktoś to prostuje, pojawia się odbicie sprostowania, a tiktok staje się wiralem. Elegancko.

ROZMAWIAŁ BARTEK CHACIŃSKI



Rozmowy z laureatami Paszportów POLITYKI w każdą środę o godz. 11.40 w „Kulturze Osobistej” w TOK FM, na tokfm.pl i w aplikacji mobilnej.

Współorganizator Gali



Partnerzy Główni

Partner Oficjalny



Partner Medialny



Partnerzy Kategorii

Książka

Sztuki wizualne

Film

Scena

Muzyka popularna

Muzyka poważna



AUKCJA POKONKURSOWA

**NOWA FALA
MALARSTWO.**



SEKA ART

21/03/2026

www.seka-art.pl

Już 21 marca w siedzibie galerii przy ul. Zabranickiej 80 w Warszawie licytowane będą prace Laureatów konkursu – artystów wyłonionych przez jury spośród setek zgłoszeń z całego kraju. Wydarzenie będzie miało charakter hybrydowy – licytować będzie można zarówno na sali, jak i za pośrednictwem platform internetowych, co umożliwi udział w wydarzeniu kolekcjonerom i miłośnikom sztuki z całej Polski i z zagranicy.

Wystawę pokonkursową można oglądać od czwartku do niedzieli:

- czwartek-piątek, w godzinach 14:00-19:00
- sobota-niedziela, w godzinach 11:00-18:00

Wszelkie informacje dotyczące aukcji oraz pełny katalog prac dostępne są na stronie organizatora: www.seka-art.pl.

KONKURS ART



Anna Maria Zuzela- Grand Prix



Kornel Lesniak- III miejsce
eprasa.pl 03973d418f



Ksawery Sajdak- II miejsce



Alina Szapocznikow w swojej pracowni, lata 60. XX w.

Artystyczna droga Aliny Szapocznikow oglądana z perspektywy setnej rocznicy jej urodzin z jednej strony przypominała narciarską jazdę „na krechę”, z drugiej – slalom.

PIOTR SARZYŃSKI

Wiek Aliny

Zarówno pozycja Szapocznikow jako artystki, jak i recepcja jej sztuki w Polsce i na świecie falowały jak wzburzony Bałtyk. Bezpośrednio po wojnie, wprost z traumy getta i obozów koncentracyjnych, trafiła na studia, początkowo w Pradze, a następnie w Paryżu. W 1950 r., po powrocie do Polski w wieku 24 lat, szybko odnalazła się w życiu artystycznym, choć nie był to czas sprzyjający nieskrępowanej twórczości. Już w 1951 r. debiutowała na II Ogólnopolskiej Wystawie Plastyki pracą „Pokój”. Dwa lata później powstał monumentalny Pomnik Przyjaźni Polsko-Radzieckiej i „Stalin”.

Jak pisał Marek Beylin w poświęconej jej życiu biografii „Ferwor”: „Należała do uprzywilejowanej elity, także pod względem materialnym. Mieszkanie w świetnym punkcie, kolejne pracownice, których zazdrościli jej inni. Sprzedawała prace muzeom i sporo zarabiała (...). Zatrudniała gosposię (...) miała też dobre kontakty z dygnitarzami”. A także – co warto dodać – przyjaźniła się z Wojciechem Fangorem, Andrzejem Wajdą i Krzysztofem Teodorem Toeplitzem, miała w Zachęcie wspólną wystawę z Jerzym Tchorzewskim. Na zlecenie telewizji francuskiej film o niej nakręcił Roman Polański, a jej rzeźba „Żagiew” grała ważną rolę

w fabularnym filmie „Sam pośród miasta”. Słowem, nieprzerwany ciąg sukcesów.

A jednak w 1963 r. zdecydowała się wyemigrować na stałe do Francji. Polska nie gwarantowała jej już wystarczających motywacji do zawodowego rozwoju, Francja jawiła się natomiast jako kraj dużo lepszych perspektyw artystycznych. Ale pierwsze lata przyniosły dużo więcej rozczarowań niż radości. Dość szybko odnalazł swoją stabilizację, jako redaktor graficzny w „Elle”, jej mąż Roman Cieślewicz, ale ona musiała przeżywać gorzkie kolejnych porażek. Intrygująca na Zachodzie jako ocalała z Holocaustu polska Żydówka, która przepracowuje w sztuce swe traumy, jako imigrantka próbująca się wpasować w paryskie standardy nie budziła już zainteresowania. Odniosła wprawdzie kilka formalnych sukcesów (m.in. otrzymała

prestżową nagrodę Fundacji Copleya), ale już np. próba artystycznego podboju USA zakończyła się fiaskiem.

W 1968 r. u Szapocznikow zdiagnozowano nowotwór. Według przekazów znajomych i przyjaciół nie osłabił on energii twórczej artystki, ale też jej radości życia. Dopóki mogła, tworzyła, może nawet ze zdwojoną intensywnością, jakby chciała zdążyć z wieloma siedzącymi w jej głowie projektami. Zmarła 2 marca 1973 r. i pochowano ją na cmentarzu na Montparnasse. Jakiś czas po pogrzebie przypadkiem, w jednej z ksiązek, odnaleziono testament, w którym pisała: „Pochowajcie mnie w Warszawie. Chcę leżeć w Polsce, pod trawą i tam też moje nazwisko nie jest dziwologiem”.

Eksperymenty z formą

Powróćmy do narciarskich analogii. Zachował się „Relief”, wyrzeźbiony przez Szapocznikow w drewnie w 1946 r. Miała wówczas 20 lat i to było jedno z jej pierwszych doświadczeń artystycznych. Sprawny warsztatowo, ale zapowiadający raczej konwencjonalną karierę artystki. Kilka lat później nastąpił pierwszy gwałtowny zwrot w slalomie przez sztukę: romans z socrealizmem. A właściwie małżeństwo z rozsądku, wpasowanie się w realia. Trwało krótko, zaledwie kilka lat. Ok. 1955 r. kolejny szus poprowadził artystkę w stronę coraz odważniejszych eksperymentów z formą. Takie prace, jak „Ekshumowany”, „Maszyna-zwierzę”, „Maria Magdalena” czy „Skuter”, są sygnałami, że Szapocznikow coraz lepiej i śmiej radziła sobie z deformacją, syntezą, uproszczeniem jako formami artystycznego wyrazu.

Na przełomie lat 50. i 60. odkryła tworzywa sztuczne jako materiał dla swoich rzeźb i dokonała wyraźnego zwrotu w ich stronę. I choć nadal sięgała po brąz, marmur czy gips, to właśnie poliester stał się głównym narzędziem do wyrażania emocji, uczuć, stanów ducha. Z czasem pojawiły się dodatkowe eksperymenty formalne; a to wtapienie w plastik fotografie, a to wykorzystywanie w rzeźbiarskich dziełach objets trouvés, takich jak części samochodów, odzież, kamyki, wata, gaza, a nawet pociśki artyleryjskie. Ostatni zwrot w tym slalomie wykonała artystka niedługo przed śmiercią, tworząc serię „Zielnik”. Od rzeźb przeszła do płaskorzeźb, tworzyła zupełnie nową formę, w której masywność została zastąpiona przez kruchość.



Opowieść o kobiecie

Można jednak zaryzykować opinię, że przy tych wszystkich formalnych woltach ideowo Szapocznikow przez całe swoje życie podążała drogą prościutką, z jedną tylko artystyczną wycieczką w bok w popartowej konwencji flirtu czy może raczej dyskursu z kulturą masową, ale przede wszystkim z potężniejącym konsumpcjonizmem (prace „Goldfinger” i „Rolls-Royce”).

Natomiast ów główny, prosto wytyczony szlak artystycznej wędrówki prowadził wzdłuż wątku, jakim była kobieta. Zaczęło się prozaicznie: od konwencjonalnych popiersi typu „Studium głowy w chuście”, „Dziwczynna z warkoczem”, „Głowa dziewczynki” czy „Portret Meksykanki”. Realistycznych, z reguły pełnych optymizmu popiersi, z dozą liryzmu sławiących młodość i urodę.

Rzeźba „Szalona biała narzeczona” z 1971 r. na wystawie indywidualnej Szapocznikow w nowojorskim Museum of Modern Art, 2013 r. Poniżej: popiersie bez głowy, 1968 r.



► Wyrazem przemiany i dojrzewania w spojrzeniu artystki na figurę kobiety wydają się rzeźby „Pierwsza miłość” (1954 r.) oraz „Trudny wiek” (1956 r.). Szczególnie w tej drugiej pracy otrzymujemy wizerunek młodej kobiety świadomej swej seksualności i wartości, bezpruderyjnej, odważnie patrzącej w przyszłość. Ale prawdziwe przyspieszenie w tropieniu sekretów płci nastąpiło w 1962 r., gdy anonimowa kobieta ustąpiła upodmiotowionemu i otwarcie wyrażonemu „Ja”.

Wówczas to Szapocznikow wykonała pracę „Noga”, będącą gipsowym odlewem jej własnej kończyny. Trzy lata później francuski artysta Cezar wystawił dla odmiany „Kciuk”, będący powiększonym do 40 cm długości odlewem jego własnego palca. Kciuk Cezara zrobił furorę, a Szapocznikow była przekonana, że jego sława w jakimś sensie zablokowała jej drogę do komercyjnego sukcesu we Francji, w której już wówczas mieszkała. Cezar stał się jednak – co warto dodać – mentalnym niewolnikiem własnego pomysłu, powracał do niego jeszcze wielokrotnie (aż po parometrowe odlewy), bo rynek pożył kolejnych kciuków jego autorstwa. Tymczasem Szapocznikow, choć tak wielkiej popularności rynkowej nie osiągnęła, artystycznie zaszła dużo dalej.

Po „Nodze”, powtórzonej tylko raz trzy lata później, przyszedł czas na inne części ciała artystki. Szapocznikow niejako fragmentaryzowała samą siebie, niekiedy wybrany fragment multiplikowała (np. w „Portrecie wielokrotnym”), ale zasadniczo podkreślała tymi dziełami piękno i sekrety kobiecego ciała. Były więc „Brzuchy”, „Piersi”, „Usta kroczące”.

W tej tworzonej w latach 60. i rozpiętej na wiele głosów rzeźbiarskiej opowieści o kobiecie są dwie prace niezwykle. Pierwsza to „Iluminowana” (1966 r.), formalnie nieco przypominająca wspomniany już „Trudny wiek”. Sylwetka stojącej młodej dziewczyny, ale jakby przepuszczona przez filtr wieloletnich doświadczeń ze sobą, a przede wszystkim z wszechotaczającą artystkę patriarchalną kulturą podszytą seksualną dominacją. Bohaterka jest pozbawiona rąk i rysów twarzy, za to z ogromnymi piersiami, które zdają się być jej wizytówką w świecie mężczyzn. Druga, jeszcze bardziej niezwykła, to „Szalona biała naręczona” (1971 r.) przedstawiająca nagą kobietę opartą nonszalancko o wielkiego fallusa.



„Koński ogon – portret Meksykanki”, między 1955–56 r.

Poniekąd odwrócenie poprzedniej sytuacji, gdzie tym razem erotycznie uprzedmiotowiony zostaje mężczyzna.

Po 1968 r. Szapocznikow nadal rzeźbiła siebie, ale zmysłowe usta czy ponętne piersi zostały zastąpione przez narządy skażone nowotworem, zdeformowane, chore. Zamiast piękna i zachwyty mieliśmy grozę i ostrzeżenie przed przemianami. Powstały cykle „Nowotwory”, „Fetysze”, „Desery”, a w nich wszystkich to Tanatos zamiast Erosa patronował cielesności. Szczególnie wstrząsające wrażenie robi praca „Śmierć Aliny”, rozbudowana kompozycja będąca swoistym podsumowaniem zarówno życia Szapocznikow, jak i jej artystycznej drogi.

Sto prac na setkę

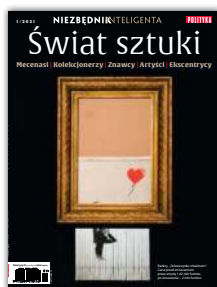
Dziś nazwisko Szapocznikow najczęściej wymienia się jednym tchem z Magdaleną Abakanowicz i Katarzyną Kobro, dodając, że chodzi o trzy najwybitniejsze rzeźbiarki w XX-wiecznej historii polskiej sztuki. To zestawienie, choć efektowne, jest sporym uproszczeniem, bo pozycja każdej z nich zbudowana jest na innych fundamentach. Katarzyna Kobro (1898–1951), jedna z pionerek konstrukttywizmu, wysoko ceniona przez historyków sztuki, poza ich kręgiem pozostaje praktycznie nieobecna. Powód jest jeden, ale zasadniczy: niewiele zachowanych prac.

Magdalena Abakanowicz to jej całkowite przeciwieństwo. Żyła długo (87 lat), pozostawiła po sobie mnóstwo dzieł, przez wiele lat reprezentowana była na rynku przez prestiżową Marlborough Gallery. Wiele jej monumentalnych rzeźb zdobi miejskie przestrzenie publiczne, umacniając popularność artystki. O jej dobre imię dbają aż dwie fundacje (jedna międzynarodowa, druga polska), a liczne prace na aukcjach biją kolejne rekordy.

Pierwszą naprawdę dużą pośmiertną wystawę monograficzną Szapocznikow (kuratorką była Anda Rottenberg) zorganizowano w Polsce dopiero w 1998 r. Zamieniła się w festiwal, bo była pokazywana w muzeach narodowych w Krakowie i Wrocławiu, w stołecznej Zachęcie oraz Muzeum Sztuki w Łodzi. Na mocne międzynarodowe otwarcie trzeba było czekać jeszcze dłużej. Dopiero w 2011 r. okazała retrospektywę artystki pokazano w Centrum Sztuki Współczesnej WIELS w Brukseli, następnie wystawa powędrowała do Los Angeles, Columbus w Ohio i na koniec do legendarnego MoMA w Nowym Jorku.

Setna rocznica urodzin Szapocznikow zaktywizowała miłośników jej twórczości. Pierwsza duża wystawa zostanie otwarta już w połowie marca w Muzeum Narodowym w Krakowie, kolejna – jesienią w Zachęcie. Na świecie fetowanie rzeźbiarki rozpoczęło się już w roku ubiegłym. Pod auspicjami Instytutu Adama Mickiewicza miała miejsce imponująca retrospektywa w Kunstmuseum w Ravensburgu (Niemcy), którą później przeniesiono do Musée de Grenoble we Francji, gdzie z rozmachem prezentowano ją przez blisko cztery miesiące. Prawie sto eksponatów wypożyczonych z muzealnych i prywatnych kolekcji w Polsce i na świecie złożyło się na rzetelną historię dorobku Szapocznikow, od pierwszych prac z końca lat 40. XX w. po ostatni z cyklu – wspomniany już „Zielnik”.

PIOTR SARZYŃSKI



Zainteresowanym współczesną sztuką polecamy także Niezbędnik Inteligenta „ŚWIAT SZTUKI”.

Dostępny na sklep.polityka.pl

KUP TERAZ



Jestem aktorką, nie aktywistką

Silne kobiece bohaterki są najczęściej jednowymiarowe, to wersje męskich bohaterów, podczas gdy kobiecość jest złożona, różnaita – mówi **Agata Turkot**, filmowa Gośka z „Domu dobrego”, a teraz Helena z serialu „Piekło kobiet”.

ANETA KYZIOŁ: – Ponad 2 mln widzów w kinach, oddźwięk społeczny i medialny, Nagroda im. Zbyszka Cybulskiego za rolę Gośki, nagrody dla pani i Tomasza Schuchardta na Warszawskim Festiwalu Filmowym, rekordowa liczba 13 nominacji do Polskich Nagród Filmowych Orły. „Dom dobry” Wojtki Smarzowskiego to wielki sukces.

AGATA TURKOT: – Dostałam setki wiadomości od kobiet. Trochę się bałam, że będą w nich chciały uzyskać ode mnie jakieś konkretne wsparcie, pomoc, a ja nie będę umiała temu sprostać, także psychicznie. Jednak najczęściej była to po prostu chęć podziękowania za to, że tę przemilczaną historię domowej przemocy wynieśliśmy na światło dzienne, ponieśliśmy w świat, lub potrzeba powiedzenia, że ja też byłam w tamtym miejscu, ale już nie jestem albo jestem w trakcie zmiany. Myślę, że to, że ten film powstał i że ta historia

została opowiedziana, pokazana, zauważona, niezanegowana, dla osób, które doświadczyły przemocy domowej, oznacza ogromną ulgę i też nadzieję, że skoro jest film i tak dużo się o nim rozmawia, to teraz nikt ich prywatnej historii nie będzie tak łatwo podważać, jak to było wcześniej. A i sprawcy może się dwa razy zastanowić, zanim skrzywdzą.

Świadomość, że film może komuś pomóc, jest wspaniała. Ale „Dom dobry” to też porażki. Na festiwalu w Gdyni został kompletnie pominięty przez jury, na Warszawskim Festiwalu Filmowym dostaliśmy nagrody aktorskie, ale sam film już nie. Może okazał się zbyt kontrowersyjny? Byłam przekonana, że to jest najbardziej uniwersalny film Wojtki i że go pokażemy na festiwalach na świecie. To się nie do końca udało. Mam takie poczucie po projekcjach w różnych miejscach, że temat, który podjęliśmy, i naturalistyczny sposób pokazania go – bez

Agata Turkot (ur. 1993 r.) – aktorka, absolwentka łódzkiej filmówki, karierę zaczynała w serialach, grając jedno z głównych ról w „Leśniczówce” TVP i „Motywie” TVN. Jej debiutem filmowym była rola Lei w „Weselu” w reż. Wojciecha Smarzowskiego, a w ubiegłym roku zagrała główną bohaterkę w jego „Domu dobrym”. Film przyniósł jej m.in. prestiżową Nagrodę im. Zbyszka Cybulskiego dla najlepszej młodej aktorki. W HBO Max właśnie miał premierę szóstodniowy serial „Piekło kobiet” w reż. Anny Maliszewskiej, w którym Turkot gra główną rolę.

znieczulenia – jest wciąż potężnym tabu. I nie tylko u nas.

Dla pani to była pierwsza główna rola filmowa i od razu o wielkim stopniu trudności. Smarzowski napisał ją dla pani po tym, jak w 2021 r. zagrała pani Leę w jego drugim „Weselu”.

Duże zaufanie po obu stronach.

„Wesele” było moim debiutem filmowym. Casting był ogromny, wydawało mi się wręcz niemożliwe, że z tych setek dziewczyn akurat ja dostałam rolę. Cieszyłam się z szansy zagrania u tak znanego reżysera i w filmie, którego temat mnie też prywatnie bardzo interesuje. To wszystko razem powodowało, że chciałam się oddać absolutnie tej pracy. To doświadczenie nauczyło mnie, że biorąc udział w scenach, które tak dużo kosztują emocjonalnie, trzeba przez cały czas być bardzo czujnym, trzymać dużą dyscyplinę wobec samej siebie, żeby emocje nami nie zawładnęły. Bo później odcięcie tego stanu i powrót organizmu do punktu zero są szalenie trudne. To była ważna nauka i cieszę się, że mogła się odbywać w bezpiecznych warunkach, bo plany zdjęciowe Wojtki są wyjątkowe, tam tworzy się rodzina i nikt nie chciał wykorzystać tego mojego rozwibrowania w żadnym niecnym celu.

„Wesele” okazało się dobrym treningiem do roli Gośki w „Domu dobrym”?

Bez wątplenia, dzięki temu doświadczeniu mogłam się lepiej przygotować. Czytając scenariusz, wiedziałam już, gdzie są moje słabe strony, a produkcja zaproponowała mi pomoc w postaci coachki aktorskiej Ani Skorupy. Wspólnie stworzyliśmy dla mnie poduszkę bezpieczeństwa.

To kolejny nowy zawód po koordynatorach scen intymnych. Na czym polegała wasza współpraca?

Rzeczywiście, trenerzy aktorstwa to dość nowa profesja, ale zauważam, że coraz więcej moich kolegów i koleżanek korzysta z ich pomocy. Nie ma szkoły dla trenerów, nie ma też jednej metody, jak ►

► pomagać aktorom w budowaniu roli, każdy z nich sam tworzy własne techniki i narzędzia. Okazało się, że z Anią mamy podobną wrażliwość i zainteresowania, więc kliknęło.

Nauczana w szkołach teatralnych metoda Stanisławskiego już się nie sprawdza? A rolę nie tworzy się na próbach z reżyserem?

Mam nadzieję, że metoda Stanisławskiego, budowania roli dzięki przywoływaniu własnych emocji i doświadczeń, często trudnych, już odchodzi do lamusa. Z kolei u Wojtki nie ma wielu prób – on stawia na skrajne emocje, na to, żeby były jak najbardziej prawdziwe, z trzewi. Przy „Domu dobrym” miałam próby kaskaderskie, to wystarczyło. A z Anią spotykałam się przed startem planu, intensywnie, kilka razy w tygodniu. Dużo rozmawialiśmy o mnie i moich obawach, więc trochę była to praca terapeutyczna, na blokadach. Omawialiśmy też scenariusz, a potem już pracowałyśmy stricte nad postacią – rozmawiając, inspirując się nawzajem, malowałyśmy sobie tę Gośkę. Przechodziliśmy przez poszczególne sceny, ale nie po to, żeby je ustawić, bo od tego jest reżyser, tylko sprawdzałyśmy, jaki jest potencjał danej sceny, jeśli chodzi o emocje, czyli w którą stronę to może pójść. Później zaś skupiliśmy się na tym, żeby silne emocje Gośki nie były moimi własnymi, prywatnymi. Żeby to nie był ten „Stanisławski”, że ja się zmuszam, by sobie coś przypomnieć, i żeby pożądana emocja się wydarzyła we mnie i uzewnętrzniła w postaci, bo wtedy ja prywatnie zostaję z tym doświadczeniem.

Ania dawała mi narzędzia, jak to zrobić, żeby siebie ochronić, zawsze być przy postaci, używać wyobraźni i empatii do wytworzenia emocji, które dzięki temu nie będą tak bardzo sklejone ze mną. To się okazało dla mnie przełomowe, dzięki temu, myślę, praca na planie „Domu dobrego” tak dużo mnie nie kosztowała prywatnie. W tym sensie, w jakim aktorów zawsze się pyta, jak długo pan czy pani wychodzili z roli i jakie to było trudne? Granie maltretowanej na rozmaite sposoby przez męża Gośki było bardzo trudną pracą, ale nie zabierałam jej do domu.

Tomasz Schuchardt, grając drania, ryzykował sklejenie się w oczach części widzów z postacią, jedno takie zdarzenie zyskało medialny rozgłos. Rola ofiary też niesie ze sobą aktorskie ryzyko?



Agata Turkot w głównej roli Heleny Wróblewskiej w serialu „Pieśń kobiet”

No tak, w jednym wywiadzie wspominał o jednej takiej interakcji, co zostało przez media rodmuchane do niemal reguły. Ja, grając ofiarę domowej przemocy, ryzykowałam stanienie się rzeczniczką czy ambasadorką ważnego społecznego problemu, a jestem aktorką, nie aktywistką. Dostaję mnóstwo zaproszeń do dołączenia jako twarz do fundacji, udziału w zgromadzeniach, spotkaniach. Bardzo za wszystkie dziękowałam i dziękuję, ale się nie zdecydowałam, bo choć cieszę się, że mam taką szansę, żeby poprzez swoje role opowiadać o rzeczach ważnych, także dla mnie, dawać im widzialność, to nie jestem prawdziwą ekspertką, nie dysponuję głęboką wiedzą. Aktorzy jako osoby publiczne często są traktowani jak specjaliści od rozmaitych kwestii, ja starałam się zawsze, żeby moje wypowiedzi na temat przemocy domowej padały tylko w sytuacjach związanych z filmem.

Istnieje też ryzyko zasznuflowania: aktorka od poważnych ról, dramatów społecznych. Właśnie w serwisie HBO Max miał premierę sześciopodciukowy serial „Pieśń kobiet”, z panią w głównej roli.

Kiedy przeczytałam scenariusz „Pieśni kobiet”, to poza tym, że tytuł jest bardzo wymowny – i pochodzi z eseju Tadeusza Boya-Żeleńskiego – nie miałam poczucia, że będę robiła coś bardzo podobnego do „Domu dobrego”. Także dlatego, że temat patriarchy i przemocy systemowej wobec kobiet jest po prostu aktualny, palący i sporo produkcji go na bardzo różne sposoby teraz porusza. Ale też przez to, że tu akcja dzieje się w latach 30. XX w. i moja postać, Helena Wróblewska, jest przeciwieństwem Gośki.

To kobieta dojrzała, uprzywilejowana, której się wydaje, że skoro nosi

spodnie, prowadzi auto, jest redaktorką pisma matrymonialnego i może czasem zakpić z męża, to uosabia nowoczesność i niezależność.

Dziś też nie brakuje takich osób.

W wielu kwestiach jest tradycjonalistką. Na pewno nie jest ofiarą, to osoba bardzo waleczna i nie poddaje się temu, co ją spotyka. Zresztą część tego, co ją spotyka, sama prowokuje, bo ona nie jest postacią krystalicznie czystą. Świetnie było zagrać bohaterkę, która nie jest jednowymiarowa, w serialu, który jest opowieścią o kobiecym przebudzeniu świadomości. Mam w pamięci wywiad Brit Marling, świetnej aktorki i współtwórczyni serialu, który uwielbiam: „The OA” Netflixa. Mówiła w nim, że nie chce grać silnych kobiecych bohaterek, bo najczęściej są jednowymiarowe. To kobiece wersje męskich bohaterów. Podczas gdy kobiecość jest złożona, rozmaita, można w jednym momencie być w pozycji ofiary, w następnym być harpią, by w jeszcze kolejnym się rozpaść i nie potrafić podjąć żadnej decyzji. Takich postaci w kinie ciągle brakuje. A Helena jest właśnie złożona i inne kobiece bohaterki „Pieśni kobiet” też. Także dzięki kobiecej ekipie – od scenarzystek, przez reżyserkę Annę Maliszewską, po producentkę Ewę Puszczynską. Nikt tu o doświadczeniu kobiecości nie teoretyzował.

Często sentymentalizowana, pokazywana w sepii Warszawa dwudziestolecia międzywojennego ma tu brązowe barwy, kraj się faszyzuje, kobiety mają rodzić w służbie narodu.

Są sceny brutalne, jest też dużo przemocy z pozoru przezroczystej, jak złote myśli Maksa, męża Heleny, granego przez Mateusza Damięckiego, które i dziś można usłyszeć: „Kochanie, gwałty są, bo mężczyźni są”. Jednak serial jest też rozrywką.

Obok warstwy obyczajowej jest też zagadka kryminalna i atrakcyjny kostium: ubrania i dizajn w stylu art déco, automobile. Mam nadzieję, że ta rozrywkowa warstwa i bogata estetyka zachęci widzów do obejrzenia, a potem do zastanowienia się nad tematem serialu i zadania sobie pytania, co się zmieniło w sytuacji polskich kobiet przez ten wiek. I dlaczego. Sama po obejrzeniu całości mam poczucie, że nie można temu serialowi zarzucić, że problemy, o których mówi, zostały potraktowane w sposób schematyczny i stereotypowy. Przede wszystkim dzięki niejednoznacznym bohaterkom, ale także męscy bohaterowie mają więcej niż jedną stronę.

Podczas premiery serialu przed warszawskim Teatrem Dramatycznym stały zabytkowe samochody, w środku grał jazz-band, a gościom rozdawano przypinki z kobietą czytającą gazetę i hasłem „Different Century, Same Shit” (inne stulecie, to samo gó...o), odnoszącym się do tego, że kobiety wciąż muszą walczyć o swoje prawa.

Ta paralela jest świetna, daje do myślenia, a prawo do aborcji – w serialu i poza nim – jest punktem wyjścia do szerokiego

spojrzenia na prawo kobiet do decydowania o własnym ciele i własnym życiu, bo to się wszystko łączy: tematem jest kobieta suwerenność i to, że wciąż nie jest oczywista. Zresztą nawet dla samych kobiet, bo i w serialu, i w rzeczywistości nie brakuje strażniczek patriarchy, które z różnych powodów ograniczają wolność sobie i innym kobietom.

Była pani już bardzo rozpoznawalna po „Domu dobrym”, a teraz pani twarz jest na billboardach reklamujących „Piekło kobiet” i na olbrzymim muralu.

Jak wygląda bycie osobą publiczną?

W Warszawie jest spokojniej, bo tu mieszka wiele rozpoznawalnych osób, ludzie są przyzwyczajeni i nie zwracają uwagi, można być względnie anonimowym. Ale niedawno spędziłam kilka dni w Sopocie i byłam w szoku, bo codziennie zaczepiało mnie kilka osób. Nic nieprzyjemnego, rozmowy. Jednak kiedy w hotelu, przed wejściem do sauny, pani mnie rozpoznała i zaczęła rozmowę, poczułam się dość niekomfortowo – jak się w tej sytuacji zachować, czy mogę w saunie zdjąć ręcznik, czy bezpieczniej jednak w nim zostać? Jestem aktorką, ale nigdy

nie pragnęłam zamieszkania wokół siebie. Cenię swoją prywatność, teraz muszę być bardziej obecna w mediach społecznościowych, bo jestem do tego zobowiązana, ale staram się stawiać granice.

Czy ta rozpoznawalność przekłada się na propozycje ról?

Czuję zainteresowanie, ale nie jest tak, że przebiegam w rolach. Po pierwsze dlatego, że rynek filmowy i serialowy działa powoli, po drugie ról dla 30- i 40-letnich kobiet generalnie wciąż nie ma tak wiele, a z tych, które są, nie do każdej przecież pasuję. Więc podchodzę do zawodu z pokorą. Co mnie cieszy, to to, że wśród propozycji, jakie otrzymuję, nie ma tylko opowieści ciężkiego kalibru, pojawiła się też komedia romantyczna, jakaś lżejsza obyczajówka. To daje mi poczucie, że nie trafiłam do szufladki z napisem „tylko ciężkie przypadki”. Czyli ta jasna strona Gośki z „Domu dobrego”, jej radość i ciekawa osobowość, którą pokazuje pierwszy kwadrans filmu, została zauważona – to bardzo ważne, bo oznacza, że widzowie, w tym filmowcy, nie postrzegają jej tylko jako ofiarę. O to nam chodziło.

ROZMAWIAŁA ANETA KYZIOŁ

REKLAMA

NOWA POWIEŚĆ LAUREATA NAGRODY BOOKERA

Iana McEwana

JEDNEGO Z NAJBARDZIEJ CENIONYCH
WSPÓŁCZESNYCH PISARZY BRYTYJSKICH

**Literackie śledztwo burzy idealne
wyobrażenie o świecie, który
bezpowrotnie przeminął.**

Wciągająca podróż przez czas
i historię, stawiająca fundamentalne
pytanie o to, kim jesteśmy
i dokąd zmierzamy.



**WYDAWNICTWO
ALBATROS**





Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna

Kuby Wojewódzkiego

Jolanta Pieńkowska wygrała proces z „Pulsem Biznesu”, który sugerował, że swojego męża Leszka Czarneckiego wywiozła z Polski w bagażniku auta. Skandal. I to bez podania modelu auta.

● Sandra Kubicka skierowała do sądu trzystustronicowy pozew przeciwko Pudelkowi za naruszenie dóbr osobistych. Brawo. Znając tę redakcję, wiem, że nigdy nie przeczytali tak grubej lektury.

● Marianna Schreiber w walce z Unią Europejską, Balcerowiczem – i co tam jeszcze pamięta – zamazała logo UE na swojej tablicy rejestracyjnej. Na BMW. Ale w powstaniach często używa się zdobycznego sprzętu.

● Miłoch kończy karierę: „Rapować już nie będę. Nie mam zamiaru stawać na środku sceny i wypływać z siebie tych rzeczy”. W tym

miejsu czas na krótki komunikat: Norbi, zobacz. Można?

● W rankingu najpopularniejszych osób w internecie zwyciężyła Doda. Dalej znaleźli się: Malik Montana, Klaudia Halejcio, Anna Lewandowska oraz Kizo. Rzadko mam okazję to powiedzieć: jestem dumny z przegranej.

● Po 25 latach Michał Piróg, tancerz, choreograf, nauczyciel, aktor, pisarz, mentor, aktywista społeczny, prezenter, celebryta, odszedł z TVN. Michałowi życzę, żeby znalazł pracę choć w jednej z profesji.

● „Pani Katarzyna Kolenda-Zaleska jest rzetelną i profesjonalną dziennikarką” – to Jacek Ozdoba z małą pomocą sądu. Moja babcia też mawiała, że dziadek jest wspaniałym kochankiem, tylko trzeba mu przypominać.

Jakub Wator udostępnił na YouTube kolejny film o oszustwach i wyłudzeniach Żurnalisty. Mocny obraz. Ja bym to wystawił w teatrze. Słowo „wystawić” pasuje do niego doskonale.

● „Nie słucham idiotów i kretynek. Dla mnie ta osoba nie istnieje, a jeżeli już coś pierd...nie, to jest jej problem” – to Joanna Sarapata o Magdzie Gessler. Okropny język. To się w malarstwie nazywa szkic do portretu.

● Roxie Węgiel została jurorką niemieckich preselekcji do Eurowizji w telewizji ARD. Nareszcie role się odwróciły i to my podzieliliśmy Niemców.

● Najbardziej opiniotwórczym medium od początku roku został RMF FM, dalej – Onet i TVN24. Awansem o 13 pozycji może się pochwalić TV Republika. To się w medycynie nazywa „jasność terminalna”.

● Dodę nominowano do Biologicznej Bzdury Roku za stwierdzenie, że połowa kobiet ma chorą tarczycę. W ten sposób promowała swoje suplementy diety. A ja uważam, że lekarze zazdroszczą jej wiedzy. Szczególnie na każdy temat.

● Aleksandra Klepaczka, Miss Polski 2022, rozpoczęła współpracę z Canal+ Sport i piłkarską Ekstraklasą. Przypomina mi się komentarz: „Na trybunach nie ma żony Michała Bąkiewicza. Może dlatego, że nie jest żonaty”.

● Andrzej Krzywy wyjawiał, że w ramach unikania służby wojskowej poprosił kumpla, aby przejechał mu po stopie swoim busem. Teraz rozumiem termin „być na wojennej stopie”.



Paulina Smaszcz i Marcin Hakiel we wspólnym wywiadzie ujawnili, że ich byli małżonkowie prywatnie kpili z Jacka Kurskiego, jego telewizji oraz samego PiS. Lubię rozwody. Są skuteczniejsze niż Edgar Hoover.



Złoty środek znajdź

„**C**o się stało z tym światem?” – zasromał się dziadek. – „Nic się nie stało. Zło towarzyszyło człowiekowi od niepamiętnych czasów” – odparła stryjenka, niebaczna, że cytuje tym samym kiepskie szkolne wypracowanie. – „Ale ten schabik ci pyszny wyszedł, mamo!”. I tak nam mija ten niedzielny rodzinny obiad.

Lata oglądania „Złotopolskich” i słuchania słowiczych treli Piaska, a wszystko jak krew w piach. Zamiast „złoty środek znaleźć, i to jeszcze dziś” – jak w piosence Piasecznego – okopujemy się na skrajnych pozycjach. Uspokajam jednak: nie nawołuję do wyletnienia światopoglądu czy zakładania kolejnej centrowej partii (byłaby to bodaj 58. taka formacja założona w tym roku). Prawda nie zawsze leży pośrodku, ale również nie zawsze należy jej szukać na biegunach. A w świecie ludzi rzadko cokolwiek dzieje się samoistnie, pączkując z próżni. Kontekst ma znaczenie.

Ekskluzywną wersję rozmowy przy schabiku zaprezentowali nam na łamach „Gazety Wyborczej” Agata Bielik-Robson i Marcin Matczak. Piszę „ekskluzywną”, bo nie były to żadne tam dyletanckie gawędy zwykłych Polaków, lecz rozważania profesorskie, pełne erudycyjnych wtrętów. Matczak w swoim felietonie załamywał ręce nad stanem współczesnej cywilizacji

Agata Bielik-Robson i Marcin Matczak zaprezentowali nam **ekskluzywną wersję niedzielnej rozmowy przy schabiku.**

(„O tempora, o mores!” – panie profesorze, dobrze?), której produktem miałyby być Jeffrey Epstein i podobni mu zwyrodnialcy. „Prawica była tam z lewicą” – dodawał, aż na czoło wstępował zimny pot: oj, ktoś tu chyba założy kolejną centrową partię...

Tam, gdzie Matczak dostrzegał naturalną konsekwencję, Agata Bielik-Robson widziała incydent. W wywiadzie udzielonym „Wyborczej” wcieliła się w strażaczkę profetkę. Gdyby w związku z całym skandalem rozgorzała niechęć wobec demokracji liberalnej, pani profesor przyjedzie na sygnale i pokornie wytłumaczy. Parafrazując: „Och, stało się, nie ma co z tego wyciągnąć pochopnych wniosków. Nie łączmy tych dwóch spraw – pedofilska wyspa polityków i multimilionerów a demokracja liberalna à la późny kapitalizm to dwie osobne sprawy. Jest źle, ale może być jeszcze gorzej, jeśli przyjdą, wiecie, tamci”. Coś mi to przypomina, ale nie chciałbym politykować.

Jako że nie jestem tak wszechstronnie wykształcony jak powyżsi, zamiast do świętego Augustyna czy René Girarda, wróć do Piaska. Czym miałyby być w tym przypadku „złoty środek”? Bynajmniej nie stwierdzeniem „jedni i drudzy są winni”. Chodzi raczej o wyjście poza prywatną agendę, rezygnację z grania „na siebie” i przyznanie, że problemy mogą być realne. Że nie muszą stanowić ani anomalii, ani abstrakcji w rodzaju powszechnego zdziwienia obyczajów.

Dostało się niedawno parze polskich influencerów, Zulkoll i Jaworowi, którzy w momencie irańskiego ataku przebywali w Dubaju. W oświadczeniu opublikowanym przez Jawora czytaliśmy: „Polityki (szczególnie zagraniczne) totalnie nie śledzę i ogólnie mediów (...), bo po prostu nie jestem fanem tych informacji i czytanie ich mnie po prostu nudzi”. Internauci weszli w tryb „full Matczak”, pomstując na głupotę całej branży influencerskiej. Mój wewnętrzny Kacper Złotopolski każe jednak zapytać: czy to rzeczywiście stanowi sedno problemu?

Przy okazji okazało się bowiem, że na terenie Zjednoczonych Emiratów Arabskich przebywało pół Polski, w tym kilkoro innych twórców internetowych i osobowości medialnych. O anonimowych turystach nie wspomnę. Śmiech nad skretyniałą branżą internetową jest całkiem wygodny i pozwala się upewnić, że to nie my. Może jednak warto byłoby się skupić nie tyle na wyjeżdżaniu na wakacje do stref zagrożonych atakiem, ile na wspieraniu budżetu kraju regularnie łamiącego prawa człowieka?

Oczywiście nie da się uratować wszystkich, bo mamy rachunki do zapłacenia, łazienkę do umycia i dzieci do wychowania. Zdumiewa mnie jednak, jak wiele umyka naszej czujności. Pod koniec lutego odbyła się gala sztuki walki zorganizowana przez federację Gromda. Jednym z gwoździ wieczoru był pojedynek białych i czarnoskórych zawodników promowany hasłem „Polish Power vs Black Power”. Wydarzeniu towarzyszył spot reklamowy, w którym słyszymy: „Nie no, czarnych trzeba roz***ać” czy „niech wypię***alają do siebie robić bydlę”. Żałuję, że internetowe kluby poprawności politycznej nie poświęciły marketingowi Gromdy tyle uwagi co zaimkom. Tymczasem spot hula sobie po internecie nieniepokoiony przez algorytmy.

Być może, tak jak przyroda naśladuje sztukę (to z jednego z dialogów Oscara Wilde’a – pani profesor, dobrze?), tak algorytm imituje człowieka z jego wybiórczością i niechęcią do łączenia kropek. Mimo to nie tracmy nadziei i próbujmy. Na zachętę dodam, że oficjalny tytuł śpiewanego przez Piaska „Złotego środka” brzmi: „Pogodniej”.

MATEUSZ WITKOWSKI



Epicka awaria wakacji

Czy istnieje coś bardziej pretensjonalnego niż nazwy współczesnych operacji wojskowych? To nie fair wobec zabitych i rannych, ale znam, że na wieść o „Epickiej Furi” i „Ryczącym Lwie” wybuchnęłam śmiechem. W takich chwilach król jest nagi: polityka międzynarodowa okazuje się joystickiem w rękach chłopców z przerośniętym gruczołem ego, typów odpowiedzialnych za wszystkie „epickie” rezeje w historii. Dlaczego ludzkość wciąż nie potrafi unieszkodliwić swoich wodzów, zanim się rozchulają? Zagadnienie nierozstrzygalne jak *unde malum* (łac. skąd zło). Do tego stopnia, że media w ogóle nie poświęcają tej kwestii uwagi. Bo i po co debatować o czymś, co wymaga spokojnego argumentowania (reklamodawcy nerwowo pokasłują)? Lepiej podkładać dramatyczną muzykę pod migawki z płonącego Teheranu i generować popłatne emocje (święte słowo marketingu), przede wszystkim strach. Strach sprzedaje się lepiej niż seks. Smutne to, ale przynajmniej czuję się zwolniona z wyrzutów sumienia za swój śmiech z językowej inwencji tyranów. Bo zawsze lepiej się śmiać, niż się bać.

Telewizje informacyjne też się nie boją. Podchodzą do katastrof z wielkim entuzjazmem. Wojna to dla nich perpetuum mobile: interes kręci się sam i nie trzeba się biedzić nad zapełnianiem ramówki politykami krajowego chowu. Zamiast konfrontacji partyjnych przekazów dnia

Król jest nagi: polityka międzynarodowa okazuje się joystickiem w rękach chłopców z przerośniętym gruczołem ego.

w kółko leci klip z patetyczną muzyką i czarnym dymem; reporter w wejściach na żywo hojnie dzieli się swoją niewiedzą i molestuje Polaków napotkanych w miejscu zdarzenia, żeby opowiedzieli, co czują; oszczędnie dozowani eksperci od tego i owego wyjaśniają i zaciemniają, a czerwony pasek krzyczy, że koniec świata jest bliski. Nadaje się tej kołomyi nazwę „program specjalny” i tym sposobem redakcja ma święty spokój.

Znakiem czasu obecnej wojny są nagłówki typu „Polacy uwięzieni na Malediwach”. Po ludzku rzecz biorąc, ofiarom wypoczynku oraz ich bliskim bezapelacyjnie należy się współczucie. Gdy jednak obejmie się myślą wszystkie te nagłówki naraz, powstaje dziwne wrażenie, że awaria luksusowych wakacji jest dla nas ważniejsza niż irańskie uczennice, które zginęły od amerykańsko-izraelskich rakiet. W tym skrzywieniu perspektywy jest coś nieodparcie groteskowego. Oto turyści

z bogatego państwa północnej Europy (tak, to o nas) kradną uwagę należną rzeczywistym ofiarom wojny na Bliskim Wschodzie, ponieważ szlag trafił ich urlop na Malediwach, a rząd nie jest w stanie ekspresowo sprowadzić ich do kraju.

Nasi dziadkowie i rodzice całe życie czekali na to, żeby Polacy mogli swobodnie jeździć po świecie. Szczęśliwie dożyliśmy czasów, gdy spora część z nas jeździ, w tym do najbardziej egzotycznych „destynacji”, do których leci się z przesiadką w Dubaju lub Katarze. Uprawiamy podróżnictwo z zawziętością wyposzczonych, wręcz kompulsywnie.

Niby wszystko jest w porządku, urlop to nie zbrodnia, a każdy wydaje swoje pieniądze, jak chce. Dawno temu Marek Edelman zapytany w wywiadzie, czy nie martwi go, że ludzie oblegają supermarkety, odpowiedział: „Przynajmniej się nie mordują”. Bo ludzkość od zarania cierpi z nudów i musi mieć jakieś nieszkodliwe, lecz angażujące zajęcie, żeby nie przychodziły jej do głowy racjonalizatorskie pomysły alternatywnych zastosowań gazu. A jednak od czasów, gdy o podróżach mogliśmy tylko marzyć, sporo się zmieniło.

Po pierwsze, nie da się trwać w złudzeniu, że świat jest miejscem w miarę przyjaznym i spokojnym. Robi się coraz niebezpieczniej i każda daleka podróż jest dzisiaj obciążona nieprzewidywalnym ryzykiem. Każdy powinien je sobie uświadomić i na tej podstawie podejmować decyzję, czy w ogóle wyruszać, a wyruszając, liczyć się z następstwami. W krótkich żołnierskich słowach: nikt rozsądny nie powinien się dzisiaj pchać bez potrzeby do miejsc, w których wojna wisi na włosku, ani do takich, z których nie będzie potrafił wrócić. Biuro podróży czy nawet rząd to nie są instytucje wszechmocne i czasem nawet one nie mogą nic dla nas zrobić. Last but not least: zwyczajnie nie wypada kosztami swojego powrotu z re-sortu na rajskiej wyspie obciążać współpodatników. Są bardziej sprawiedliwe cele, na które warto się zrzucić. Rząd powinien nam pomóc w granicach swoich możliwości i rozsądku, ale nie musi robić tego gratis.

Po drugie, zorganizowana turystyka ostatecznie utraciła niewinność. Po książkach takich jak bestseller „The Last Resort” Sarah Stodoly trudno udawać, że się nie wie, jak niszcząca dla lokalnych społeczności jest pogoń nas, białasów z bogatej Północy, za słońcem, piaskiem i palmą. W ramach samoobrony przed przemysłem turystycznym kolejne hiperpopularne miejsca na świecie nakładają restrykcje na turystów, by ograniczyć ich szkodliwość.

Nie od dzisiaj wiadomo, że każdy kryzys jest też szansą. Może epicka awaria wakacji to okazja, by zerwać z religią wyjazdów i odkryć, że istnieje życie poza czarterem?

RENATA LIS



Jak rozpętałam piątą wojnę światową

Między trzecią wojną światową a czwartą udało mi się zrobić manikiur (głęboki koral), upiec brukselkę z wędzonym boczkiem i przeczytać trzy opowiadania Emilii Konwerskiej. I to tylko dlatego, że Konwerska nie patyczkuje się w prozie, robiąc błyskawiczną rewolucję. Bo uwaga, śledzie, Emilia jedzie z mikroprozami o narracji przypominającej menu z samymi przystawkami. Taki zestaw zapowiada danie główne, lecz to, na szczęście, nie nadchodzi. Paznokcie, brukselka, czytanie – wszystko to można było robić w uwielbianej przez nowe pokolenie menedżerów formie multitaskingu, dzięki czemu wstrzeliłam się między trzecią a czwartą wojnę światową. Piękni trzydziestoletni uwierzyli, że będąc w pracy, można jednocześnie uczestniczyć w szkoleniu z kreatywnego pisania, chodzić na bieżni, zerkać w telewizor na najlepsze momenty meczu Trefl Sopot-Twarde Pierniki Toruń, dissować na smartfonie kolegów z banieczki i podejmować strategiczne decyzje.

Naprawdę szkoda, że upiorny duet Jokerów, jaki tworzą Bibi Netanjahu z Panem Cheetosem Trumpem, nie występuje tylko w komiksach i nie pojawił się już Governor Terminator Schwarzenegger, by ich rozłożyć na części niezamienne. Ale najgorzej, jeśli to przez moje zachcianki kulinarne, konsumpcję wieprzowiny,

Dogadzając sobie pedikiurem, pancettą i czytaniem, **nie trwałam w poczuciu winy ani przez nanosekundę.**

tandetne zniewolenie patriarchalne, jakim jest mejkap, trwonienie czasu na czytanie, gdy tektonika geopolityczna szaleje, przez tę moją ignorancję i hedonizm wybuchła ta czwarta wojna, zwana przez niektórych perską.

Nie da się tego rozpadu Ameryki wyciszyć. Na śniadanie Wenezuela, na lunch rozbabrana Grenlandia, na obiad Teheran, a wszystko rozwalone i nieuprzątnięte jak pokój mojego starszego syna. Gdy tylko kumpel zadzwonił, że boisko w Skaryszaku (taki park u nas) jest wolne, to Kuba porzucał lekcje, brudne talerze, nie do końca rozkwitłą koleżankę i zniknął.

Niestety, w przypadku Trumpa konsekwencje są przerażające. Kumpel Bibi zadzwonił z Jerozolimy, akurat Donald prał złote zasłony, budował złote i nieskromne skrzydło Białego Domu i szukał kijów do golfa, Melania brylowała nowym imydzem, kompromitując rozjechaną już ideologicznymi buldożerami MAGA instytucję ONZ.

Przez to wszystko bidok J.D. Vance musiał wyjąć kilka bomb i samolotów z garażu.

Trudno się śmiać, nawet przez łzy. Gdy w imię feminizmu i demokracji morduje się 160 dziewczynek, zwalając to na technologię AI, którą samemu się sprzedaje i lansuje, to trudno nas obciążać poczuciem winy za to, że na minutkę odwróciliśmy wzrok od porywanych przez Rosjan ukraińskich dzieci. W tym wszystkim czasem jedyne, co możemy zrobić, to brukselka lub pedikiur. Albo polecieć na wakacje. Napić się wina, mimo że lasy płoną i niektóre szczepy czuć już spalenizną winnic spod Los Angeles.

Dogadzając sobie pedikiurem, pancettą i czytaniem dla przyjemności, nie trwałam w poczuciu winy ani przez nanosekundę. Powiem więcej. Byłam w tym roku na nartach, mimo że jest globalne ocieplenie. Skandal, no nie? Mimo że liczne lobby *party poopers*, czyli „psujących zabawę”, spędza czas na próbach wpędzenia mnie i milionów obywateli globusa w poczucie winy, to i tak my, Polacy, robimy sobie przyjemności. Im więcej pandemii i wojen, tym więcej argumentów za tym, by odbierać radość z życia bohaterskim osobom, które na przekór Trumpom, Orbánom, satrapom z Białorusi i oligarchom nie chcą żyć we włosienicy w schronie proponowanym w „Poradniku bezpieczeństwa”. Podróżują dla frajdy. Produkują ślad węglowy, zamiast dać polatać amerykańskim bombowcom i przeżsom do Davos. Nie wystarczy im do życia obserwowanie kabaczka na działce RODos – surfują na Rodos.

Cóż, dla mnie wycieczka oznacza coś więcej niż wyprawę do punktu zwrotu butelek. To na pewno przez nasz grzech rozpusty i moją nieznajomość dyplomacji amerykańskiej oraz planów koncernu Chevron na trzeci kwartał cała ta Wenezuela wybuchła. Jesteśmy wszyscy fe, fe, fe – nieodpowiedzialni, niedouczeni i egoistyczni. Chce nam się nie tylko po flądę do Łeby, ale też na Filipiny, do Petry, na quady do Omanu. Polacy nie logowali się do systemu Odyseusz? Może od dekad nie mają zaufania do polityków i wszystko, co rządowe, kojarzy im się z propagandą?

Polską radość z konsumpcji postrzegam już dawno jako akt oporu. Jest polski boczek – wspieram lokalnych hodowców. Uczę dziecko żeglować – ratuję branżę HoReCa umęczoną kupowaniem jachtów i wkurzam Putlerka, który cieszyłby się, gdybym siedziała w piwnicy. Najstraszniejsze zostawiam na koniec – majówkę zamierzam spędzić w Niemczech. Posłucham muzyki w ogródkach piwnych, zjem pstrąga z pieśni Schuberta. Czyli piąta wojna światowa zaraz po majówce. Jako nieinfluencerka z Mazowsza oczekuję, że Rudy wyśle po mnie czterech przystojnych pancernych i ewakuuje do ojczyzny złotym pociągami w ramach programu Port Polska.

AGATA PASSENT



PoPiS arogancji

PiS ma nadzieję, że na skutek zwycięskiego ataku wojsk USA i Izraela upadnie nie tylko zbrodniczy reżim w Teheranie, ale także zbrodniczy reżim w Warszawie. Być może obali go niezadowolone polskich turystów, którzy po udanych urlopach w Tajlandii, Sri Lance i na Malediwach zostali przez ten reżim uwięzieni w luksusowych hotelach i na lotniskach w Dubaju, Katarze i Omanie. Poseł Śliwka z PiS nazwał to „wielką kompromitacją ekipy rządzącej” oraz „popisem arogancji i buty wobec Polaków w Dubaju”. Ma nadzieję, że uwięzieni Polacy, którzy „przeżywają prawdziwe piekło”, nie pozostaną na tę butą obojętni i po powrocie odpowiednio zareagują.

Gdyby to piekło nie przepełniło czary goryczy Polaków, jest szansa, że przepełni ją piekło braku paliwa. PiS przedstawił je bardzo obrazowo na specjalnie przygotowanych grafikach ze zdjęciami gigantycznych kolejek na stacjach benzynowych. To wprowadzie kolejki nieistniejące, stworzone przez AI, ale wyglądają dramatycznie, dlatego zdaniem posła Sasina nie należy ich przed Polakami ukrywać; niech oprócz dostępu do prawdy, która pasuje rządowi, mają także dostęp do prawdy, która pasuje PiS.

Zgadzam się z Sasinem, że dużo ważniejsze od tego, że kolejki na zdjęciach są nieprawdziwe, jest to, że prawdziwe są emocje, które te zdjęcia wywołują. „Te emocje są faktyczne,

żyjemy wśród ludzi przecież, nie jesteśmy oderwani od ludzi” – wyjaśnia. Ci rozemocjonowani ludzie nie mogą stać w kolejkach po paliwo z powodu tego, że tych kolejek nie ma, ale to nie znaczy, że ostrzeganie ich przed rządem Tuska nie jest obowiązkiem PiS. Na obronę polityków PiS powiem, że gdyby te straszliwe kolejki były prawdziwe i ludzie musieliby w nich stać naprawdę, a nie na zdjęciach wygenerowanych przez AI, jestem przekonany, że bez wahania ujęliby się za nimi, prezentując stosowne grafiki.

Wpartii są obawy, że przedłużający się brak kolejek po paliwo może niekorzystnie wpłynąć na sondaże PiS. Według mnie ratunkiem w takiej sytuacji mogłyby być grafiki ze zdjęciami Polaków, którzy nie stoją w kolejkach, gdyż nie stać ich na kupno paliwa z powodu tego, że na skutek nieudolności ekipy Tuska jest horrendalnie drogie. Można by też zaprezentować grafiki, na których zamiast nieistniejących kolejek po paliwo zostanie pokazane coś istniejącego, np. Przemysław Czarnek, kandydat prezesa Kaczyńskiego na kandydata PiS na premiera.

Ponieważ wygenerowany przez prezesa PiS kandydat jest – jak czytamy – „emanacją programu partii”, jego zdjęcie z pewnością wzbudzi wśród wielu Polaków znacznie większy popłoch i panikę niż wymyślone przez AI zdjęcia kolejek po benzynę.

G A L E R I A P O L I T Y K I



ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE”

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA

tel. 22 451-61-33, 451-61-34

POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY

Jerzy Baczyński

tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU

Mariusz Janicki (Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego), Bartek Chaciński (Zastępca Redaktora Naczelnego), Katarzyna Białek (Dyrektor Zarządzająca)

Z-ca REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA

Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI

Artur Podgórski tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84

BIURO REKLAMY, KAMPANII I PROJEKTÓW SPECJALNYCH

Izabela Kowalczyk-Dudek (Dyrektor)

tel. 22 451-61-45, e-mail: reklama@polityka.pl

ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWNICZY

Piotr Zmelonek (Dyrektor) 22 451-61-85

PION CYFROWY

Joanna Chmielecka (Dyrektor) 67 210-86-30

ADMINISTRACJA

Jadwiga Kucharczyk (Dyrektor)

PRENUMERATA PAPIEROWA

www.sklep.polityka.pl

tel. 22 336-75-80

e-mail: prenumerata@polityka.pl

SUBSKRYPCJA CYFROWA

www.polityka.pl/cyfrowa

tel. 22 336-79-16

e-mail: cyfrowa@polityka.pl

SERWIS INTERNETOWY

www.polityka.pl

REDAKTOR NACZELNA

Aleksandra Żelazińska

PORTAL POPULARNONAUKOWY

projekt pulsar.pl

REDAKTOR NACZELNY

Karol Jąłochowski

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska
tel. 22 451-61-50
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK P/mint

lepa passion process technology

POLITYKA numerem 1 w 2025 r.



Miło nam poinformować, że według najnowszych danych spółki Polskie Badania Czytelnictwa także w ubiegłym roku POLITYKA odnotowała najwyższą sprzedaż spośród wszystkich tygodników opinii w Polsce. Z wynikiem 71,8 tys. średnio sprzedanych egzemplarzy POLITYKA wyprzedziła tygodnik „Newsweek” – ze średnią sprzedażą na poziomie 57,9 tys. egz. Pozostałe zaś tygodniki społeczno-polityczne uplasowały się daleko w tyle: tygodnik „Do Rzeczy” sprzedawał średnio 24,6 tys. egz., „Sieci” – 23,8 tys. egz., „Gazeta Polska” – 23,4 tys. egz., a „Tygodnik Powszechny” – 20,2 tys. egz.

POLITYKA wyprzedziła również konkurencję pod względem sprzedaży wydań cyfrowych. Nasz tygodnik, głównie za sprawą Polityki Cyfrowej, w 2025 r. sprzedawał średnio 26,8 tys. egz. Drugie miejsce i tu przypadło „Newsweekowi” – 23,4 tys. egz. Natomiast żaden z pozostałych tytułów nie przekroczył progu 7,5 tys. średnio sprzedanych egzemplarzy.

Sam czwarty kwartał ubiegłego roku zamknęliśmy z wynikiem 70,1 tys. średnio sprzedanych wydań; na drugim miejscu w zestawieniu i tu znalazł się „Newsweek” – 58,5 tys. egz., pozostałe zaś tygodniki społeczno-polityczne notowały w tym czasie sprzedaż na poziomie: tygodnik „Do Rzeczy” – 22,9 tys. egz., „Sieci” – 22,1 tys. egz., „Tygodnik Powszechny” – 20,5 tys. egz., „Gazeta Polska” – 20,2 tys. egz.

Także w ostatnim kwartale 2025 r. POLITYKA wypadła najlepiej pod względem oferty wydań cyfrowych (tzw. e-wydań), osiągając sprzedaż na poziomie 27,1 tys. egzemplarzy.

Jak zawsze zachęcamy do subskrypcji naszych wydań papierowych oraz cyfrowych pakietów obejmujących także inne wydawnictwa POLITYKI.

Więcej informacji na: polityka.pl/powitalna

REDAKCJA

PRZEKAŻ FUNDACJI TYGODNIKA POLITYKA 1,5% PODATKU

1,5 proc. dla kultury, nauki i wolnego słowa

Trwa coroczne rozliczanie PIT. Zachęcamy więc Państwa do przekazania 1,5 proc. podatku na Fundację Tygodnika POLITYKA, która pomaga młodym utalentowanym twórcom i naukowcom, promuje rzetelną wiedzę i niezależne dziennikarstwo, działa na rzecz zwalczania dezinformacji i ignorancji. W czasach, kiedy z coraz większą mocą rozpowszechniany jest zideologizowany i zafałszowany obraz rzeczywistości, propagowanie racjonalnego przekazu i demokratycznych wartości nabiera szczególnego znaczenia. Przeznaczając 1,5 proc. podatku na naszą Fundację, dokładają Państwo swój udział do znanych i cenionych w wielu środowiskach inicjatyw, a także umożliwiają nam rozszerzenie działań na kolejne – istotne dla funkcjonowania otwartego społeczeństwa – obszary.

Państwa wpłaty sfinansują Nagrody Naukowe POLITYKI i wesprą: serwis popularnonaukowy Pulsar, Paszporty POLITYKI, Nagrody Historyczne, a także Nagrodę Architektoniczną POLITYKI.

Nasze dane do PIT:

**Fundacja Tygodnika POLITYKA,
ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa,
KRS: 0000104137**

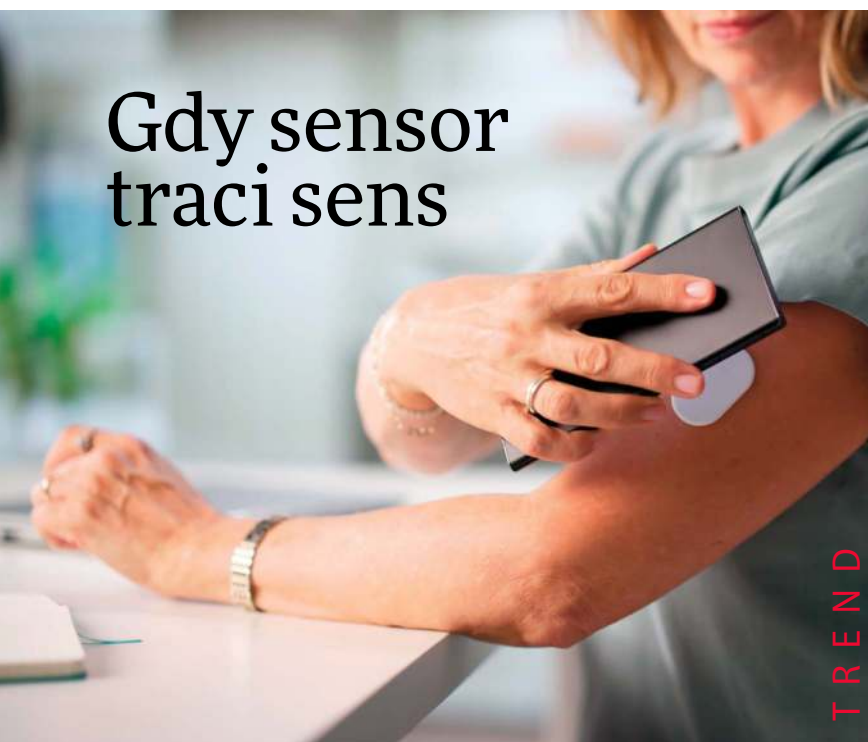
Więcej informacji:



Monice Chlebowskiej

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci **Taty**
składają przyjaciele z POLITYKI

Gdy sensor traci sens



Moda na ciągłe monitorowanie swojego organizmu ma też ciemne strony i niekoniecznie musi polepszać naszą kondycję.

Jeszcze dekadę temu biały krążek na ramieniu był czytelnym sygnałem: „Choruję na cukrzycę”. Dziś już niekoniecznie. Krążek na ramieniu u osób spotykanych w kawiarni czy na siłowni coraz częściej zdradza miłośnika biohackingu, który chce wiedzieć o swoim organizmie wszystko, od razu i najlepiej w formie kolorowego wykresu w smartfonie. Moda na **CGM (Continuous Glucose Monitoring)**, czyli systemy ciągłego monitorowania glikemii, z hukiem przetoczyła się przez social media. Spory udział ma w tym Jessie Inchauspé, autorka słynnej „Glukozowej rewolucji”. Tak oto pojawiły się firmy oferujące osobom zdrowym dostęp do sensorów, które pozwolą „zrozumieć własny metabolizm” i „wyjść z glukozowego rollercoastera”. Rzecz w tym, że nasz organizm to nie wesołe miasteczko, a większość z nas wcale nie potrzebuje alertów o każdym skoku cukru.

Na logikę wszystko wydaje się spójne: cukier jest paliwem, a jego nadmiar szkodzi. Jeśli więc będziemy widzieć, jak po zjedzeniu banana słupki na ekranie gwałtownie rosną, możemy podjąć „lepszą” decyzję i bananów unikać. Tu jednak dochodzimy do sedna wielkiego nieporozumienia medycznego: u zdrowego człowieka skoki poziomu glukozy po posiłku są zjawiskiem całkowicie naturalnym, wręcz pożądanym, jeśli tylko mieszczą się w fizjologicznym zakresie

i szybko wracają do normy. To dowód na to, że układ trawienny i hormonalny działają jak należy.

Mechanizm jest prosty: jemy, cukier we krwi rośnie, trzustka wyrzuca insulinę, która niczym sprawny magazynier upycha energię do komórek, a poziom glukozy wraca do normy. To element naszej fizjologii, tak samo jak przyspieszone tętno podczas biegu czy głębszy oddech przy wchodzeniu po schodach. Nikomu przecież nie przychodzi do głowy, by panikować, gdy serce bije szybciej w trakcie treningu – wiemy, że to adaptacja do wysiłku.

Dlaczego więc zaczęliśmy się bać adaptacji do jedzenia? Otóż aplikacje „metaboliczne” często stosują narrację lękową. Użytkownik widzi czerwoną linię po zjedzeniu owsianki i otrzymuje komunikat o „stresie oksydacyjnym” czy „wyrzucie insuliny”. Insulina stała się w tej opowieści czarnym charakterem, choć w rzeczywistości jest jednym z najważniejszych hormonów anabolicznych, bez którego nasze mięśnie i mózg nie mogłyby funkcjonować. Strach przed nią u osób zdrowych jest irracjonalny.

Ciągłe monitorowanie glukozy bez wskazań medycznych niesie ze sobą konkretne ryzyko: wpędzenie się w zaburzenia odżywiania, a konkretnie w ortoreksję, czyli obsesję na punkcie „czystego” jedzenia. Gdy każdy posiłek zaczyna być oceniany przez pryzmat wykresu, tracimy też z oczu gęstość odżywczą produktów. Można przecież zjeść posiłek, który nie podniesie cukru (np. szklankę oleju z boczkiem), ale czy to oznacza, że jest on zdrowy? W pogoni za płaską linią na ekranie łatwo wyeliminować z diety owoce i warzywa.

Mało tego: sam stres wywołany ciągłym zerkaniem na telefon może paradoksalnie podnosić poziom cukru! Nasz organizm w odpowiedzi na niepokój wydziela kortyzol, który instruuje wątrobę, by uwolniła zapasy glukozy do krwi (reakcja „walcz lub uciekaj”). W efekcie, widząc skok cukru spowodowany stresem, człowiek denerwuje się jeszcze bardziej, co tylko podbija wynik. Błędne koło.

Czy to oznacza, że sensory dla zdrowych są zupełnie bezużyteczne? Niekoniecznie. Mogą być ciekawym narzędziem edukacyjnym na krótki czas (np. tydzień lub miesiąc), aby zobaczyć, jak na nasz cukier wpływa brak snu (wpływa fatalnie) lub spacer po obiedzie (działa fenomenalnie!). To cenna lekcja – pokazuje, że zdrowie buduje się stylem życia, a nie tylko eliminacją konkretnych produktów.

W dbaniu o siebie najważniejszy jest zdrowy rozsądek. Zdrowy organizm ma ogromne zdolności adaptacyjne i potrafi radzić sobie z wahaniami energii. Zatem zamiast być niewolnikiem wykresu, lepiej zaufać własnej biologii. Jeśli na co dzień czujesz się dobrze, masz energię i regularnie się ruszasz, to twoja trzustka prawdopodobnie radzi sobie świetnie bez nadzoru smartfona. Czasem lepiej po prostu odłożyć telefon i zjeść jabłko. Nawet jeśli na chwilę podniesie nam cukier.



Julian Sobiech
–fizjoterapeuta,
dietetyk, autor książki
„Wystarczy pięć
minut. Prosty plan
na zdrowie: minimum
wysiłku, maksimum
efektów”.

Neonowe jabłuszka

TECHNO

Wśród kilku nowych produktów, które wprowadziła na rynek firma Apple, najwięcej emocji wywołała zupełnie nowa linia tanich laptopów **MacBook Neo**. Są tańsze o ponad połowę, ale za to pozbawione niektórych udogodnień serii Air i Pro, a przede wszystkim wyposażone w chip A18 Pro, znany z iPhone'a. To rozwiązanie przestaje wydawać się dziwne, gdy uświadomimy sobie, że topowe smartfony przewyższają mocą niejeden komputer.

Architektura procesora sprawia, że Neo wyposażone są jedynie w dwa porty USB-C (brakuje magnetycznego portu ładowania znanego z Air/Pro), ale za to działają aż 16 godzin. Komputer został zaprojektowany do codziennego użytku, głównie z myślą o młodych użytkownikach i sektorze edukacji. To tłumaczy paletę kolorów mającą spodobać się młodzieży – obok klasycznego srebrnego Neo



dostępny jest w wersji indygo, subtelnej różu i cytrusowej żółci (marketing Apple'a podkreśla tę owocowość: w filmikach na TikToku cytryna i limonka zarządzają telekonferencją). Podobną taktykę przyjęto w 2013 r., prezentując kolorowe modele tańszego iPhone'a 5C.

Najwyższa pora przestać utożsamiać formę urządzenia z jego wnętrzem. W tabletach, często kojarzonych z zabawkami dla dzieci, można dziś znaleźć mocne procesory pozwalające użytkownikom na tworzenie animacji, grafiki 3D, edycję filmów czy zdjęć. Ale to skojarzenie nie jest do końca bezpodstawne: tablety stały się domyślnym urządzeniem dla młodych ludzi, również do pracy i nauki, a głównie – konsumpcji treści. MacBook Neo jest dla nich dobrą alternatywą, z pełnym systemem MacOS i klawiaturą, co może pozytywnie wpływać na zwyczaje użytkowników, zwłaszcza związane z higieną cyfrową. Nie jest to więc urządzenie dla profesjonalistów; to dostatecznie wydajny komputer na start i alternatywa dla urządzeń z systemem Windows.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

Wielce oddani

SŁOWO

Ten przykład lojalności przetrwał długo. Od „Wiedźmina 2” minęło prawie 20 lat, od kontynuacji – 11. Tymczasem pojawiająca się w jednej i drugiej części gry CD Projektu postać **Vernona Roche'a**, kapitana temerskich służb specjalnych, okrutnego i podstępnego, ale bezwzględnie oddanego królowi i ojczyźnie, przetrwała nie tylko w kulturze, ale też w języku. Wszystko za sprawą frazy: „dla Temerii zrobię wszystko” (w oryginale było jeszcze: „nawet się sk...wię”) oraz „za Temerię!”. I jeszcze tej, że najważniejsza jest „sprawa temerska”. Ta ostatnia przeszła do zwykłej polszczyzny, co odnotowuje strona miejski.pl, proponując definicję: „Oznaczenie bardzo pilnej sprawy, której nie można odłożyć. Stwierdzenie pochodzi z »Wiedźmina 3 Dziki Gon«”.

Rozpoznawalna fraza pada teraz jako absurdalny żart w dialogach na platformie X, np. „Czym Kapustka zasłużył na powołanie?

Pytam chociaż o jeden argument »za«”. „Za Temerię”. Robi też karierę na TikToku – można ją znaleźć w rolce o chłopaku wracającym ze spotkania z dziewczyną: „Kiedy wiesz, że drugiej randki nie będzie, ale przynajmniej dowiedziała się sporo o wolnej Temerii”.

Ślepe przywiązanie do temerskiej sprawy oddaje środowiskowy patriotyzm albo jest sygnałem ślepej lojalności. „Kto weźmie dyżur w niedzielę?”. „Ja. Dla Temerii zrobię wszystko”. Rzecz opisuje też sytuację, kiedy coś staje się dla nas sensem życia: „Ej w sumie jaki jest sens tego wszystkiego, jak i tak będziemy zarcie dla robali?” – pyta ktoś na platformie X. I dostaje odpowiedź: „Nie ma. Jedyny wyższy sens to Sprawa Temerska”. Przypomina to sytuację, kiedy w chwilach najwyższego poświęcenia proponowano komuś „Zamknij oczy i myśl o Polsce” (te słowa o prostytuowaniu się Roche'a dla sprawy naprowadzają na takie konteksty). Może się też kojarzyć z memem o mężczyznach często rozmyślających o cesarstwie rzymskim. To, czy potraktujemy całą rzecz jako pochwałę ślepej lojalności, czy jako zjadliwą ironię, zależy oczywiście od kontekstu – albo naszego zaangażowania w sprawę temerską.

BARTEK CHACIŃSKI



MÓWIĄ RYMY

Nie o zapalar chodzi, gdy pytam o ogień, och
Zresztą nie gadaj, mała, w sumie znam odpowiedź, och
Pezet, Zalia, Żabson, Tatu, 2026 r.
zapalar – zapalniczka

Dać nura w cenotach

Podziemne studnie na Jukatanie to krajobrazowy skarb. A przejrzysta turkusowa woda w stałej temperaturze 25 st. C to magnes dla nurków.



PODRÓŻE

Na meksykańskim Jukatanie cenoty – w języku Majów oznaczające naturalnie powstałe, wapienne studnie – od zawsze stanowiły podstawowe źródło słodkiej wody. Klasycznych rzek i jezior na tym półwyspie praktycznie nie ma, natomiast połączone podziemnymi kanałami, liczone w tysiącach cenoty tworzą wyjątkowy rezerwar wody wykorzystywany przez ludzi od wieków. Najstojniejsza z dawnych metropolii Majów Chichen Itza miała w okolicy aż kilkanaście cenotów. Prawie wszystkie służyły zaopatrzeniu miasta w wodę, ale był też jeden zbiornik o znaczeniu wyłącznie rytualnym, o czym świadczą znalezione w nim szkielety i biżuteria.

Najładniejsze cenoty to teraz krajobrazowy skarb – turyści chętnie płacą za ich oglądanie. Zachwycają swoim wyglądem i turkusową barwą, na której odcień wpływ ma nie tylko czystość oraz przejrzystość wody, ale także promienie słoneczne powodujące

niezwykłą grę światła. Część jest od góry otwarta i wygląda jak otoczone tropikalną roślinnością zalane zapadlisko, inne ukryte są w jaskiniach. Woda w nich jest względnie ciepła: ma stałą temperaturę 25 st. C. W wielu z nich można popływać na powierzchni, ewentualnie zanurkować z maską i fajką, choć są i takie, które stanowią rarytas dla nurków.

Mamy szczęście, bo w roli przewodnika płynie z nami doświadczony nurek ekstremalny, a zarazem speleolog, taternik i ratownik TOPR Krzysztof Starnawski. Znam go od dawna, jeszcze z czasów, gdy co roku poprawiał swoje własne rekordy głębokości, dochodząc w 2011 r. do 283 m (nurkowanie z obiegami zamkniętym). Od pewnego czasu „Starnaś” mieszka w Meksyku, gdzie dla odmiany ustanowił rekord długości nurkowania – w ciągu niecałych 6 godzin, wraz ze znanym biznesmenem Leszkiem Czarneckim, przebyli pod wodą, korytarzami cenotów właśnie, 14 km. Teraz zaś Krzysztof stoi przed nami. I objaśnia: „Popłyniemy nad wyznaczającą podwodną drogę, rozłożoną na stałe poręczówką, jeden za drugim, w odległości 2 m od siebie, komunikując się ruchem latarki”.

Nurkowanie jest wyjątkowe. Płyniemy przez kilka wypełnionych po brzegi komór skalnych, mając wokół siebie spektakularne stalagmity, stalaktyty, czasem też stalagnaty. Niekiedy w świetle latarki migną małe rybki, choć akurat fauna nie jest tu bogata. Nie schodzimy głęboko – maksymalnie na 6 m, ale dzięki temu sporo widzimy. Zresztą **Cenot Dwojga Oczu** w ogóle jest płytki; są jednak i takie, gdzie głębokość sięga spokojnie kilkudziesięciu metrów. Najładniej jest tam, gdzie wpada światło słoneczne – wrażenie jest niemal mistyczne. Patrzę na zegarek: 45 m pod wodą mija nadszpiewa- nie szybko.

Po godzinie przerwy jeszcze raz schodzimy pod wodę. Teraz jest trudniej, bo teren jest trochę głębszy i pofalowany, więc tym bardziej trzeba uważnie kontrolować swoją pływalność. Wyjście zbyt wysoko zaowocuje uderzeniem o skalny sufit, a zbyt nisko – doprowadzi do zmacenia dna. Podwodnym labiryntem docieramy do Jaskini Nietoperzy, gdzie można wystawić głowę ponad powierzchnię i stwierdzić, że rzeczywiście nietoperze tam są! W kilku miejscach uwagę przykuwają pokrywające dno kolorowe „kamyczki” – dopiero po jakimś czasie dociera do mnie, że to nie żadne minerały, tylko... nasiona i owoce, które spadły przez dziury w skałach. Znowu obserwuję ten fantastyczny spektakl światła wywołany przebijającymi się promieniami słonecznymi.

Już w trakcie pakowania sprzętu wysłuchujemy historii o tym, że w niektórych cenotach żyją krokodyle. Na dowód Krzysztof podsuwa mi jedno ze swoich zdjęć – prawie dwumetrowy gad leży sobie ospale u wylotu jaskini. Ludźmi zainteresowany podobno nie jest, ale rzecz jasna lepiej go nie drażnić. Może i dobrze, że przed wejściem do wody nie wiedzieliśmy o tych strażnikach cenotów.



Monika Witkowska – himalaistka, żeglarka, podróżniczka. Autorka książek (m.in. „K2. Ostatnia szansa” i „Kurs Arktyka”). Prowadzi stronę na Facebooku: Monika Witkowska – Podróże małe i duże.



KUCHNIA

Fenkuł niespodzianka

Nawet z prostych składników można wydobyć głębię smaku, przygotowując danie cieszące oko, do którego chce się wracać.

Głównym składnikiem mojej zupy jest delikatna słodka, biała fasola. Jej naturalna kremowość odpowiada za konsystencję dania, która powinna być lekka i aksamitna. Fasola łączy się tu z przyjemną słodyczą pieczonego czosnku i świeżą nutą pieczonego kopru włoskiego.

Koper włoski (fenkuł) to warzywo niemal nieznanne w kuchni polskiej i często pomijane w naszych jadłospisach. Znajdziemy go w postaci drobnych nasion, podobnych w kształcie do kminku oraz bulwiastego białego warzywa z zieloną nacią. Koper włoski wywodzi się z rejonu Morza Śródziemnego – był znany i ceniony już w starożytnej Grecji i Rzymie. Stosowano go nie tylko w kuchni, ale też jako roślinę leczniczą. Był symbolem siły oraz długowieczności. Gladiatorzy żuli jego ziarna przed walką w nadziei na wzmocnienie tęczy. Obecnie najczęściej uprawia się go we Włoszech – stąd jego polska nazwa.

Jego surowy anyżkowy smak kojarzy się jednak bardziej z lekarstwem niż smakowitościami. Polaków nie nauczono go jeść, przez to wciąż trudno go kupić. A szkoda, bo fenkuł ma wiele korzystnych właściwości zdrowotnych. Wspomaga trawienie, łagodzi wzdęcia i kolki oraz pobudza wydzielanie soków trawiennych.



Alicja Rokicka

– autorka bloga *Wegan Nerd* i książek kulinarnych, entuzjastka słonecznej Italii i smaków śródziemnomorskich w wersji roślinnej. Z wykształcenia graficzka.

Działa przeciwwrzędnie i antybakteryjnie; wspiera układ oddechowy, nerwowy i pracę serca. Do tego odpowiednio przygotowany smakuje wybornie! Jego anyżkowość słabnie po podduszeniu lub upieczeniu. Surowy jest intensywny, ale świetnie przenika w inne smaki i aromaty. Wyśmienicie pasuje do sałatek z cytrusami.

Pieczony fenkuł to idealny dodatek do zupy krem z fasoli. Strączków w Polsce także nie jemy dużo (poza weganami i wegetarianami), najczęściej w obawie przed bólem brzucha i wzdęciami. Tymczasem zupa fasolowa z dodatkiem kopru włoskiego to duet idealny, który smakuje lekko i świeżo. Całość tworzy przyjemną rozgrzewającą zupę o wyważonym smaku, która zachwyci nawet tych, którzy na co dzień omijają fenkuł szerokim łukiem. To zupa idealna na wolny wieczór, po długim dniu albo wtedy, gdy potrzebujemy czegoś prostego, domowego i naprawdę smacznego. ■

Składniki:

- Oliwa
- 1 cebula
- 1 główka czosnku
- 400 g ugotowanej białej fasoli (2 puszki)
- 1 łyżeczka tymianku
- 500 ml warzywnego bulionu
- Pieprz
- Sól
- 1 fenkuł, czyli koper włoski
- ½ cytryny lub pomarańczy (opcjonalnie)

Wykonanie:

- Przygotuj fenkuł. Usuń nać i zostaw ją do przystrojenia gotowego dania. Białą część warzywa przetnij na pół, a następnie pokrój w plastry (ok. 5 mm grubości).
- Przygotuj naczynie do zapiekania. Wlej tam ok. ¼ szklanki oliwy. Ułóż fenkuł oraz całą główkę czosnku. Całość lekko posól. Wlej jeszcze 4 łyżki wody.
- Zapiekaj w 200 stopniach przez mniej więcej 30 minut, aż fenkuł zarumieni się i zmięknie. Proces można przyspieszyć, smażąc wszystko na patelni: wlej oliwę na patelnię, ułóż plastry fenkułu oraz 4 nieobrane ząbki czosnku.
- Smaż do momentu, aż fenkuł zrobi się rumiany; obróć go na drugą stronę. Powinien zmięknąć i apetycznie zbrazowieć. Na koniec możesz go skropić sokiem z pomarańczy lub cytryny – nie jest to jednak konieczne.
- Cebulę posiekaj drobno. W garnku rozgrzej 2 łyżki oliwy (może być ta spod fenkułu). Zaczynaj smażyć cebulę. Kiedy zmięknie, dodaj odsączoną z płynu fasolę. Następnie dodaj tymianek oraz 4 upieczone ząbki czosnku. Przemieszaj. Smaż 2 minuty.
- Wlej bulion. Gotuj ok. 5 minut. ¾ zupy przenieś do kielicha blendera (wraz z czosnkiem) i zblenduj na krem.
- Wlej z powrotem do garnka. Można zblendować całość – ja jednak lubię, kiedy w zawieszistej zupie pływają całe ziarna miękkiej fasoli.
- Na koniec dopraw zupę solą i pieprzem.
- Podawaj z kawałkami pieczonego kopru włoskiego oraz ozdobione natką. Nada się też chrupiąca, podpieczona kromka ulubionego chleba! Smacznego!

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podcasty

Co znaczy „pisać ładnie”

Dorota Masłowska czyta ostatnio niewiele, bo ogląda „Kuchenne rewolucje”. Znalazła jednak czas, by opowiedzieć nam o wpływie literatury na jej własne pisanie i o autorze, który ją zachwycił, czyli Denisie Johnsonie, i o jego powieści „Anioły”.



Książka znalazła się na szczycie zestawienia POLITYKI za 2025 r. Rozmawiamy też o buncie i ciszy, a także o tym, co to znaczy „pisać ładnie”. Podcast „Polityka o książkach” prowadzi Justyna Sobolewska.

Olbrychski o Wajdzie

Owieloletniej przyjaźni z Andrzejem Wajdą, spotkaniach na planie i poza nim Daniel Olbrychski opowiada Januszowi Wróblewskiemu. – Miałem



niebywałe szczęście, że Andrzej Wajda zwrócił na mnie uwagę w tak młodym wieku – wspomina. – Byłem na pierwszym roku studiów, miałem 19 lat. Wajda miał to, co aktorom jest w kinie najpotrzebniejsze, ciekawość i umiejętność wzruszenia widza, był też najbardziej wnikliwym krytykiem – przypomina Olbrychski. Nowe odcinki podcastu „Kultura na weekend” w każdy piątkowy poranek na polityka.pl i YouTube.



Iran, Gaza, Ukraina

Zprof. Agnieszką Bieńczyk-Missalą z Uniwersytetu Warszawskiego rozmawiamy o ataku Stanów Zjednoczonych i Izraela na Iran, sytuacji w Strefie Gazy i Ukrainie. Sięga-



my także do polskich przykładów, jak sytuacja na granicy polsko-białoruskiej czy śmierć Igora Stachowiaka na wrocławskim komisariacie. Prof. Bieńczyk-Missala od lat zajmuje się prawami człowieka i ich ochroną. W podkaście „Polskie demo” pytania zadają Krzysztof Izdebski i Michał Tomasik.



Teraz Modżtaba

Co to za fikołek historii! Przecieki o tym, że następnym najwyższym przywódcą Iranu będzie syn Chameneiego Modżtaba, okazały się więcej niż prawdopodobne. **Modżtaba Chamenei od lat był szarą eminencją dworu ojca. A Donald Trump nie powinien wybrzydząć. Gorzej z Irańczykami – ocenia na polityka.pl Łukasz Wójcik.**



W wojennej pułapce

Niemal każdy Palestyńczyk mówi to samo: to nie nasza wojna, znaleźliśmy się w pułapce między jednymi a drugimi.



Kolejna wojna jest następnym ciosem dla ledwie wiążących koniec z końcem sklepikarzy na Starym Mieście w Jerozolimie. Podobnie w Ramallah na Zachodnim Brzegu. W mieście nie ma schronów ani systemu ostrzegania przed rakietami. **Korespondencja Agnieszki Zagner z Jerozolimy i Ramallah na polityka.pl.**



G A L E R I A P O L I T Y K I



J A N K O Z A

Rozgrzej
głowę!

ROZRUSZAJ SZARE KOMÓRKI

OMNIBUS

ZIMOWY

Wydanie specjalne nr 1/2026
Cena 11,99 zł (w tym 8% VAT)
POLITYKA



Zagadki i ćwiczenia umysłowe

Łamigłówki
Krzyżówki
Słupki
Rebusy
Quizy
Szarady

KUP TERAZ



Pantropy



Alternatywy



Narazaro



Do nabycia w punktach sprzedaży prasy
i na **sklep.polityka.pl**

**WYBIERZ WYCIECZKĘ
OBJAZDOWĄ DLA SIEBIE**

7+7

ZWIEDZANIE Z WYPOCZYNKIEM

City break

KILKUDNIOWE WYPADY

Rejsy

CODZIENNIE INNY PORT

Kulinarne

PODRÓŻOWANIE ZE SMAKIEM

Rodzinne

DLA MAŁYCH I DUŻYCH

Premium

KAMERALNE GRUPY
I WYŻSZY STANDARD HOTELI



**DLA MNIE
OBJAZD**